

Nowy ślad Czarnych Stóp

Partyzant Leśne Oko pod wpływem Waszych próśb (i gróźb!), pod wpływem argumentów podawanych inteligentnie na wieczorach autorskich i w listach, w tych pięknych listach, pełnych opisów przygód wakacyjnych i prac drużyny albo sekretów zastępu, przekazywanych mi z całym zaufaniem - obiecał! Obiecał wreszcie, uparciuch, że tym razem ukaże się na kartkach książki, zasiądzie przy ognisku, będzie razem z młodymi śpiewał, opowie Wam o swoich przeżyciach i posłucha, co Wy macie mu do powiedzenia. Zaszycie się więc w cichym kątku, żeby spokojnie czytać o tym, co przydarzyło się dalej zastępowi Czarne Stopy. Może i Wy znajdziecie własny nowy ślad

Autorka

1. „Hokus-pokus kabanokus”

Jan I Miękki już od świtu czekał przed szkolną bramą. Jeszcze nawet nie wzeszło słońce. Wiedział, że wczoraj po południu ojciec druha Zenka miał przywieźć harcerzy z obozu ciężarówką. Tymczasem upłynęła noc, w czasie której woźny wciąż podnosił głowę nasłuchując, ile razy dosłyszał warkot motoru. Na próżno! Kładł się znowu, zasypiał, ale był to płytki sen zająca drzemiącego pod miedzą, czujnego, w każdej chwili gotowego zerwać się na nogi. Widocznie tęsknił za hałasem i wrzawą młodzieży; cisza wakacyjnych dni męczyła go tak, jak młynarza męczy podobno milczenie zatrzymanych w pędzie i łoskocie kół młyńskich. Wstał wcześniej i czekał. Odwracał głowę to w lewo, to w prawo, bo na ulicy ruch był dwukierunkowy i ciężarówka z harcerzami równie dobrze mogła nadjechać od strony parku, jak wtoczył się przez widoczny stąd plac, okrążając kwietnik.

Ciężarówek zbliżało się ciągle mnóstwo: wiozły pomidory albo skrzynki z oranżadą, wiozły deski, żelastwo, piasek, cegły, gęsi, nawet robotników budowlanych, ale ciągle i ciągle Jan daremnie wypatrywał oczy w nadziei, że powita harcerzy. Nie miał siły odejść sprzed bramy, chociaż powtarzał sobie w myśli, że to najgorsza metoda czekania. Lepiej zająć się czymś, a wtedy wrócą niespodzianie, ani się człowiek obejrzy. Ba! Co innego myśleć, a co innego posłuchać własnego rozsądku. Jan I Miękki po prostu wrósł w chodnik, z którego gdzieniegdzie sterczały kępki trawy nie deptanej tysiącami kroków. I gdyby nie straszny gniew Jana II Twardego, stałby tam w dalszym ciągu, sam ze zmartwienia zielonkawym jak trawa.

Młodszy woźny zaczął wrzeszczeć, robiąc dłuższe przerwy na odpowiedź:

- Czego tu stoisz i gapisz się, jakbyś nigdy ulicy nie widział?

Przerwa.

- U nas w koszarach jeden też tak jak ty gały wybałuszał i wiesz, do czego doszło?

Przerwa.

- Nie? To ja ci powiem. W suchoty wpadł.

Jan I Miękki otworzył usta i milczał przez chwilę z wrażenia. Tymczasem jego energiczny kolega wsadził mu w garść miotłę i wydał komendę:

- Zamiatać podwórko. Naprzód marsz! I to szybko.

Wąska twarz Jana I zwięzła się jeszcze bardziej. Odpłynął krokiem taneczno-miotlanym i po chwili stwierdził, że wiatr przywiał mnóstwo śmieci, przedwcześnie żółkłych listków i że całe szkolne podwórko naprawdę wymaga uporządkowania. Pracował smutny, przygnębiony. Już nawet nie spojrział w kierunku bramy.

Nagle rozległ się huk wręcz ogłuszający. Jan się nie łudził. Odrzutowiec. O tej porze codziennie przelatywał właśnie tędy, warto spojrzeć, czy i dziś tak lśni w słońcu, czy znowu będzie taki ogromny. Ten sam!

Idzie dość nisko, cały kadłub aż skrzy się srebrem, ale dlaczego trąbi, dlacze-

go tak dziwnie trąbi?! Czy ptaki chce rozpędzić? Jan I Miękki czytał o tym, że ptaszyska mogą wlecieć do samolotowej dyszy i nawet spowodować katastrofę. Stał więc i zadierał głowę, dopóki Jan II Twardy jednym szarpnięciem nie odciągnął go na bok, bo tarasował drogę ciężarówce, która wśród warkotu i trąbienia wjeżdżała na szkolne podwórko.

Wrzawa powstała niesłychana pod budą auta; jedni skakali z radości, że uszkodzony pojazd jakoś jednak dowłókł się na miejsce, inni narzekali, zgnębieni powrotem do miasta bez lasów, gór, zieleni, namiotów i wozów.

Klakson ciągle jeszcze beczał jak ochryply baran, ale już nie było go słyszeć w ogólnym hałasie.

Marek Osiński wziął rozmach i zeskoczył sprężyste na szkolne podwórko spod brezentu ciężarówki. Źle trafił. Rozległ się wrzask dziwnie znajomy, zająkliwy:

- U-u-u-waga! - jęczał Jan I Miękki chwytając się oburącz za czubek lewego pantofla. - Ty-ylko nie po nogach!

- Ooo! Pan woźny! Marek, unieszkodliwiłeś pana Jana Pierwszego - wołali druhowie.

- Faktycznie. Cośkolwiek jestem unieszkodliwiony. Prosto na ślubny odcisk - postękiwał Jan Miękki, jękając się z bólu przy każdym słowie. - Odcisk już mam, tylko niewiada, kiedy będzie ślub!

Groźny głos uciszył wszystkich:

- A bo trzeba uważać, do cholewki - wołał Jan II Twardy gniewnie, ledwo uchylając usta, co jeszcze pogłębiło jego surowy ton. - Mądry człowiek najpierw popatrzy, dopiero później będzie skakał. Uważać, mówię! Taki mięczak, jak nasz Jan, ła-two może być stratowany. Kości nie ma. Sama galareta, nic więcej.

Zrobił się rwetes.

- Apteczka! Gdzie jest apteczka? - wołali teraz harcerze, kręcąc się po ciężarówce między plecakami, workami namiotowymi, potrącając jedni drugich.

Andrzej Wróbel obserwował ich uważnie, spostrzegł apteczkę w rękach Maćka Osy; był ciekawy, jak uporają się z kłopotliwą sytuacją. Marek ujął woźnego pod rękę, prowadził w stronę ławki.

- Panie Janie, pan Jan usiądzie.

- Zdejmiemy panu but. I skarpetkę.

- Zbadamy pana - komenderowali harcerze jeden przez drugiego.

Uśmiech rozciągnął Janowi wąskie wargi tak dokładnie, że niemal całkiem zniknęły; pozostała dobrotliwa łagodność w jasnych oczach. Zawstydzony mówił cicho, ledwo było go słyszeć:

- Ale! Skarpetki... Kto by tam zdejmował. Już wcale nie boli. A dziura może jest w skarpetce?...

Marek Osiński twardo stawiał sprawę:

- Trzeba zrobić okład z wody Burowa. Zobaczyć, czy paznokiec nie uszkodzony.

Jan I Miękki uśmiechał się w podziwie bezmiernym dla wiedzy medycznej

Marka wołał jednak uniknąć opatrywania nogi.

- Ale, ale, mój Michale, wygoi się w karnawale - mówił cicho, pojednawczo i machał ręką. - Do bani z lekarstwami. Ja zwyczajny. Do bani z odciskami. Ja zwyczajny. Co tam! Od razu trele morele. Skarpetka może być przetarta. Zdarza się przy robocie.

Teraz wyskoczył z pudła ciężarówki Maciek Osa i wyciągnął rękę w stronę brezentu, do kolegów stłoczonych jeszcze pomiędzy plecakami, namiotami, kotłami, workami.

- Szczeniaki! - zawołał głośno, tonem rozkazu.

Jan II Twardy zmienił się w złowróżbny słup soli, tyle że sól tym razem nie była biała: woźny czerwieniał, siniał, puchł z gniewu, aż osiągnął kolor ćwikłowego buraka.

- Nie mówiłem?! I sprawdziło się! Niczego dobrego w harcerstwie nie uczą. Ledwo przyjechali, już od szczeniaków się przezywają. Co to jest za wychowanie?!

- Podawajcie szczeniaki - przynaglił Maciek.

- No! Ładne rzeczy! Jakby do mnie ktoś tak się wyraził, już ja bym jemu dołnął, ażeby się nie mógł pozbierać - komenderował w dalszym ciągu Jan i nagle zanie-mówił. Podbiegł, wspiał się, wyciągnął szyję i wstrzymał oddech.

Z głębi ciężarówki troskliwe ręce kucharza podawały Maćkowi łaciatego psiaka z ogonkiem zakręconym w kształt rogala.

- Czarna Stopka? - wołał Maciek Osa.

- Jeeest! - basem odpowiedział kucharz.

- A gdzie mały Żuraw?

- Usnął i jeszcze się nie przewrócił na drugi bok! Bierz ostrożnie, żeby go nie obudzić.

Jan II Twardy potrząsnął głową, zamrugał.

- Zgiń, przepadnij, siło nieczyste. Przywidziały mi się dwa psy. Całe rano szkołę sprzątałem w taki upał i już mnie zamroczyło. Niemożliwe! Teraz widzę trzy łaciate kondle!

- Pihmek? - pytał Osa.

- Obecny! Przytomny. Świetnie zniósł trudy podróży - objaśniał kucharz.

- Patrzenie! - krzyknął Felek. - On już demonstruje opady ciągłe! Prawidłowo. Deszcze zenitalne.

Psiak rzeczywiście ledwo stanął na ziemi, zaczął systematycznie zwilżać piasek boiska. Z głębi ciężarówki dobiegł wesoły głos Błyskawicy:

- No! Pihmek skraplał przez całą drogę ciężarówkę, żeby się nie rozeschła; łął zgodnie z prognoząmi Państwowego Instytutu Hydrologiczno-Meteorologicznego. Teraz kontynuuje swoją zawodową działalność.

- Tylko że on zdecydowanie specjalizuje się w hydrologii - dodał Felek i zwracając się do Jana II Twardego szerokim gestem przedstawił mu pękatego szczeniaka. - Pan woźny pozwoli. To nasz Pihmek-Hydrolog.

Jan II Twardy popadł w bezgraniczne zdumienie:

- Ale jak się to stało? Czyje to robactwo? Skąd?!
 - A z Puszczy Jodłowej! - zawołał kucharz w głębi ciężarówki.
- Woźny patrzył gniewnie na małe psy.
- Podróżnik zastępu Kon-Tiki? - sprawdzał sumiennie Maciek Osa.
 - Przybił do portu!
 - Biała Foka?

Tym razem kucharz podał coś mokrego, zasmarowanego tłustą ciecżą. Westchnął.

- Niestety! Biała Foka zmieniła się w burą szmatę.

- Co??? Do karnego raportu! - wrzasnęła groźny oboźny. - Jeżeli dziś wieczorem wszystkie psiaki nie będą wykąpane, czyste i na wysoki połysk, cofam zgodę, nie wpuszczę do izby harcerskiej.

- A ile tego drobiazgu jest? - szeptem pełnym zdumienia pytał Jan II Twardy i nie ruszając się z miejsca wyciągał szyję, żeby lepiej widzieć. - Bo ja może w tej sytuacji zmienilibym od pierwszego pracę, jeżeli tu mają być lepsze porządki.

Fobusz przybrał niewinną minę, która zwiastowała nowe psoty. Stał na baczność i oświadczył:

- Druhu oboźny, melduję, że nie zrozumiałem rozkazu. Druh powiedział wyraźnie: „Jeżeli dziś wieczorem wszystkie psiaki nie będą wykąpane”. Czy miał druh na myśli wszystkie psiaki z całego miasta, czy tylko z naszej ulicy?

- Z całego województwa!! - wrzasnął Andrzej Wróbel i w rozwianej pelerynie zeskoczył, a wyglądało to, jakby sfrunął na podwórko.

Tymczasem groźny oboźny podniósł swój marchewkowo czerwony nos:

- Fobusz! W uznaniu dla twego poczucia humoru mianuję cię psim ochmi-
strzem i rozkazuję wykąpać, a potem wyszczotkować pięknie na wieczorną zbiórkę pięć naszych brytanów.

- Rrrrozkaz, druhu oboźny! Gdyby nie te psy, człowiek by nie wiedział, że żyje. A tak, to co innego. Babcia też na pewno z entuzjazmem wpuści je na czystą podłogę...

- Cieeeeerp duszo moja, z lasu wygoniona - zawył przeciągle i bardzo żałośnie Hindus. - A jak nie wycierpisz, będziesz ostrzyżooooona!

Druh oboźny dodał:

- Oczywiście kąpiel i skrócenie włosów obowiązuje nie tylko psy. Druhów także.

Fobusz wcisnął prawą rękę po łokieć do swojego rozdętego plecaka, wyciągnął coś, co ukrył w zaciśniętych palcach, wykonał kilka tajemniczych ruchów nad zdezorientowanymi, wachającymi każdy kamyk na podwórku psiakami, zawołał głośno:

- Hokus-pokus kabanokus! Na moją komendę pięć buldożerów kierunek izba harcerska biegiem marsz!

Ku bezgranicznemu zdumieniu świadków tej sceny pękata Czarna Stopka ruszyła klusem w stronę klatki schodowej, a za nią toczył się jeszcze bardziej opasty

Żuraw, ale Biała Foka merdając ubrudzonym ogonkiem wyprzedziła swoje rodzeństwo i pierwsza dopadła progu. Puchatek od razu pogalopował za nimi, aż mu na wietrze fruwały uszy.

Jan II Twardy przykrył ciemną dłoń.

- Cud! Jak pragnę zdrowia, cud! U nas w pułku był jeden Cygan, co psów niemożebnie lubiał tresować, ale dorosłych, z maturą, a nie takie, tfu, psie przedszkole! Trzeba będzie pracę wymówić. O, przekłeta godzino!

Tymczasem na progu przy wejściu do budynku powstał zator. Czarna Stopka potknęła się na Żurawiu, któremu drogę zagroził mały Puchatek, a na całe to kłębowisko wpadła Biała Foka. Bolesne skomlenie dotarło nareszcie do uszu Pihmka, spokojnie i rzec można pracowicie podlewającego pień akacji w kącie szkolnego dziedzińca; rozpedził się, włączył od razu czwarty bieg i gnając ile sił w łapach, wpadł w sam środek skomlających psiaków.

Jan II Twardy dopiero teraz oprzytomniał. Zrobił w prawo zwrot i marszem przyspieszonym zmierzał na swoje miejsce przy drzwiach budynku szkolnego. Stał na baczność, trzasnął obcasami, po czym oświadczył:

- Ale tego za dużo! Co to, to nie! Za próg nie wpuszczę. Parkiety świeżo wyfroterowane. Psom wstęp wzbroniony.

Skomlała kotłowanina ustała natychmiast, jakby gniew i surowy głos woźnego mogły być zrozumiałe dla pięciu małych zwierzaków. Ostrożnie, krok za krokiem, zaczęły przepelzać do drzwi, podnosząc łepetyny i ruszając nosami.

Trzeba powiedzieć, że Jan II Twardy popełnił taktyczny błąd, chcąc zaangażować cały swój autorytet w tę psią sprawę. Zamiast w dalszym ciągu stać na baczność, rozstawił nogi szeroko, rozłożył ręce powtarzając:

- Nie wpuszczę! Nie wpuszczę! Nie wpuszczę! Chodu stąd!

Ale już przegrał. Psy najwyraźniej uznały jego nogi w błyszczących, dobrze wyczyszczonych butach za bramę triumfalną, specjalnie tu wzniesioną na ich powitanie, bo grzecznie, w podskokach i karesach przebiegły na korytarz, kierując się błędnie do harcówki, gdzie czekał druh Fobusz.

- A to czary! Diabelska siła - mruczał woźny. - Był u nas w pułku jeden, co się czarami zajmował, ale żeby mi kto wmawiał, że zobaczę zaczarowane szczeniaki?! O, cholewka!

Dla ratowania resztek powagi zrobił znowu w tył zwrot i szedł odmierzoną, wolnym krokiem, żeby z daleka móc obserwować psie zachowanie.

- Tylko na piętrze, cholewka, żeby mi psia noga nie postąpiła! - zakrzyknął ostrzegawczo i natychmiast głos Fobusza odpowiedział mu z ciemnych zakamarków przed harcówką:

- Dobra, dobra, panie woźny, może pan być pewny, już ja będę pilnował, żeby tylko tędy chodziły. Tu zwykły gumolit, a na piętro psiaków nie puścimy. Spokojna makówka! Parkiety będą czyste.

- Dziwne. Głos słyhać, osoby nie widać - zamruczał Jan II Twardy, gdy nagle musiał przetrzeć oczy ze zdumienia.

Czarna Stopka szła zakosami od ściany do ściany, wodząc nosem po gumolice i węsząc głośno, jak mała lokomotywa. Za nią, takim samym wężykiem, esamifloresami sunęła Biała Foka, wdychając z najwyższym skupieniem i może nawet z rozkoszą jakiś interesujący zapach. Pihmek musiał przerwać tropienie, stanął na chwilę w kącie, żeby starannie podlać nogę stelaża, na którym wieszano mapy przed lekcjami geografii i historii, ale natychmiast potem rozpoczął zygzakowaty pościg.

Jan II Twardy zaniemówił. Stał z rozdziawionymi ustami, dłoń ciągle trzymał na wierzchu głowy i tylko wzrokiem przeprowadzał z lewej strony na prawą balansującego psiaka z zastępu Kontiki. Żuraw tropił ostatni. Dmuchał głośno, zakręcił pętelkę wokół nóg woźnego tak blisko, że wachlujący na znak zachwytu ogonek Żurawia uderzył w skórę buta zdumionego mężczyzny. Co to może być? Łaciate szczenię prowadziło swój nos czarny, błyszczący, gąbczasty, ruchliwy, tak nisko, tuż nad podłogą, ściśle po tej samej niewidzialnej krętej linii, którą wywachały nosy jego poprzedników, że aż chwilami powodowało to piskliwy pogłos od zetkniętego wilgotnego nosa ze śliską powierzchnią sztucznego tworzywa.

Tu już w duszy Jana II Twardego zagrał instynkt polowania, znany wszystkim Indianom i nie tylko Indianom. Ugiął nogi w kolanach, wspiął się na palce, schylił głowę jak najniżej, żeby dostrzec wreszcie ową niewidzialną, a istniejącą zaczarowaną nić i w swoich rozpaczliwie skrzypiących butach ruszył od ściany do ściany zygzakiem, ściśle po trasie psów. Uszedł w ten sposób kilkanaście kroków i nagle usłyszał za swoimi plecami spotęgowany echem korytarza, pełen zdumienia i zgrozy cienki głos:

- Czło-o-o-wieku! - wołał Jan I, zwany nie bez powodu Miękkim, który w sytuacjach przekraczających możliwość zachowania spokoju ducha zaczynał się zwykle jąkać. - Czło-owieku! Ty, niepijący, porządny gość??? Pan derechtór, jakby cię zobaczył, toby cię sklon! W ży-y-wy kamień by cię sklon. A twoja baba, ma-a-ło tego, że by cię sklina, jeszcze by ci pewno wa-a-łkiem od ciasta łeb wyhaftow-a-ła. Na bańce do szko-ły przyszedłeś? Na bańce?

Jan II Twardy wobec fałszywego posądzenia zachował się godnie jak bohater bajki o szklanej górze; nie obejrzał się, nie odwrócił głowy, nie przerwał upartego balansowania psim śladem, dziwnymi półkolami. Tylko warknął ze złością:

- Wysuwaj stąd!

Zgorszenie Jana Miękkiego wzrosło tak dalece, że nagle znany z łagodności człowiek przestał się jąkać.

- O, psia para, jak się zatacza!

- Dwie psie pary, nie jedna - odkryknął Jan II, podążając za szczeniętami.

Jan I Miękki zaczął krzyczeć:

- Harcerzom się pokazujesz w nietrzeźwym stanie? Już pan derechtór zasunie ci kazanie!

Marek Osiński objuczony jak wielbłąd namiotami, z którymi zmierzał do harcówki, przystanął i od paru minut obserwował dziwną scenę. Teraz dał znak biegącemu przez podwórze Felkowi.

- Pst! Pst! Posłuchaj, stary - szepnął do Felka - Jan Pierwszy Miękki rymuje.

Felek od razu nastawił uszy podobne do raketek pingpongowych.

- No! To ty nie wiedziałeś? On w ubiegłym roku poszedł, bracie, do Wydziału Oświaty prosić, żeby przysłali jakiegoś fachowca do naprawy rury kanalizacyjnej - szeptał, opierając się wygodnie na worku pełnym koców. - Ale biuro, jak to biuro. Powiadają, trzeba złożyć podanie. To Jan ani się wahał, wziął kawał papieru, długopis i błyskawicznie w imieniu szkoły złożył takie oświadczenie: „Rura pękła, jak wiadomo, w kącie się leje i zielono”. Wydział Oświaty przysłał ten utwór do szkoły. Razem z fachowcami.

Teraz od strony ciężarówki szedł sam drużynowy Andrzej Wróbel w szumie swojej szerokiej peleryny, która zagarniała w siebie cały letni wiatr i pachniała dymem ognisk, przestrzenią, Puszcą Jodłową, radosną, wakacyjną wędrówką. Już otwierał usta, żeby zgromić odpoczywających na progu patałachów, ale Felek zdążył przycisnąć palec do ust.

- Uwaga - szepnął. - Ale zgrywa!

Druh Andrzej Wróbel był równie łasy na zgrywę, jak na lody. Stanął. We trzech obserwowali Jana II Twardego, jak zgarbiony tropi na lekko przygiętych i trochę krzywych nogach, jak balansuje od ściany do ściany przez pusty korytarz, z dłonią naciskającą ciemną, idąc śladem szczeniąt w stronę szeroko rozwartych drzwi harcówki. Buty skrzypiały mu przeraźliwie.

Nagle stała się rzecz dziwna. Była pełnia lata. Chłodne wnętrze murowanego budynku szkolnego - nie las, nie majowy dzień! - a tu najwyraźniej usłyszeli kukułkę. Tak jakby w okolicy starej szafy, pozostawionej od dawna przy drzwiach izby harcowskiej, rozkukał się majowo ptak.

Uważnie spojrzeli po sobie. Czyżby się przesłyszeli? Ale nie! Znowu! Zupełnie wyraźnie.

- Ku-ku! Ku-ku!

To było niesłychane! W klatce na szafie hodowali kiedyś rodzinę białych myszy, ale teraz klatki tam nie widać, a ponadto, czy kto słyszał, żeby myszy kukały?

Druh Andrzej Wróbel ze zrozumieniem pokiwał głową. Felek zrobił odpowiednią minę. Już wiedzieli: to Fobusz, nikt inny! Od dawna ćwiczył się w naśladowaniu ptaków.

Jan II Twardy znieruchomiał, jakby zaczarowana kukulka zmieniła go w kamień i stał o parę metrów od szafy, za którą dały się słyszeć podejrzane piski, zagłuszone tajemniczymi słowami Fobusza:

- Hokus-pokus kabanokus, panowie pozwolą jeszcze raz od początku! Repeycja! Powtórka. Jak nauka, to nauka.

Wyskoczył zza szafy i biegł prosto w stronę progu, ścigany przez pękate wyżełki, rozbrykane i wesołe. Schylił się i trzymany w garści kęssem kabanosa nacierał podłogę, rysując wzór zawitych esów i floresów. Psiaki rozentuzjasmowane jeszcze raz wiodły nosami ściśle śladem kabanosowego zapachu, powtarzały dokładnie cały wonny trop, aż do starej szafy, przy której uśmiechnięty Fobusz rozdzielił sprawiedli-

wie na pięć równych części kawałtka kabanosa, dając każdemu z psiaków nagrodę.

Jan II Twardy uniósł dłoń z ciemienia i palnął nią w to samo miejsce.

- Takie buty, cholewka! Takie czary-mary!

Jan I Miękki zachichotał:

- A tyżeś głupi, chociażżeś stary.

- Druhu drużynowy, melduję! - wołał radośnie Fobusz. - Rozpoczęliśmy tresurę całej piątki. Węch na medal! Z takimi nosami można świat przewędrować.

Szeroki cień kucharza wypełnił na chwilę słoneczne wejście do szkoły.

- Stwierdzam dwa wykroczenia - wtrącił swoje uwagi kucharz - pierwsze: dietetyczne. Takie małe wyżełki nie powinny jeść wędliny. Drugie wykroczenie natury ekonomicznej.

- Aaaa! To zupełnie co innego! - wyjaśnił Fobusz. - Babcia przysłała mi w paczce trochę kabanosów i taki mały zuchelek, o, jak palec, wplątał się pomiędzy brudne skarpetki, pełne piasku... Więc ostatecznie... Może to psiakom nie zaszkodzi.

Marek Osiński zarzucił sobie na plecy dwa worki namiotowe nucąc:

- Wesołe jest życie wyżełka...

Jan II Twardy ciągle trzymał się za głowę i stał na środku korytarza jak nowoczesna rzeźba. Jęknął wreszcie boleśnie:

- Wspominał mi druh oboźny zaraz po przyjeździe, że zaczną się teraz u nas psie porządki w szkole. Nareszcie wyjaśniło mi się w głowie, co to mogło znaczyć! Podobnie regulamin obozowy zachwiał się tam u nich, w lesie, ledwo te fąfle wlażyły pomiędzy namioty. Czuję dusza moja, że i szkoła się zachwieje i mnie może przyjdzie stracić równowagę, chociaż jestem służbista i byle kundel nie wytrąci mnie z pozycji zasadniczej.

- Przecież ty się ju-uż okropnie za-a-chwiałeś. Jakbym na własne o-oczy nie widział, to bym nigdy nie mógł u-u-u-wierzyć - szeptał w osłupieniu Jan I Miękki, znowu się jąkając ze zdziwienia.

Jan II Twardy schylił głowę. W ciemnym korytarzu nie było widać wściekłości na jego twarzy, rozległ się tylko łoskot podkutych butów; zatupał bardzo szybko i groźnie, a echo szkolne, zaczajone w kątach, pomnożyło i ustokrotniło ten dźwięk.

- Wsuwaj stąd! - wrzasnął na kolegę.

Dobroduszny Jan I Miękki wionął bezszelestnie po schodach jak duch, z głową odwróconą do tyłu, i wypadł na szkolne boisko, w jaskrawy blask słońca, roztrzając misterną piramidkę menażek, przed którą stał Błyskawica, kończąc właśnie liczenie.

Kucharz dyżurujący przy rozładunku sprzętu gospodarczego aż zawył, opalenizna znowu nabrała intensywnej czerwieni. Wydobył z siebie potężny baryton, jakby jeszcze stał na zboczu Kamienia, przed swoją kuchnią:

- Szaszłyki mam zrobić z pana Jana Pierwszego Miękkiego? Żywcem do menażki się pcha, dietetyczna chudzina, widzieliście? My tu nie ludożercy! Woźnych jeść nie będziemy! Nawet miękkich.

- To nie ja! To Jan - zaczął lękliwie tłumaczyć Jan I Miękki.

- Jak nie jesteś Jan, to może Pafnucy?! - fuknął kucharz i odwrócił się plecami do speszonego Jana.

2. Narada w izbie harcercskiej

Błyskawica przystąpił do ponownego liczenia sprzętu obozowego. Fobusz wyjrzał na dwór i dogadywał:

- Dalej, menażki, za chwilę zbiórka.

Ostry gwizdek oboźnego. Krótki rozkaz:

- Baczość! Spocznij! Zastępami zbiórka.

Zrozumieli. Druh Andrzej Wróbel niósł worek namiotowy, zniszczony trochę, przyczerniały, z rysującym się na dnie wyraźnym rosochatym kształtem.

- Ooooo!!! - poleciał szumem porozumienia jeden spontaniczny dźwięk. A

później Felek nie mógł wytrzymać i za nim inni podawali sobie z ust do ust:

- Głownia! Głownia z ogniska!

Druh Wróbel zanurzył całą rękę w namiotowym worku, wydobył konar osmalony dymem, z jednej strony czarny, z drugiej brunatny, wyjęty wczoraj z płomieni, jeszcze pachnący żywicą i podniósł go do góry, żeby wszyscy widzieli, choćby nawet natura dała im niski wzrost i choćby stali na samym końcu zastępu. Westchnienie przeleciało po szeregach i nagle dzięki nadpalonej gałęzi sosnowej wyobraźnia ich, doskonalsza niż wzrok człowieka, ukazała im opustoszałą polanę na zboczu Kamienia zwanego Diabelskim, trawę spaloną słońcem, zdeptaną nogami Czarnych Stóp i wszystkich pozostałych zastępów, a dalej wawóz i szemrzącą po kamieniach wodę ze źródelka, spływającą do rzeki Lubrzanki, zobaczyli sosny wygrzane słońcem i ciemny masyw dębu, osłaniającego robaczki świętojańskie cienistym gąszczem liści. Na zboczu Diabelskiego Kamienia pozostał odcisnięty w trawie ślad namiotów. A ich tam już nie było! Cieeerp duuuszo moja!

Zastępami weszli do harcówki. Witali wzrokiem ten kąt ciasny, ale własny, pełen przywleczonych z każdej wędrowki najdziwniejszych znalezisk. Ulubione skarby geologiczne miały się teraz powiększyć o bryły kieleckiego marmuru, poznaczone rysunkiem wyraźnych żyłek. Pracownia fotograficzna pozwoli raz jeszcze zobaczyć to, co przeżyli na zboczu Kamienia, utrwalone mniej czy bardziej doskonale na taśmie: namioty, roześmiane twarze, wesołe zdarzenia podczas dziennych podchodów, regulamin obozowy, podkopany przez psiały, zajęcia z terenoznawstwa, przygotowania do uroczystych ognisk, artystycznie wykonane kukły i tyle, tyle fragmentów tego słonecznego miesiąca. Kronika pełna wesołych opisów, rysunków i karykatur czekała już na fotografie. Stawali ciasno zastęp obok zastępu, druh Andrzej Wróbel przyglądał im się uważnie, oni czekali na jego słowa. Zrobiło się cicho.

- Zgodnie z tradycją naszej drużyny - zaczął mówić - umieścimy nadpalony sosnowy konar w izbie harcercskiej, żeby przez cały rok towarzyszyła nam myśl o następnych wakacjach i następnych ogniskach.

- A dokąd pojedziemy? - szepnęła cicho Marek Osiński, bo chciałby już włączyć wyobraźnię, w marzeniach zaczął znów pracę wokół namiotów. Dostał jednak

szturchańca od zastępowego Maćka Osy; drużynowy mówił dalej:

- Sami wybieriecie miejsce, które za rok, a może tylko za jedenaście miesięcy, stanie się terenem następnego naszego obozu.

- Może morze? - westchnął Marek Osiński tak cicho, że tym razem nawet Maciek Osa nie usłyszał.

- Może okolice Kartuz albo Zielonogórskie - mówił groźny oboźny - może Bieszczady. Czasu mamy niedużo, jedenaście miesięcy zleci jak czapka z głowy, trzeba więc już teraz myśleć i rozejrzeć się, bo prawdziwi harcerze przygotowują się porządnie na spotkanie z nowym terenem.

Andrzej Wróbel potrząsnął czarnym konarem.

- Odłóżmy tę sosnową gałąź na miejsce, gdzie spoczywały zazwyczaj głównie wyjęte z ostatnich ognisk. Będzie tu czekała, póki nie zapalimy pierwszy raz ognia na nowym terenie.

Dał znak druhowi Patelni, który miał dziś wystąpić w roli trębacza. Druh Patelnia przyłożył do ust instrument zwany kornetem, wciągnął głęboko powietrze, nadął policzki, jak tylko mógł, wskutek czego stał się podobny nie tylko do Patelni, ale do rękawicy bokserskiej - i zagrał żałośnie, smutno, płacząco, na pożegnanie wspomnień obozowych. Jego zbyt rzewne uczucia dodały mu sił, spowodowały nadmierne dmuchanie, z kornetu wydobyły się tony o groźnym natężeniu, beklliwe, skrzeczące, dziwnie podobne do głosu kobzy.

Nagle włączył się głos jeszcze żałośniejszy, jękliwy i smutny, z lekka ochrypły. Wszyscy spojrzeli na Franka Fobusza, specjalistę od zwierzęcych miauczeń i ryków, on jednak miał usta zamknięte i rozwartymi ze zdumienia oczami szukał źródła rozpaczliwego wycia.

Zauważyli. Czarna Stopka podniosła do góry łebek i ściągnąwszy wargi w małe kółeczko wtórowała smętnemu pobekiwaniu kornetu. Żuraw odpowiedział Czarnej Stopce wydobywając z psiego serca żalorny skowyt, podobny do jęku. Na ten zew odezwał się Pihmek, a jego skomlenie było zupełnie meteorologiczne; tylko wiatr listopadowy gwizdże tak przejmująco nocami, zwłaszcza, jeżeli znajdzie szparę w kominie albo w murach starego domu. Czy w tej sytuacji mały Puchatek mógł milczeć? Okrętowa syrena wzywająca pomocy grała potężnie, głośząc kornet i pozostałe szczenięta.

Fobusz uniósł ręce, żeby sobie zasłonić uszy, gdy nagle zew dalekiej Północy wzniosł się nad wszystkie decybele i ultradźwięki. To zaczęła swój podbiegunowy płacz Biała Foka, tak samo jak jej rodzeństwo ściągając mordkę i podnosząc głowę do góry.

Patelnia właśnie odjął kornet od ust, ale jeszcze z jego twarzy nie zniknął wyraz artystycznej ekstazy. Nagle dosłyszał psie wycia, psi harmider, psi akompaniament, psi zespół wokalny, dający niezwykle koncert. Oczy Patelni pełne rozmarzenia zwróciły się na instrument muzyczny i zdumiony harcerz otrząsnął się stopniowo z zadumy, zerknął naokoło, jeszcze nie rozumiejąc. Franek Fobusz ułatwił mu sytuację. Wziął głęboki wdech, zawył, a psiaki natychmiast podwoiły natężenie swoich głosów.

Druhowie z trudem opanowali śmiech. Patelnia w pierwszej chwili miał zamiar obrazić się na cały świat, ale widok uniesionych psich pyszczków rozbroił go zupełnie.

- Żał wam swobody, co?! - zapytał poklepując kolejno wyjca za wyjcem. - I mnie żal. Jeszcze jak!

Andrzej Wróbel uroczyście położył na środku izby konar przywieziony z Diabelskiego Kamienia, zdawało im się, że cicho przy tym westchnął.

- Siadajcie - powiedział.

Utworzyli krąg, jak przy ognisku, i nagle wybuchła wrzawa; wszyscy mówili jednocześnie. Może chcieli zagłuszyć w sobie ten wyczuwalny smutek, że to już nie las naokoło, że nie słychać grzechotu kamieni w wąwozie, przesypanych uderzeniami strumyka, że to już nie Góry Świętokrzyskie, że ten fragment wakacji minął. Zaczęli więc opowiadać sobie nawzajem wszystko, co przeżyli. Postępowali jak ci, którzy każdego ranka dokładnie opowiadają program telewizyjny kolegom, chociaż wiedzą, że ich słuchacze oglądali go równocześnie, bo właśnie uzupełniają szczegóły, dodają to, co im utknęło w pamięci najmocniej.

Felek ulokował palec na bluzie Bochenka i wołał:

- A ta noc, kiedy burza przewróciła namiot? O, lichu! Tu ciemno, wicher, a tam krzyki przeraźliwe: ratunku, warta!!

Bochenek rozpromienił się szerokim uśmiechem.

- No! Albo jak regulamin obozowy zachwiał się pewnego dnia i już nawet groźny oboźny nie mógł nic poradzić.

Teraz włączył się Fobusz.

- A z tym noszeniem wody ze źródelka, cooo?

Felek podskoczył na samo wspomnienie. Dostrzegł Jana I Miękkiego, który próbował zebrać do kosza i wynieść pięć szczeniąt. Pochylił się nad Janem, inni zrobili to samo. Nareszcie mieli słuchacza. Skarb! Otoczyli go ze wszystkich stron, a Fobusz aż oczy przymykał mówiąc o tamtym zdarzeniu:

- Któregoś dnia, naprawdę nie uwierzyłby pan woźny, zaraz na początku, le-dwośmy przyjechali, kucharz wysłał mnie i Felka z kotłem, bo właśnie Czarne Stopy miały służbę. Lecimy. Nie minęło dziesięć minut, no, góra piętnaście, a jesteśmy z powrotem. Świetnie. Tylko że nasz druh kucharz to czyścioszek, jakich mało, każda marchewka musi być elegancko wymyta.

- Nie mówiąc o mięsie! Mięso to z pięć razy kąpał - wtrącił Felek.

- Aniśmy się obejrżeli, już wody nie ma.

Jan I kiwnął głową na znak, że słucha i rozumie doskonale rozwój sytuacji. Fobusz mówił dalej:

- Tym razem zastępowy Maciek Osa wysłał po wodę Marka Osińskiego i Błyskawicę. Czas upływa, obiad musi być podany punktualnie, tak nakazuje regulamin, a tych obwiesiów nie widać. Uplłynęło już dobre pół godziny.

- Coś ty? Godzina! - poprawił Felek.

- Jeżeli nie więcej - uzupełnił kucharz.

Fobusz machnął ręką.

- No więc, godzina. Wreszcie leżą z kotłem. Ale zarumienieni bardzo, wesoło im jakoś i od razu nasz druh kucharz wyniuchał, że musi w tym być jakaś tajemnica. Krzyczał wściekle! Cały kocioł wody zużył od razu na rosół i powiada tym samym dwu harcerzom: „Szybko. Idźcie jeszcze raz. Dziś taki obiad, że dużo wody potrzeba”.

Jan I Miękki słuchał kiwając głową. Nawet pieski nastawiły uszu. Felek skorzastał z okazji, żeby opowiadać dalej, zanim Fobusz otworzy usta.

- Nie ociągali się. Z wesołym pogwizdywaniem ruszyli na ścieżkę. Ledwo zakryła ich zieleń, nasz kucharz ustawił przy rosole Zenka i mnie, a sam, sprytny jak lis, odrzucił precz białą czapę, ściągnął z siebie fartuch, wskoczył w ciemnozielony dres i buch na ziemię. Cud, że sobie nie zgniótł brzucha. Cud!

- Oczywiście - potwierdził uprzejmy Jan i kiwnął głową przyglądając się kucharzowi. - Cud!

- No! No! - kucharz pogroził obu chłopcom. - Zostawcie mój brzuch w spokoju. Ty, Fobusz, nie mógłbyś nikogo wytropić ze swoją czupryną w kolorze wiewiórki. A Felka poznałaby zaraz po uszach.

Fobusz chrząknął ostrzegawczo. Kucharz klepnął go w plecy potężną dłonią.

- Dobra, dobra. Przyganiał kocioł garnkowi, a sam smoli. Mów, co dalej było.

- Jak Marek i Błyskawica poszli ścieżką, to kucharz na skrót. Podchodów się druhowi kucharzowi zachciało. Wylądował pierwszy przy źródelku. Leży. Czeka. Mrówki zaczynają po nim łązić. Łaskoczą go. Próbuja, czy twardy. Czas ucieka. Marka i Błyskawicy nie widać.

Kucharz przerwał:

- Kamień w wodę. Kamień w źródło. Ale słyhać ich głosy. Kawaty opowiadają, krzyczą coraz głośniejsze, a potem wybucha śmiech.

Fobusz podjął dalszy ciąg.

- I tu nasz kucharz rozpoznał inne tonacje, nie tylko tenory Błyskawicy i Marka, nie, nie... Kucharz usłyszał też cieniuchne śmiechy, bo ta ścieżka do źródelka prowadziła dziwnym zbiegiem okoliczności jakąś okrężną trasą, tuż obok terenu harcerki. Pan Jan sobie wyobraża? Druhny wykazały poczucie humoru, zaśmiały się z dowcipów Marka i Błyskawicy. No i od tej pory każdy zastęp służbowy, jak tylko szedł po wodę, to z góry było wiadomo, że wsiąknie. Na godzinę, na dwie... Różnie. Pan Jan wierzy? Do źródelka blisko, a droga trwała coraz dłużej. Dziwne, że nie przeszliśmy w ogóle na suchy prowiant pod koniec lipca. Gdyby nie groźny oboźny, dla którego regulamin obozowy to świętość, wyschlibyśmy z braku wody.

Felek odsunął Fobusza, zbliżył się do woźnego.

- No! Trochę Fobusz przesadził, ale co prawda, to prawda. Bo nasz Marek już wcześniej zawarł znajomość z druchenkami. Jak nas groźny oboźny posłał na terenoznawstwo, samych artystycznie uzdolnionych, to druchenki zniemacka spotkały Marka, zajętego uprzątnięciem różnych nieczystości - krowich placków, gęsi fajek. I wtedy Marek o mało pod ziemię się nie zapadł, o mało ze wstydu się nie spalił. Dla niego

przecież istnieje tylko muzyka, literatura, poezja, kronika obozu, biblioteka, sprawy artystyczne, a tu taka fatalna robota.

Felek zaczerwienił się na samo wspomnienie tego dnia.

- Groźny oboźny przerobił nas wtedy niewąsko! Potrzeba mu było druhow z artystycznymi zdolnościami, a później musieliśmy łajno zakopywać.

Marek Osiński zawołał, przekrzykując innych:

- Ech! Powiem jedno: żałuję, że już nas nie ma na zbocz Diabelskiego Kamienia. Do końca wakacji zostało jeszcze trochę czasu, może zorganizujemy jakiś biwak, ale cały lipiec, to było prawdziwe harcerskie życie!

Felek dodał:

- Nawet żeby do rana opowiadać, i tak wszystkiego nie opowiemy.

Fobusz dostrzegł w mroku za rozwartymi drzwiami harcówki sękatą jak pięść głowę Jana II Twardego. Więc mieli publiczność. Uradowany zaczął wołać znacznie głośniejsze:

- A już ze wszystkich przygód najlepsze były te podchody, kiedy partyzant Leśne Oko nas wykołował, tak druha oboźnego zrobił na szaro! Jak to druha oboźny przemawiał do kota? „Obywatelu, przestańcie rzucać do celu! Rozkazuję wam, obywatelu, zejście na dół”. I była to najpiękniejsza mowa do kota, jaką w życiu słyzałem.

Oboźny dostał kaszlu połączonego z chrypką. Wreszcie, kiedy mu przeszło, sięgnął po gwizdek i cicho, kilkakrotnie dmuchnął, co natychmiast uspokoiło gwar. Bo razem z tym odgłosem weszły tu szumiące przed wieczorem sosny i wiatr od strony Puszczy Jodłowej, i senne ćwierkanie ptaków po zachodzie słońca, i zapach trawy zwilżonej rosą i dym ognisk, i błyski sygnalizacji z głębi lasu. Ten i ów doznał ucisku serca, zapragnął jak w bajce zamknąć oczy i znów być tam...

Oboźny tymczasem pytał Andrzeja Wróbla:

- Słuchaj, stary. Masz podobno list od partyzanta Leśne Oko? Chciałbym wysunąć propozycję. Wklejmy te kartki do naszej obozowej kroniki. Wzbogaci ją to. Każdy będzie mógł zajrzeć, kiedy zechce, przeczytać. Akceptujesz?

Odezwały się pojedyncze głosy:

- Racja!

- Przynajmniej nie zginie.

Marek Osiński aż poczerwieniał.

- Druhu! Dla kroniki to skarb! Skarb. I zupełnie co innego czytać samemu, po cichu. Poza tym nikt nam takiego listu nie zniszczy, nie zachachmęci.

Andrzej Wróbel słuchał uważnie, cień ironii przewinał się w jego wesołym spojrzeniu, wargi drgnęły opanowując śmiech.

- Naturalnie, są to argumenty przypadające mi do przekonania - mówił na pozór bardzo poważnie. - Każdy będzie mógł sam, bez gromady świadków, rozszyfrować to, co pisze o nim Leśne Oko, stosując alfabet Morse'a. Zainteresowany druha będzie mógł w ciszy przemyśleć uwagi dawnego partyzanta. Dotychczas tylko ja czytałem ten list i muszę się przyznać, że wśród kropek i kresek znalazłem o każdym z nas, o każdym zastępie, o wszystkich wyczynach opinię bardzo pozytywną. Nawet groźny oboź-

ny wydaje się mieć w relacji partyzanta skrzydła u ramion i być aniołem obozu.

Groźny oboźny uniósł dumnie głowę, nos opalony trochę za mocno błysnął czerwienią. Andrzej Wróbel obserwował go z ukrytym rozbawieniem - wzrok drużynowego pod niemal całkiem spuszczoneymi powiekami był uważny, ale i pełen wesołości. Fobusz od razu trzepnął Marka w łopatkę.

- Nie garb się, tylko patrz. Nasz oboźny miał niezziemskiego pietra, że go partyzant opisał jak żywego: surowy, gwizdek na szyi, rozkazy, kary, nie to, co nasz Wróbelek. A teraz kamień spadł oboźnemu z serca prosto na półkę z geologicznymi zbiorami.

Druh oboźny zawołał głosem potężnym, jakby stał jeszcze na polanie między drzewami, nie w ciasnej harcówce, której sufit odbijał każdy dźwięk dając pogłos, jakby z kosmosu.

- Kronikarz! Bierz od razu ten list i wklejaj. Uzupełnij opisem, fotografiami. Pamiętaj: kto będzie chciał przeczytać, udostępniaj w każdej chwili.

Marek wyprężył się na baczność. Widział, że chłopcy pokpiwali z oboźnego, śmieszyło ich zadowolenie „groźnego”, puchnącego z dumy, kiedy mimo pewnych wad, uciążliwych w życiu zbiorowym, oceniono go łagodnie. Tylko Marek doskonale rozumiał uczucia ogórkonosęgo. Pamiętał, co to znaczy być zakałą, a później stopniowo móc udowodnić, że wprawdzie miało się zakalec na palec, ale należy to już do przeszłości. Z entuzjazmem więc odkrzyknął:

- Tak jest, rozkaz, druhu groźny-oboźny!

Wziął kartki pokryte gęsto szeregami kropek i kresek, otworzył kronikę, ułożył list i westchnął:

- Ej, Leśne Oko! Szkoda, że nie ma cię z nami. Zaraz po zbiórce przeczytamy te kartki.

Tymczasem oboźny zwrócił swój nos do Andrzeja Wróbla.

- To może byśmy sobie ryknęli jakąś pieśń, co ty na to, stary?

Drużynowy potrząsnął głową.

- Tradycja tego wymaga, żebyśmy śpiewali dziś tak samo, jak przy ognisku. Później schowamy głównie z Gór Świętokrzyskich i będzie na nas czekała do następnych wakacji.

Patelnia znów odegrał swój hejnał, okropnie fałszując, a potem nie przestawał badać instrumentu muzycznego; przykładał do lewego oka, do prawego, jak lunetę, aż wreszcie, kiedy harcerze wrócili do rozładunku, próbował przedmuchać kornet i wykonać fanfarę jeszcze raz. Jego wysiłki dały nadszpodziewany rezultat: Czarna Stopka, obdarzona rodzajem słuchu muzycznego, w odpowiedzi na uparte fałszowanie wydłużyła szyję, ściągnęła pyszczek w małe kółko i odwiecznym psim zwyczajem zawyła jeszcze boleśniej, niż poprzednio:

- Aaaaa-uuuuu!!

Kucharz wytłumaczył to po swojemu:

- Zgłodniał szczeniak i nie można się dziwić. Tyle czasu bez jedzenia! Zastęp służbowy, do mnie. Regulamin obozowy jeszcze nas obowiązuje!

Fobusz porwał leżącą najbliżej menażkę i zaczął w nią bębnić zupełnie tak, jak przed posiłkami w Górach Świętokrzyskich. Od razu chór podjął zgodnie i harmonijnie piosenkę, wykonywaną tyle razy:

Dru-hu! Dru-hu! Jeść nam się chce!

Dru-hu! Dru-hu! Jeść nam się chce!

Zołądek piszczy, człowiek się niszczy.

Druhu, druhu, jeść nam się chce!

Na to hasło kucharz był znakomicie przygotowany; roześmiał się głośno, wyskoczył na podwórze, chwycił potężny wór, dobrze wyładowany chlebem, zarzucił go sobie na plecy i ruszył w stronę izby harcerskiej.

Oboźny popędzał zastęp służbowy i pomocników, którzy samorzutnie przystąpili do podziału żywności pomiędzy chłopców. Jan I Miękki wytrwale poił czystą wodą szczenięta i podsuwał im herbatniki.

Marek Osiński zaczął nieśmiało:

- Jakbyśmy już dziś ustalili, gdzie będzie ten obóz na przyszłe wakacje, mógłbym od razu przygotować lekturę dla zastępów.

Andrzej Wróbel spojrzał uważnie na bibliotekarza.

- Brawo! Dobra myśl. A więc wysuwajcie propozycje.

Fobusz wyrwał się pierwszy:

- Druhu! Siwa Polana między Doliną Chochołowską i Kościeliską.

Błyskawica parsknęła pogardliwie:

- Phy! Zakopane o dwa kroki, więcej turystów i samochodów niż owczych bobków. Odpada.

Fobusz poczerwieniał z gniewu, jego czoło pod marchewkowymi włosami załśniło kropelkami potu.

- Ciekawe, co ty proponujesz!

- A proponuję! - oświadczył Błyskawica. - Będę was przekonywał, aż przekonam.

- To mów!

- Aha! Powiem. Ale jeszcze nie teraz.

- Bo nie masz gotowych propozycji, dopiero musisz wymyślić!

- Mam. Od razu napiszę swoją propozycję na kartce i dam druhowi drużynowemu. To będzie sekret mój i druha. Jeżeli ktoś zgłosi to samo, co ja, druh powie. Zgoda? Może tak być?

Andrzej Wróbel przyjął warunki.

- Dobra. Pisz kartkę. A wy tymczasem zgłaszajcie propozycje.

Hindus przełknął szybko i zaczął:

- Ja to bym tak jeszcze raz pojechał nad Lubrzanę.

Zakrzyczeli go.

- Możesz pojechać nawet i na równik! Ale tu się mówi o terenie kolejnego obozu.

- Wyspa Wolin! - zawołał Marek, wierny swoim marzeniom - otwarte morze,

lasy, świetne drogi, sady owocowe.

Zaczerwienił się nagle. Był zupełnie mały, kiedy poznał tamte okolice; teraz ogarnęły go wątpliwości, czy potrafiłby uzasadnić swój wybór.

- A co podobało ci się najbardziej na wyspie Wolin? - zapytał Andrzej Wróbel.

- Ujście rzeki Dziwny do Bałtyku. Można tam siedzieć godzinami. Rzeka Dziwna wąskim kanałem idzie w morze i zderza się z falami, zupełnie, jakby się z nimi chciała bić, a fale wyskakują jedna wyżej od drugiej. Wie druh, mewy na tych falach bujają się jak na huśtawce. Dorosłe i małe pisklaki.

Błyskawica krzywi usta.

- Nad morze? W sezonie? To nie dla nas! Dowali tłum i dwóch stóp człowiek na piasku nie zmieści. Całe wakacje na jednej nodze? Jeszcze nie zwariowałem.

Nagle kucharz zerwał się przerażony, menażka potoczyła się z brzękiem w kąt izby.

- Coś ty zrobił?! - krzyczał wielkim głosem do Fobusza.

- Jak to, co? Dałem naszej Czarnej Stopce mały deser. Coś na ząb.

- Skórkę od kielbasy?

- No!

Kucharz podniósł obie ręce.

- Przecież to był papier! Sztynny pergamin! I Czarna Stopka wykituje! Nigdy tego nie strawi. Przenigdy. Takie delikatne maleństwo! Doktora! Weterynarza! Pogotowie ratunkowe!

Zapadło milczenie. Wszyscy patrzyli na Fobusza pytająco. Pies oblizywał się różowym ozorkiem, jego czarny, błyszczący nos poruszył się w lewo, w prawo na znak zainteresowania dalszymi kąskami. Był najwyraźniej w dobrej formie.

- Nie wygląda na konającego - stwierdził Marek Osiński. - Dla pewności weź go teraz Franek na dłuższy spacer i obserwuj, czy zacznie wypuszczać poranne wydanie gazetki.

Fobusz odwrócił się bez słowa, zmierzył wściekłym spojrzeniem najbliższych sąsiadów, niepewny, czy to kpiny. Andrzej Wróbel poparł diagnozę Marka.

- Pochodź z nim koniecznie jakiś czas. Ruch dobrze mu zrobi, zwłaszcza, że jest niemową. Nie powie, czy mu coś dolega, prawda?

Czarna Stopka entuzjastycznie machała kluskowatym ogonkiem i biegła tuż obok Fobusza.

Jan I Miękki pochylił czule głowę nad koszykiem, uśmiechnął się z wyrazem szczęścia na twarzy i spytał z zaciekawionym:

- A właściwie to gdzieście zdobyli te fąfle?

- Tak sobie... psim śwędem - bąknął rozszoszczony Fobusz. I nagle zatrzymał się, bo szczeniak zaczął obwąchiwać słupek. - A który najładniejszy? Jak pan myśli?

- Bo to wiadomo? Wszystkie fajne. Można powiedzieć: jeden pies.

Fobusz wykrzywił usta, nie znalazł jednak słów oburzenia. Biegł ciemnym korytarzem w kierunku wyjścia na dziedziniec i szeptał rozdrażniony:

- Widzicie go! Jeden pies! On by na pewno nie umiał odróżnić Białej Foki od Żurawia, Żurawia od Puchatka, Puchatka od Pihmka, Pihmka od Czarnej Stopki, słonia od hipopotama. Widzisz, piesku, co to za typ? To tak, jakby ktoś nie mógł odróżnić Jana I Miękkiego od Jana II Twardego. Dla niego to wszystko - jeden pies!

3. Ktoś na druha grucha

Upłynęło nie więcej niż pięć minut, a Fobusz wracał do izby harcerskiej.

- On chyba zafundował porcję rycyny w aptece tej małej psinie - martwił się kucharz. - O ile znam Fobusza, myślę, że znalazł jakieś genialne rozwiązanie. To ma być spacer? Godzinę trzeba ze szczeniakiem połączyć albo więcej. Dla zdrowia.

- Gdzie druh Wróbel? - pytał Fobusz niezwykle podniecony.

- Jestem! No? Co tam dobrego? Była już gazetka poranna?

- Druhu drużynowy, ktoś na druha grucha... to jest... chciałem powiedzieć, ktoś na druha chucha. Przepraszam! Ale tak mnie speszyło z tym papierem od kielbasy. Tam ktoś na druha czeka.

Milczenie. Czy groźny oboźny poczuł, że ochrypl w czasie nocnej podróży ciężarówką, czy chleb zadrapał go w gardle? Nie wiadomo. Po prostu chrząknął. Andrzej Wróbel zapytał:

- No więc, Fobusz? Kto tam na mnie grucha?

- Czeka. Taki jeden. Ułomny.

Marek Osiński zeskoczył z drabiny.

- Leśne Oko! - zawołał z ogromną, radosną nadzieją. - Partyzant Leśne Oko.

Na pewno przyjechał!

Fobusz machnął ręką.

- Gdzie tam! Ależ ty jesteś. Od razu by za nami samolotem gonął. Albo helikopterem. Był tam obok nas i ciągle się krył, a tu gnałby za nami, żeby chwilę pogadać? I ja bym go nie poznał?!

Andrzej Wróbel skierował się do drzwi.

- Powiadasz: ułomny. To już wiem.

Fobusz donośnym szeptem poinformował kolegów:

- Taki jakiś gapowaty. A poza tym... kuternoga.

Jednym susem Andrzej Wróbel wrócił od progu. Stał pomiędzy nimi w milczeniu, jego peleryna drżała lekko, druhy jeszcze nie zakończyła biegu. Zrozumieli, że stało się coś okropnego: nozdrza drużynowego poruszały się ledwo dostrzegalnie, co wróżyło bezapelacyjny, dziki gniew.

- Bądź uprzejmy, Fobusz - Andrzej Wróbel mówił to zupełnie cicho - powtórz ostatnie słowo. Powtórz je wyraźnie, żeby wszyscy słyszeli.

Twarz Fobusza stopniowo białała. Z opalenizny zostały właściwie same tylko piegi. Czerwone włosy płonęły nad pobladytym czołem, jakby wołały: „Ratunku! Na pomoc!”

- Druhu, nie, bo...

Drużynowy spojrzął do góry.

- Niebo? Jakoś nie widzę. Tylko sufit.

W innych sytuacjach wywołałoby to na pewno śmiech, ale dziś! Drużynowy też przybladł, co w połączeniu z ruchem nozdrzy zwiastowało burzę w ich solidarnej, rozumiejącej się nawzajem drużynie.

- No, bo tam stoi taki jakiś i pyta mnie o druha. Czy ja wiem, kto to może być?

Andrzej Wróbel zawołał porywczo, co zdarzało się niesłychanie rzadko:

- Jeżeli Fobusz uznał, że powinien was poinformować i to w taki sposób, o tym, kto na mnie czeka, przedstawię go wam od razu, jeszcze zanim go poznacie. Słuchajcie!

Wyciągnął kartkę z kieszeni munduru, zaczął czytać:

- „*Wyrokiem Sądu Powiatowego skazany został na trzy lata więzienia mieszkaniec wsi Rokitka, pod Orzyszem, Henryk Osteń, który maltretując ustawicznie swojego dwunastoletniego pasierba, Tadeusza Pióro, doprowadził w konsekwencji do trwałego kalectwa chłopca*”.

Zaległa cisza zupełna, jakby w izbie nie było nikogo. Drużynowy czytał dalej:

- „*Henryk Osteń znęcał się i bił pasierba najczęściej bez żadnego powodu. Piętnastego lutego ubiegłego roku, w czasie nagłego ataku silnych mrozów, Tadeusz Pióro, po kolejnej awanturze wypędzony z domu nocą, schronił się w stogu siana. Zasnął twardo w lekkiej odzieży przy kilkunastu stopniach mrozu, stracił przytomność i znaleziono go dopiero po kilku dniach z odmrożonymi nogami. Lekarze w szpitalu zdołali uratować chłopcu życie, ale zaszła konieczność amputowania lewej stopy*”.

Marek Osiński samym ruchem warg przycisniętych dłońią zapytał:

- I on tu właśnie jest?

Andrzej Wróbel kiwnął głową.

- Druhu! - gorączkował się Marek. - Idziemy! Po co ma czekać? Może już miał dosyć i nawią? Chciałem powiedzieć: odszedł?

Oboźny mruczał gniewnie:

- Że też ty, Andrzej, dwóch dni przeżyć nie możesz bez jakiejś akcji społecznej.

- Wolałbyś, żebym był aspołeczny? - z miejsca odciął się drużynowy. - Sytuacja jest jasna: Fobusz razem z naszym oboźnym ustanowili partię opozycyjną przeciwko nowemu druhowi. Może są jeszcze inni zwolennicy społecznej obojętności, proszę, niech dołączą do nich.

Podniosła się wrzawa protestów, chłopcy otoczyli Andrzeja Wróbla, który po chwili wysapał z siebie gniew i powiedział spokojnie:

- Zaraz przyjdę z Tadkiem Pióro. Poznacie go bliżej. Zastanowicie się, czy możemy go przyjąć do któregoś zastępu.

- Więc on - Marek Osiński ledwo mógł mówić z emocji - zostanie z nami?

- Tak. Będzie się uczył, a może przyjmie go do naszej drużyny - zawołał Andrzej Wróbel, biegnąc już korytarzem do wyjścia.

Chłopcy nie mogli się doczekać i powoli, jeden za drugim wymykali się na boisko. Dopiero przy samej bramie zwolnili kroku.

Zrobiło się zupełnie cicho; żwir pod ich nogami zgrzytał i ten jedyny dźwięk wypełnił szkolne podwórze rytmicznym szeptem ziemi. Pod murem okalającym szkołę stał chłopak wsparty na kulach, blade, z lekka przysypany piegami, ale bez przesady, zresztą i piegi były takie popielate, może przerażone zaskakującymi sytuacjami, schowały się głęboko w skórę, która dawno nie widziała słońca. Jego mizerną twarz charakteryzował wyraz obojętności czy spokoju. Markowi przemknęła przez głowę myśl o wyblakłej fotografii. Szare oczy Tadeusza Pióro patrzyły nieruchomo na bramę, jakby nic nie widząc, a jego wargi ściągnęły się w mały, popielaty supełek. I dopiero niespodziany uśmiech na powitanie Andrzeja Wróbla zbudził inteligencję drzemiącą w tym niepozornym, nijakim chłopcu. Pojawiło się mnóstwo światła w jego szarych oczach.

- On jest w dechę - zawołał szeptem Felek - a już myślałem, że to będzie fajtłapa. Idziemy do niego, chłopaki!

Ruszyli całym zastępem, odsuwając innych druhow. Maciek Osa przystanął i zapytał Fobusza:

- No, a ty? Zostajesz?

- Gdzie się będę pchał? Po kiego diabła. Czy ja jestem korpus dyplomatyczny przeznaczony do witania gości?

Marek Osiński z daleka dosłyszał ostatnie słowa. Zawołał głośno:

- Zostawcie Fobusza, tego babcinego pupilka, on musi chronić własny pępek przed zaziębieniem. Aaa... psik!

Dziwne, jak spontanicznie i jednogłośnie włączyli się chłopcy w zbiorowe kichnięcie. Wołali chórem:

- A psik!

I chórem odpowiadali:

- Na zdrowie!

Tadeusz Pióro stał jeszcze przy bramie rozmawiając z Andrzejem Wróblem, gdy usłyszał zgrzytanie żwiru na szkolnym boisku, a potem kichanie i okrzyki „na zdrowie”. Odwrócił się w tym kierunku, jego blade, niemal popielate wargi ściągnęły się znowu w znak absolutnego milczenia.

- Stać! - powiedział oboźny przyciszonym głosem, zatrzymali się więc w polowie drogi. - Zanotujcie sobie w pamięci: jeżeli któryś z was ośmieli się powiedzieć o Tadku Pióro „kuternoga”, „fajtłapa” czy coś w tym rodzaju, to pożałuje; tego samego dnia podaję takiego na radę drużyny, do skreślenia.

Spojrzeni po sobie nie odzywając się. Ktoś chrząknął. Oboźny chrząknął także.

- No! To idziemy - bąknął po chwili.

- Zły ten oboźny nie jest - Maciek Osa wykrzywił usta, jakby rozgryzł pestkę z cytryny - tylko usiłuje być okrutnie groźny.

- Żeby mieć rym do słowa „oboźny” - szepnął Marek Osiński.

Szli dalej ostrożnie, wolno, zdumieni wyrazem zgrozy na twarzy Tacka. Jego wargi były już tylko małą, popielatą kreseczką, natomiast oczy powiększały się, lęk rozszerzał źrenice, nadawał chłopcu wyraz jelonka, znieruchomiłego przy spotkaniu z ludźmi, gotowego jednym susem pierzchnąć w las. Ale tu nie było drzew, a Tadek Pióro nie miał sprężystych nóg ani mocnych mięśni jelonka; jego noga utraciła na zawsze sprawność równą sprawności kroczących po żwirze chłopców. Zauważyli: garbił się, mocniej ujął oburącz kule, wsparł się na nich całym swoim ciężarem, aż barki sterczały do góry po obu stronach głowy. Zrozumieli, że boi się gromady obcych kolegów, ich siły, ruchliwości, krzyku, śmiechu. Może przewidywał, że tu, jak w domu, w rodzinnej Rokitce, na każdym kroku spotykać go będzie brutalność.

Andrzej Wróbel położył dłoń na ramieniu Tacka i powiedział pogodnie, ze swobodą człowieka pewnego swoich słów:

- Zobacz, ilu teraz będziesz miał przyjaciół! Cała drużyna harcerska zostaje twoją rodziną. Jak ci się to podoba? Sporo drapichrustów, co? Patałachy, mam nadzieję, że zaprzyjaźnicie się z Tackiem?

Czy to możliwe, żeby ziemiste policzki chłopca jeszcze bardziej pobladły? Pobladły również piegi, przez usta przeleciał szybko skurcz i zniknął. W oczach zamiast przerażenia zjawiała się powaga. Stał nieruchomo w swojej uciążliwej pozycji przed Andrzejem Wróblem i czekał.

- Idziemy do izby harcerskiej - zdecydował drużynowy. - Zrobiliśmy sobie małą przerwę w rozładunku biwakowych gratów. Dopiero co wróciliśmy z Gór Świętokrzyskich, wiesz, i teraz właśnie zaczęła się rozmowa na temat następných wakacji. Może cię to zainteresuje?

- No i kończymy śniadanie, trzeba wszystko pozjadać, zanim chłopcy rozpierzną się na cztery wiatry - dodał kucharz.

Tadek Pióro nic nie powiedział, zacisnął tylko mocniej dłoń na drewnianych kulach, aż palce pobielały mu od wysiłku, gdy ruszył równo z Andrzejem Wróblem. Szli po sypkim żwirze, a później po piasku boiska jeden obok drugiego, poważni, skupieni, a chłopcy ze wszystkich zastępów ostrożnie posuwali się za nimi, patrząc niespokojnie, jak nowy kolega stara się pokonać trudności i nie utracić tempa. Garbił się przy tym i robił głębokie zamachy kulami, dopóki brnął po grząskim piasku. Ledwo dotknął stopą i końcami kul śliskich schodów, od razu stał się bardziej uważny, ramieniem sunął wzdłuż poręczy, asekurując się w ten sposób na wypadek poślizgu. Nie mieli odwagi pomóc mu. Tylko trzymali go wzrokiem, a on szedł i szedł odważnie, wreszcie stanął i powiedział:

- Uczyłem się chodzić w sanatorium i nie mogłem się nijak nauczyć, ale już teraz udaje mi się to świetnie. Patrzcie no tylko!

Wsunął obie kule pod pachę, lewą ręką położył na poręczy i zaczął skakać na jedynej zdrowej nodze. Nogawka spodni nad nie istniejącą lewą stopą powiewała w miarę nierytmicznych szarpnięć. Chłopcy wstrzymali dech, ale w dalszym ciągu nie zdobyli się na jakiegokolwiek słowa.

Drużynowy wskazał otwarte drzwi.

- To jest nasza izba harcerska. Teraz już nie skacz i uważaj, bo płyty posadzki są bardzo wyslizgane.

- Dobra - szepnął zadyszany Tadek Pióro.

Na jego czole błyszczały krople potu. Psiaki wybiegły z entuzjastycznym powitaniem i to rozładowało napiętą sytuację. Marek wreszcie odzyskał mowę.

- Każdy zastęp ma jednego szczeniaczka. Przywieźliśmy je z Mąchocic. Możesz głaskać i brać na ręce, którego chcesz, one nie gryzą.

- Takie łaskawe? - zaciekawił się Tadek i ostrożnie pogładził Czarną Stopkę.

- Tylko Pihmek jest niebezpieczny - wyjaśnił Błyskawica - bo ciągle podlewa.

Uśmiech rozjaśnił wymizerowaną twarz Tacka Pióro. Zdrowe, rzadko rozstawione zęby lśniły bielą, w oczach pojawiła się wesołość. Kucharz podsunął mu pajdę chleba z masłem i wielki pomidor. Chłopak speszył się trochę, błąd rumieniec wystąpił mu na popielate policzki; wkrótce jednak spostrzegł, że wszyscy naokoło tną zębami apetyczne kromki, wypieczone przylepki, posmarowane grubo masłem i zagryzają pachnącymi pomidorami. Zrobił to samo.

- No więc Marek proponował nam wyspę Wolin jako teren obozu na przyszłe wakacje. Kto ma inne pomysły? - zagaił drużynowy swobodnie.

- Kaszuby!!! - zaryczał potężnie Patelnia. - Można poznawać gwarę, dawne słowa, ciekawe piosenki. Muzeum w Kartuzach! Stare łodzie. Instrumenty muzyczne. Nocowałem raz u Kaszubów i rano pies podwórzowy tak ostro mnie zaatakował, że wreszcie ze złości wskoczył na budę, z budy hyc przez płot i wisi, bestia, zupełnie bezradnie na łańcuchu, dławi się, charczy. Kaszubka wyskoczyła z domu i w krzyk: „ugardli się, ratunku, pies nam się ugardli, prędzej, odwiązać psa!”

Hindus zsunął nieodłączny turban na tył głowy.

- To może na cześć ugardłonego psa mamy tam siedzieć okrągły miesiąc? Lepiej poszukajmy czegoś innego. Mamy własne psy. Żaden się nam nie ugardlił, bo nie wiążemy na łańcuchu.

- Pewno - dodał oboźny - można poszukać. Rodziny jeszcze śpią w najlepsze. Ledwie słońce weszło. Mamy czas.

- Poświęcimy całą najbliższą zbiórkę wakacyjnym projektom - oświadczył Andrzej Wróbel - ale chciałbym, żebyście przyszli z gotowymi pomysłami. Tymczasem dziś przed wieczorem, powiedzmy o piątej, kiedy już umyjecie się po podróży, zaspokoicie pierwszy głód, opchniecie domowe przysmaki, może też utniecie drzemkę parogodzinną...

Zakrzyczeli go.

- Druhu! Kto by spał! A tresura? Zaprzyjaźnianie psów z naszym rodzeństwem? Oswajanie rodziców? No, to znaczy, przedstawienie psów rodzicom. Kto by spał od razu po powrocie z obozu?! Mowy nie ma!

- No więc o piątej godzinie spotykamy się tu wszyscy. Raz jeszcze wspomnimy najciekawsze zdarzenia i nastrój świętokrzyskich wakacji. Przy okazji powiecie mi, jak przyjęli szczeniaki w rodzinach.

- Druhu?! - zawołał Błyskawica - to psy też mogą przyjść po południu na

zbiórkę?

- Pytanie! - zahuczał kucharz - one teraz będą pępkiem, co mówię, pięcioma pępkami świata!

Na szarej twarzy Tacka Pióro pojawił się nikły uśmiech, oczy załśniły i dziecinne „hy, hy” wydobyło się z milczących ust. Patrzyli na niego zdumieni, tak inny wydał im się teraz, kiedy rozmowa o psach obudziła w nim naturalną, związaną z jego młodym wiekiem wesołość.

4. Zaspaliśmy!

Opustoszały internat był dziwnie ponury, beznadziejny, odpychający bardziej niż poczekalnia dworcowa. Puste półki po butach zachowały charakterystyczną woń skóry i pasty; poobijane ściany, wypaczone drzwi, szare pokoje, zakurzone stoły, krzesła ustawione do góry nogami na stołach, wszystko to tworzyło rażący kontrast z dniem wczorajszym, ze słoneczną polaną na zboczu Kamienia, gdzie nawet w pochmurny dzień albo podczas ulewnego deszczu dominował radosny, słoneczny nastrój. A tu?

- Ohyda! - krzyknął Marek Osiński. Zmiał swój pusty chlebak i rzucił z rozmachem na szafkę, gdzie brezent i rzemienne paski przybrały niespodzianie ucieszny kształt królika z podniesionymi wysoko słuchami. - Ohyda! Jak tu wytrzymać do następnego wyjazdu na jakiś obóz? Tamci mają dobrze, co się porozjeżdżali do rodzinnych domów albo tacy, jak Fobusz - będą się teraz wysypiać i opychać. A my? Dla nas pozostał pusty internat.

- Ohyda! - zawtórowali koledzy, którzy bez wahania przyznawali Markowi słusność w wielu sytuacjach.

Nikt nie zwrócił uwagi na zachowanie Tacka Pióro. Tymczasem on usiadł na drucianej siatce pustego łóżka, dłonie położył na metalowych brzegach ramy, nogi, chorą i zdrową, wyciągnął przed siebie i lekko się kołysał, jak na huśtawce.

- O, lichu! - zawołał uradowany, z uśmiechem rozjaśniającym jego szarą, znużoną twarz. - Ale tu dobrze! Na takich łóżkach można będzie robić gimnastykę leczniczą, o tak!

Odchylił się do tyłu, wznosił i opuszczał rytmicznie to jedną, to drugą nogę. Patelnia chwycił Marka za ramię i ścisnął mocno. Chłopcy dostrzegli niemal równocześnie zachowanie Tacka, jego ćwiczenia mięśni nóg, jego zachwyt i wyraz ufności w rysach.

- To jest internat, no! - zawołał z entuzjazmem. - Okna takie wielkie, balkon, tyle drzew za oknami! Klony, lipy, topole, grusze! Tu musi być dobrze i zimą, i latem, i na wiosnę.

- He, hm... obleci - przyznał speszony Marek. - Ale trzeba trochę posprzątać. Ustawić krzesła. Bo inaczej wstyd. Bałagan tu jest...

- I centralne ogrzewanie?! To nie potrzeba w piecach palić? Ani rąbać drzewa? Nosić węgla, popiołu wygarniać?! Prawdziwe luksusy! Tu można się uczyć a

uczyć. I książkę poczytać zimą, kiedy wieczory długachne, co? Żeby tylko biblioteka była - mówił Tadek odpoczywając przez chwilę po gimnastyce nóg.

Milczeli. Dotarła do nich myśl, która wczoraj ani nawet im nie zaświtała w głowach: ten internat uważany za coś nędznego i pośledniego, jak dziurawa skarpetka bez pary albo walizka z urwaną rączką, mógł być dla kogoś jedyną przystanią znakomitą, o ileż lepszą aniżeli stóg siana w mroźną zimową noc, kiedy rodzinny dom przestaje istnieć. Otoczyli Tacka Pióro. Było im bardzo przyjemnie, że znalazł u nich schronienie, przyglądali się jego wytrwałym ćwiczeniom nóg, czekali na dalsze słowa.

Marek odezwał się zakłopotany:

- Wiesz! To jest pomysł! Będziemy ci przypominali, żebyś systematycznie uprawiał tę swoją gimnastykę, dopóki trzeba.

Ktoś wziął oparte o stół kule i umieścił starannie pomiędzy ścianą i szafką, żeby nie mogły się przewrócić.

- U nas możesz się czuć bezpieczny - powiedział Hindus - a jakby było trzeba, możesz liczyć na nas wszystkich. Na cały internat.

- A zwłaszcza na zastęp Czarne Stopy - dodał pośpiesznie Marek.

Odmieniło się więc pojęcie internatu, był to już dom, a może nawet rodzina. Dobra, solidarna gromada, której celem jest chronienie najsłabszego. Tadek zdyszał się, gimnastyka zmęczyła go trochę. Zrobił przerwę.

- Pan doktor w sanatorium obiecał, że jak będę wytrwale powtarzał ćwiczenia, to wkrótce dostanę ładne, nowe buty.

Zaniemówili. Wypowiedzenie pytania, które się wszystkim nasuwało, było niemożliwe. Zrozumiał ich zdumienie.

- No tak. Dostanę świetną protezę. Widziałem, jak to wygląda, jeden chłopak miał. Skarpetka, but, wszystko normalnie. I będę mógł chodzić bez kul. Ehe! Jeszcze się wybierzemy razem do lasu.

Milczeli w dalszym ciągu. Byli wstrząśnięci jego słowami.

- Pan doktor chciał mnie zatrzymać w sanatorium, dopóki nie będę miał obu nóg, ale mnie się strasznie nudziło. Przeczytałem całą górę książek, aż mnie głowa bolała po każdym dniu, patrzyłem w telewizor, słuchałem radia. W nocy nie mogłem spać, obracałem się z boku na bok, łąziłem po korytarzach, rozmyślałem o szkole, o nauce, no i o różnych innych sprawach... O tych butach rozmyślałem też, trudno się było doczekać.

Umilkł. Chłopcy nie zadawali pytań.

- Aż wreszcie pan doktor się zgodził. Idź, powiada, widzę, że ty będziesz najzdrowszy pomiędzy rówieśnikami w klasie.

- Na pewno - zawołał Marek. - U nas będzie ci dobrze, na pewno! Wszyscy cię polubią; pan kierownik i reszta chłopców, i nasza gospodyni.

Słuchał w milczeniu. Wierzył Markowi. Szara, mizerna twarz wyrażała teraz ufność i spokój.

Marek musiał opanowywać swój temperament.

- A wiesz? Urządzimy tu różne takie hece, że mucha nie siada. Powtórzę dla

ciebie diabła, to mój numer popisowy; nie należy go robić za często, bo się człowiek zanadto z nim spoufala, no, ale ty jeszcze nigdy go nie widziałeś.

Oczy Tadka zabłysły ciekawością.

- W sanatorium to były nudy. Żebyś pękł, ani razu szatan ci się nie pokazał. Chociaż o północy kuśtykałem po korytarzach.

- U nas diabła możesz zobaczyć na zawołanie. Nawet i dziś w nocy albo jutro, bo dziś na pewno będziemy spali jak susły. Zrobię też numer z duchami. Już dawniej obmyśliłem wszystko w najdrobniejszych szczegółach dokładnie, tylko mnie matematyk okropnie gnębił i musiałem duchy spisać na straty. No, ale teraz urządzimy takie piekielne widowisko, że wszystkim oko zbieleje. Zrobimy to pierwszej nocy, jak tylko wróci reszta chłopaków. Bo diabły i duchy muszą mieć widownię.

Tadek Pióro ze zrozumieniem kiwnął głową. Nie spuszczał oczu z twarzy Marka, miał tysiące pytań, ale powstrzymywał się, tylko wargi ściągnięte jak do gwizdania i brwi uniesione wysoko nadały jego rysom wyraz ożywienia. Duchy! Ciekawe, co to mogą być za jakieś dziwne duchy; słyszał dawniej opowieści starych ludzi, którzy przed laty widywali na wsiach złego i czarownicę, straszne potwory i strzygi, jemu jednak nigdy nie udało się takich stworzeń spotkać.

Oglądał internat, oprowadzany przez chłopców, a później kąpiąc się w obszernej wannie, rozmyślał ciągle o duchach. Marek otoczył go dyskretnym zainteresowaniem; w razie potrzeby zjawiał się, był uważny, ale nie narzucał się w niczym Tadkowi. Tymczasem inni chłopcy poustawiali krzesła, wytarli kurz i nagle w internacie zrobiło się naprawdę ładnie.

Po obiedzie włączyli radio. Muzyka dolatywała do sypialni, gdzie na chwilę każdy z nich rozciągnął się wygodnie. Rytmy gitar coraz bardziej roztapiały się w równomiernym dzwonieniu świerszczy. Sen ogarnął ich nie wiadomo kiedy, nadszedł podstępnie, zwyciężył.

Obudziło ich gwałtowne skomlenie Czarnej Stopki. Nie wiedzieli początkowo, czy to świtanie czy wieczór, obóz czy internat.

- A zbiórka?! - zawołał Tadek rozpaczliwie.

Marek przetrząsnął mundur harcowski w poszukiwaniu zegarka, znalazł go w końcu pod poduszką.

- Zaspaliśmy! Zaraz dziewiąta! Zbiórka od dawna skończona. Mieliśmy być o piątej po południu!

Siadali na łózkach. Otrząsali się ze snu jak psy po kąpieli.

- Widny wieczór - zdziwił się Tadek Pióro. - Jasno. Tylko pełno chmur na niebie.

- Mokra. Padał deszcz, a my nic nie słyszeliśmy.

- Szkoda, że nam się zbiórka wściekła. Będzie heca - westchnął Felek. - Da nam oboźny bobu! No!

- Tylko jedno mnie dziwi - zaczął Marek Osiński - że Maciek Osa nie przysłał kogoś po nas. A ten przeklęty zegarek cykał tak usypiająco.

- Dobrze idzie? - pytał nieśmiało Tadek Pióro.

- Niestety! Dwudziesta trzydzieści. Jak drut!

I przyjrzał się uważnie cyfrom rozstawionym na tarczy. Nagle zeskoczył z łózka wołając:

- O licha! Założyłem zegarek do góry nogami! No, coś takiego!

- Chociaż nie ma nóg - uśmiechnął się Hindus.

- I teraz okazuje się, że dochodzi trzecia w nocy. Śpimy już bardzo długo. Dlatego tak widno! Zaraz wszędzie słońce. Tylko jak to jest, że radio gada o tej porze?!

W sąsiednim pokoju zakończono pogadankę, potem rozległ się trwający bez końca sygnał i wreszcie krótkie pit-pit-pit. „Minęła właśnie godzina piętnasta” - zawiadomił spiker i Marek rozejrzał się dookoła czując, jak mu brwi podjeżdżają wysoko, niemal pod same włosy; nagle stwierdził, że ten sam wyraz bezgranicznego zdumienia uniósł brwi otaczających go druhów.

- Ale nas nabrałeś!

- Ty masz kawały! - rozgniewał się Hindus, a Felek dodał:

- Co powiesz, to bujda. Trzeba uważać z takim dowcipnym jak ty.

- Ale ja się sam nabrałem! Byłem pewny, że... - zaczął Marek ugodowo.

- Gadaj zdrow, nabieraczu! - burknął Felek ze złością.

Tadek Pióro chwycił ubranie.

- Hura! Zdążymy do harcówki! Nie zaspaliśmy! Prędko, chłopaki!!

5. Tadek Pióro z nami

Zanim rozpoczęła się wieczorna zbiórka, Andrzej Wróbel otrzymał niemal równocześnie najbardziej oficjalne i nawet uroczyste meldunki Maćka Osy, a potem innych zastępowych. Kolejno przychodzili z prośbą o przydzielenie Tadka do ich zastępów.

- Ejże! - zawołał drużynowy. - Co za powodzenie ma nowy druh. A który zastęp nazwał go niedawno... czy mam powtórzyć to słowo?

- Pssst! - ostrzegł Maciek Osa, przykładając palec do ust i oglądając się gwałtownie. - Fobusz odszcekał to wedle staropolskich zwyczajów, druhu drużynowy; musiał wleźć pod stół i na czworakach szczeukać głosem kojota, wie druh, cały zastęp uznał, że odszcekać po psiemu, to nie sztuka dla Fobusza. Felek zaproponował wilcze wycie, ja nawet radziłem ryk osła, w końcu stanęło na głosie kojota. Wlaź i odszcekał. Cały zastęp słyszał.

Andrzej Wróbel poruszył brwiami.

- Skoro cały zastęp słyszał, jak Fobusz głosem kojota odszcekał, to możemy już nie wracać do tego incydentu. Zapytamy Tadka Pióro, czy chce być z wami.

Marek Osiński postawił sprawę jasno:

- Tadek jest najmłodszy z nas wszystkich, sprawdziłem. Więc powinien być włączony do naszego zastępu. To jasne jak słońce.

Fobusz, Maciek Osa, Felek, Zenek powtarzali jeden przez drugiego:

- Druhu, do nas! On będzie z nami. Druh się zgodzi. Do nas!

Drużynowy chwycił oburącz Marka za bary, potrząsnął nim.

- A czy mogą być spokojny, że Tadek znajdzie pomiędzy wami przyjaciół?

Że dopilnujecie Fobusza?

Krzyknęli stłumionymi wzruszeniem głosami:

- Druhu! Na pewno! Mur! Język Fobuszowi możemy zawiązać na supeł, żeby więcej nie wyjechał z czymś takim.

Andrzej Wróbel popatrzył kolejno na wszystkich i kiedy spostrzegł, że i Fobusz woła z entuzjazmem, czerwony, przejęty: - „Na pewno, druhu, tylko do naszego zastępu!” - kiwnął głową, sięgnął po notes.

- A więc piszemy: Tadeusz Pióro, zastęp „Czarne Stopy”. Chłopcy, pamiętajcie. Polegam na was.

Odszedł sprężyście i szybko, a oni stali słuchając jego cichnących kroków i nie ruszali się z miejsca; po chwili rozległo się stukanie w pełnym echa korytarzu, tylko tym razem były to kroki znacznie wolniejsze, rytmicznym stąpnięciem jednej nogi towarzyszyło postukiwanie kul. Spojrzeli po sobie. Maciek Osa gwałtownie zaciśnął pięści, podniósł na wysokość ust.

- Ja bym pogadał z takim ojczymem.

Felek dał znak milczenia. Marek Osiński zdążył szepnąć:

- Ale matka! Co czuła matka? Jak ona mogła spać w domu, kiedy ojczym wypędził chłopaka zimą na mróz?

Maciek Osa poczerwieniał i krzyknął:

- Zastęp baczość! Uroczyście i serdecznie powitamy nowego druha. Na cześć Tadeusza Pióro trzykrotnie: Czuj-czuj!

- Czuwaj!

- Czuj-czuj!

- Czuwaj!

- Czuj-czuj!

- Czuwaj!

Usta bladego chłopca drgnęły niebezpiecznym skurczem, tworząc kształt podkówki zwróconej końcami w dół. Harcerze przerazili się; zaniepokoiła ich myśl, że Tadek może się załamać, ale już uśmiech pełnego szczęścia rozjaśnił całą twarz i wargi wymówiły zrozumiałe dla wszystkich słowa:

- No to świetnie! Bo już myślałem, że będę tu komu solą w oku.

Marek Osiński ruszył się pierwszy.

- Nigdy! W naszym zastępie nikomu nie będziesz przeszkadzał. Pamiętaj o tym.

Zapadła chwila ciszy. Andrzej Wróbel zaczął tonem rzeczowym i zwykłym:

- Imiona druhów z tego zastępu szybko zapamiętasz. To jest osoba najważniejsza, druh Maciej Osa, czyli...

- Morrrrowy zastępowy!!! - krzyknęli potężnymi głosami, jakby chcieli, żeby ich usłyszały Góry Świętokrzyskie.

- Ja mam na imię Marek, a nazwisko też od os: Osiński. Tylko że nie jestem zastępowym. Byłem obozowym bibliotekarzem, a teraz muszę dokończyć kronikę. Miałbyś ochotę pomóc mi w wolnej chwili?

Felek wsunął głowę pomiędzy Tadka i Marka Osińskiego. Sterczące łopatkowe uszy zaczęły się czerwienić, kiedy mówił:

- Wiesz? U nas w szkole jest pracownia fotograficzna, będziemy powiększać wszystkie zdjęcia z wakacji, może się zgłosisz?

- Ale ja nie nauczony.

Felek ostrożnie zerknął na lewo i prawo, żeby sprawdzić, czy nikt nie namiewa się ze sposobu mówienia nowego kolegi. Wiedział, ile byłoby przedrzeźniania, gdyby to nie dotyczyło Tadka. Maciek Osa machnął ręką.

- Co tam! U nas wszystkiego się nauczysz, a fotografia z wakacji własnoręcznie wywołana i powiększona, bracie, to lepsza rozrywka niż telewizja.

- Pokażemy ci, jak łatwo powiększać zdjęcia - zapewnił Felek - i zobaczysz, ile zimowych godzin przesiedzimy nad fotografiami. Tu mróz i śnieg za oknem, a ty patrzysz, jak na papierze wyrastają namioty, maszt, nos oboźnego, biała czapa kucharza.

- No, no! - warknął oboźny, potem przyłożył gwizdek do ust.

Ale nie zdążył zagwizdać, bo na boisko szkolne wpadł w tempie stada rozjuszonych pszczoł cały zastęp meteorologiczny zwany PIHM.

- Odmeldowujemy się! - krzyczał ich zastępowy Dąbrowski, ledwo chwyając oddech.

Oboźny zapytał surowo:

- Co to ma znaczyć?! Odmeldowujecie się? Dokąd, jeżeli wolno spytać? Inna drużyna was przygarnęła? No, to cześć!

- Opowiemy później - zipnął Dąbrowski.

Wobec tego, że nie mógł mówić, uczynni druhowie meteorolodzy przyszli mu z pomocą.

- Wypadek losowy.

- Nieszczęście.

- Prawdziwy pech!

- Idziemy do lekarza.

- Musimy łapać taksówkę.

- Konieczny zastrzyk.

Andrzej Wróbel oświadczył spokojnie:

- Mówcie po ludzku, bo inaczej nigdy was nie puszcze! Stać i wyjaśnić spokojnie.

- Druhu!!! Musimy!!! - jęknął cały zastęp chórem.

Ale tu włączył się Zenek.

- Wolnego! Mój tata przyjedzie tu najdalej za dwie minuty. Przeniesiono tatę do pogotowia. Wozi teraz nyską sprzęt sanitarny. Za piętnaście minut rozpoczyna pracę. Więc jeżeli to wypadek...

Andrzej Wróbel zmarszczył brwi.

- Dąbrowski! Mów, co się stało?

Zastępowy PIHM-u z rezygnacją machnął ręką.

- Pech! Od rana pech! Wróciłem do domu, rozpakowałem plecak, zjadłem śniadanie, po kąpielii sen mnie zmorzył, no to buch w puch. Ledwie usnąłem, dzwonek. Dozorczyni przyniosła blankiet, żebym wypełnił, ile mam psów.

Obożny nie mógł ukryć ironii:

- Mówiłem?! Zaczyna się! Psie porządki na każdym kroku.

Dąbrowski tłumaczył dalej, zniechęcony:

- Byłem rozespany. Pomyliłem takie dwie rubryki. Pierwsza rubryka: numer mieszkania, druga: psów sztuk...

- U ciebie chyba jest numer mieszkania piętnaście - przypomniał sobie Błyskawica.

- No właśnie! - Dąbrowski boleśnie wykrzywił usta. - Wpisałem na odwrot. Numer mieszkania - jeden, psów sztuk: piętnaście.

Kucharz zrobił wielkie oczy:

- Nie za mało? Człowieku? Trzeba było machnąć od razu dwieście pięćdziesiąt! Albo trzysta sześćdziesiąt pięć, jak dni w roku. Ile podatku będziesz płacił za te psy?!

Dąbrowski potarł głowę.

- W administracji też pewno ten temat rozważyli, bo zaraz przydyrdał urzędnik z teczką w ręce, zadzwonił do spokojnego staruszka z parteru, z mieszkania numer jeden, i zapytał, czy podatek opłacono od piętnastu psów i czy taka sfera nie zakłóci spokoju reszty lokatorów.

Błyskawica przysiadł z uciechy.

- Toś sobie piwa nawarzył!

- Pewno! Burza w szklance wody. Nikt nie mógł zrozumieć, ani emeryt, ani sąsiedzi, że to jest omyłka. Wszyscy mnie pytali, gdzie mam te piętnaście psów. Ja rozespany mówię, że pod łóżkiem. Kładą się na ziemi, zaglądają; a tam tylko Pihmek. I nawet nie nalał. Obrabiał spokojnie pantofel mojej mamy. Już odgryzł pompon i właśnie rozkruszał zębami korkową podeszwę...

- Ale heca! - pisał Fobusz.

- Oni swoje: gdzie reszta psów i gdzie reszta psów. Aż mnie całkiem wytrącili ze snu.

- Wytłumaczyłeś im?

- Tak. Ale miałem dość tego kramu. Wziąłem Pihmka do parku, bo mnie strach obleciał, żeby nie zaczął demonstrować opadów na podłogę. A jeszcze bardziej się bałem urzędników i dozorczyni.

Obożny znowu podniósł gwizdek, ale właśnie Dąbrowski powiedział z gniewem:

- A w parku parę kundli zaczęło się kotłować i jedna pani posadziła naszego Pihmka, że ugryzł jej wstrętnego, zapalonego mopsa w ogon. No i teraz musimy na

domiar złego jechać do weterynarza, zaszczepić mopsa przeciwko jadowi Pihmka.

- Zmierz gorączkę - szepnął ze złością druh obożny.

- Pihmkowi czy mopsowi?

- Sobie.

- Tata przyjechał! - krzyknął uradowany Zenek i wytłumaczył ojcu, że nie nadłoży wcale drogi, zabierając zastęp meteorologów razem z Pihmkim i z pogryzionym mopsiem do weterynarza.

- Wsiadajcie - zgodził się kierowca. - Tylko szybko. Podwiozę was, bo to po drodze. Widzę, moi kochani, że zaczynają się tu naprawdę psie porządki, tak jak wywróżył druh obożny.

Fobusz odciągnął Zenka na bok.

- Ty, Zenek! poproś ojca. Niech im włączy syrenę.

Zenek odrzucił wniosek.

- Co ty znowu? Pies psa ugryzł w odwłok, a ty od razu!

- Szkoda. Jechalibyśmy sobie z fasonem przez miasto. Poproś, co ci szkodzi.

Powiedz: tata włączy wyjkę.

Ale Zenek orientował się, że w furgonetce transportowej brakuje tego urządzenia, więc nie dał się przekonać i pojechali z całą powagą, bez efektów dźwiękowych.

6. Nad głownią z ogniska

Dopiero po ich powrocie obożny zagwizdał i rozpoczęła się zbiórka. Zasiedli wszyscy szerokim półkolem na podłodze, nad spiętrzoną pośrodku wiązką zieleni z Fobuszowej działki. Od spodu położyli zapaloną latarkę, osłoniętą kawałkiem czerwonej bibułki. Ktoś westchnął.

Andrzej Wróbel zagaił:

- Mamy tylko dwa punkty na dzisiejszą zbiórkę. Pierwszy: jak oceniacie nasz obóz w Górach Świętokrzyskich, na zboczu Diabelskiego Kamienia?

Znienacka ramiona chłopców porwały go, dźwignęły i wywindowały nad głowy drużyny. Andrzej leciał pod sufit, a jego długie nogi, jego ręce, włosy, chusta fruwały lekko nad roześmianymi twarzami druhów i opadały tylko trochę, podrzucane znowu, jakby drużynowy pływał sobie w powietrzu, korzystając ze stanu nieważkości. Kiedy wreszcie pozwolili mu zsunąć się z ich ramion i wrócić na podłogę planety, zapytał skromnie:

- Czy teraz ja mam podrzucić do góry całą drużynę? Wszystkie zastępy?

- My sami podskoczmy, jak nam druh każe.

- Drugi punkt wymaga waszego skupienia i poważnej odpowiedzi: dotyczy obozu na przyszły rok.

Zapadła cisza. W tej ciszy Tadek Pióro powiedział smutnym głosem:

- Na Mazurach to jest najładniej. Tyle jezior!... Może z tysiąc.

Andrzej Wróbel poruszył brwiami. Czekał. Nagle wybuchła piosenka druży-

ny, śpiewana spontanicznie, ze słowami zmienianymi wedle aktualnych okoliczności:

*Pojedziemy na Mazury,
pojedziemy na Mazury,
pojedziemy na Mazury,
na Mazury! Brzdęk!!*

Lagodny głos Tadka ledwo był dosłyszalny:

- Jeden stary Mazur u nas we wsi jak chce, to mówi z pamięci tylachne fragmenty „Pana Tadeusza”, „Ogniem i mieczem”, Krzyżaków”, „Za chlebem” i „Latarnika”! Staruszek już jest, a taką ma pamięć. Nauczył się, jak był młody. Żeby mowa polska przetrwała.

Drużynowy korzystając z hałasu szepnął oboźnemu:

- Nie możemy pojechać w okolice jego domu. Trzeba z dala od Orzysza.

- Wybierzemy teren jak najbardziej odległy. Pamiętasz? Na Mazurach tysiąc jezior. Nie zliczysz strumieni. Sosnowy las. Albo świerkowy. Znam takie miejsca. Mógłbym jechać nawet dziś - odpowiedział groźny oboźny dziwnie miękko.

Tymczasem drużyna śpiewała bez przerwy na tę samą melodię:

*Pojedziemy na Mazury,
pojedziemy na Mazury,
pojedziemy na Mazury,
pojedziemy... Brzdęk!!*

Maciek Osa uniósł ramiona.

- Wspaniale! Mój zastęp Czarne Stopy zajmie się zbieraniem czarnych jagód, możemy nawet zaofiarować swoje usługi przy wygniataniu moszczu jagodowego nogami na potrzeby drużyny. Przynajmniej nazwa zastępu będzie uzasadniona. Kucharz miałby wygodę.

Oboźny ze zgrozą pokręcił nosem.

- Pewno! Moglibyście przez cały miesiąc nie myć nóg.

- Marzenie! - potwierdził Maciek Osa. - Miałbym raz wreszcie spokój. Problem higieny osobistej rozwiązany! Kłopot z głowy. Nie trzeba byłoby sprawdzać wieczorem, kto ma najlepiej wymyte pięty.

Drużynowy zwrócił się do Marka Osińskiego:

- No? A tobie co tak zrzędła mina?

- Druhu... No, bo...

- Słucham.

- Druhu... Bo ja...

- W jakim ty mówisz języku?!

- Druhu... Nie, bo...

Felek zakwalifikował odezwania Marka:

- To jest monosylabowiec pospolity, druhu - „Bo-ja. No-bo. Nie-bo”.

- Nie, bo ja bym chciał, żeby Leśne Oko... Razem z nami... za rok.

Umilkli wszyscy. To wspomnienie bardziej niż ognisko z latarką, z czerwonym papierem i osmoloną główką pośrodku harcówki przypomniało im polanę nad

rzeką Lubrzanką, w ciszy Gór Świętokrzyskich, przerywanej jedynie szumem okolicznych drzew i płynącego po żwirze potoku. On tam pozostał, partyzant Leśne Oko, tajemniczy, niezwykły człowiek, a może tylko duch, ukazujący się jedynie z daleka, w nocy, pod osłoną ciemności? Jego słowa pisane alfabetem Morse'a i później wypowiedziane w zbyt krótkiej rozmowie z drużynowym, nadal przykuwały uwagę harcerzy, budziły zainteresowanie. Puszcza Jodłowa - zielona głębia pełna śpiewu ptaków i zapachu poziomek - dzięki bytemu żołnierzowi odezwała się ludzkim, zrozumiałym głosem. Odczuli żal, że partyzant Leśne Oko pozostał tam bez nich. Samotny.

Marek Osiński powiedział zupełnie cicho:

- Ciągłe myślę o nim. Ciągłe. Może właśnie teraz usiadł przy naszym wygasłym ognisku... Rozgrzebuje gałęzią popiół i myśli o nas?

Zastępowy Maciek Osa krzyknął porywczo:

- Chłopaki! Piszemy do niego list! Jeszcze dziś.

Marek Osiński dodał:

- Od razu po zbiórce.

Drużynowy zaczekał, aż ucichną, potem oświadczył:

- Więc ustalone. Jeżeli nie zmienicie zdania, możemy przyjąć, że pierwszego dnia po powrocie z obozu postanowiliśmy w przyszłym roku wyjechać na Mazury.

- To nie byłoby takie złe - podjął kucharz. - Ośmielam się przypomnieć, że tam oprócz mrówek, trawek i komarów mogliśmy mieć orzechy laskowe, maślaki, rydze, pieczarki, węgorki, szczupaki. okonie, raki, nie mówiąc o poziomkach, malinach i jagodach.

Fobusz dodał donośnym szeptem:

- Oczywiście nie mówiąc o specjalnych, eksportowych odmianach żab i ślimaków, które będziemy mogli łapać i konsumować bezdewizowo, nieodpłatnie, na surowo lub też ugotowane w znakomitym rosółku zwanym herbatą.

Jan I Miękki, przysłuchujący się z głębi ciemnego korytarza odgłosom zbiórki, musiał nagle odwrócić głowę i budząc echo, trzykrotnie głośno splunąć.

- Tfy! Ślimaki! Co za paskudztwo! Tego to nawet i pies by nie ruszył, a harcerze zjedzą?! Tfy! Tfy!

Oboźny wyjrzał z harcówki. Stał chwilę cicho. Miał przed sobą plecy Jana I Miękiego, przykucniętego nad koszykiem. Lewą ręką woźny podgarniał usiłujące wyleźć na podłogę szczenięta, prawą systematycznie szcztokował sierść któregoś z nich.

U wylotu korytarza, tam, gdzie słońce wpadało z dziedzińca tworząc jasny prostokąt, ukazał się Jan II Twardy. Przysłonił oczy dłonią, jednak oboźny był pewny, że nie mógł wiele dostrzec w półmroku.

- E! Jesteś tam? - zawołał. - Chodź, pomożesz mi sprzątnąć gabinet przyrodniczy.

Jan I Miękki odpowiedział wesoło:

- Nie mam ręki.

- Co takiego? Jak to? Co ja słyszę? Powtórz no!

- Zwyczajnie, proste jak parasol: nie mam ręki. Szczotkuję tu psy. Jestem zajęty. Ani jednej wolnej chwili od samego rana.

- Już je wyszczotkowałeś!

- Tak, ale muszę je drapać za uszami, psy bardzo to lubią.

Jan II Twardy znieruchomiał. Zdumienie na jakiś czas odjęło mu mowę. Czeakał dość długo, wreszcie zrobił w tył zwrot i odmaszerował. Ale wrócił natychmiast i wydawał rozkazy, ledwo panując nad wściekłością:

- Zostaw te fafle! Zawsze z ciebie było ciele, a teraz nagle zbaraniałeś. Idź do zegarmistrza, budzik odbierzesz! Masz tu kwit! Od wczoraj cię naganiam, żebyś przyniósł. Na pewno jest już naprawiony.

Jan I Miękki poruszył ustami. Można było sądzić, że znowu powtórzył „nie mam ręki”, tymczasem on uśmiechnął się i zapytał z całą naiwnością:

- Budzik? A na co nam teraz budzik?! Pchły będą nas budziły, jak w szkole przybyło pięć szczeniaków.

I dalej łagodnym ruchem gładził lśniące lepetyny.

- Tylko nie pchły! - zaczął Marek Osiński. - Tylko nie pchły. Fobusz zajmuje się stanem higieny psiaków.

Drużynowy przerwał mu machnięciem ręki. Zrozumieli: postanowił im przypomnieć, że są na zbiórce. Zanucił uroczyście pięknym barytonem:

Płonie ognisko i szumią knieje...

Tu głos wzmacnił, dał ręką znak i z pierwszej sylaby odgadli, jak należy dalej śpiewać:

Leśne Oko jest wśród nas!!

Opowiada starodawne dzieje,

bohaterski wskrzesza czas!

Oto, czego pragnęli, co jednak nie spełniło się nigdy na zboczu Diabelskiego Kamienia. Znowu ich młode serca skurczyły się pod wpływem refleksji, że partyzant Leśne Oko mimo prośb nie chciał usiąść przy ognisku, pomiędzy nimi, że nie chciał opowiedzieć im dziejów swoich walk, że nie zdecydował się wskrzesić bohaterskiego czasu dla zaspokojenia ich ciekawości. Dlaczego? Dlaczego? To pytanie turkotało nocą w obrocie kół ciężarówki, gdy wracali z obozu, to pytanie wisiało nad nimi ciągle pomimo śmiechu i wesołości. To pytanie wróciło teraz i gniotło, a słowa pieśni zdawały się rozpalać żal:

O obrońcach naszych polskich granic...

A ponad nami wiatr szumny wieje

i dębowy huczy las.

Obserwowali się wzajemnie. Zgadywali, czy wszyscy myślą o tym samym. On tam pozostał. Samotny. Trochę jakby dziki. W młodości musiał być harcerzem, za dobrze zna cały harcerski świat, a kim jest obecnie? Inwalidą wojennym, człowiekiem, który powiedział drużynowemu tylko tyle, że powinni dbać o miejsca, gdzie padli w walce przeciw hitlerowcom obrońcy kraju, towarzysze broni partyzanta Leśne Oko.

Marek Osiński śpiewając razem z innymi siadł na niskim parapecie, uchylił

szerzej okno i nagle podniósł rękę. Pieśń właśnie ucichła, powiedział więc głośno, z dziwnym wzruszeniem:

- Spójrzcie! Słońce ledwie zaszło, a tam, o, widzicie?

Księżyc okrążył jak staropolski dukat zaglądał do harcówki zupełnie tak samo jak niedawno, kiedy pochylał się nad polaną w lesie, nad ogniskiem. Więc i tam, i tu równocześnie zmierzch rozjaśniony jest zielonkawym światłem, ale tam pozostały na trawie bielejące czworoboki, ślady namiotów. I pozostał krąg wokół ogniska, trzaskającego wczoraj wysokim płomieniem, sypiącego fontannami iskier, kiedy ktoś rzucił na środek stosu wysuszony, rudy krzak jałowca.

Kucharz westchnął potężnie, że aż bujna czupryna siedzącego przed nim Fobusza zafalowała gwałtownie. Trwało milczenie.

Marek Osiński zapytał znienacka:

- Druhu drużynowy! Jakby tak człowiek mógł mieć prawdziwy telewizor przyszłości: włączyć gałkę i zobaczyć zbczce Kamienia, naszą polaną... Co też tam teraz jest?

Andrzej Wróbel wziął do ręki głownię, powąchał ją z daleka, ostrożnie, żeby sobie nie usmolić nosa i powiedział:

- A dopóki nie skonstruowano takiego telewizora, masz do dyspozycji własną wyobraźnię. Czy to nie wspaniały instrument? Pomyśl.

Marek Osiński wyjrzał za okno, gapił się w złote koło księżyca. Milczał dłuższą chwilę.

- Chciałbym wiedzieć, druhu, czy tak jest, jak widzi moja wyobraźnia. Tego nie da się sprawdzić. Ale jestem prawie pewny, że Leśne Oko siedzi teraz pośrodku opustoszałego terenu, wie druh, na tym klocu drzewa przy ognisku. Może też rozmyśla o nas tak, jak my o nim? I może on tak samo żałuje, że nie chciał do nas przyjść? Westchnie sobie raz i drugi.

Felek aż podskoczył.

- A ja myślę, że on sobie tam zapalił parę suchych drewek. Sam jeden patrzy w płomienie. Zgarbiony. Bo co to za życie, druhu?

Zenek oświadczył szorstko, chcąc przerwać nastrój melancholii:

- Mój tata mówi: „Góra z górą się nie zejdzie, człowiek z człowiekiem się zejdzie”.

Drużynowy też był zamyślony.

- Wszystko możliwe. Jest jeszcze i takie przysłowie: „Nie przyszła góra do Mahometa, przyszedł Mahomet do góry”.

Dał znak oboźnemu, żeby zakończył zbiórkę.

7. Początek przyjaźni

Marek usiadł w internacie przy stole, podparł głowę, spojrział w okno. Przed sobą miał rozłożony papier, w garści gniotł długopis, ale nic z niego nie mógł wygnieść. Myśli kłębiły się bezładnie, niby wyraziste, konkretne, kiedy jednak próbował

je ująć w zdania, rozpryskiwały się nagle i zostawała pustka. Napisał szybko pierwsze słowa: „Kochane Leśne Oko”, dodał zamazysty wykrzyknik i datę w prawym rogu, ale na tym wyczerpały się jego pomysły.

Pod oknem siedział Tadek; kule ustawione we wgłębieniu ściany sterczały za nim dziwnie, mrok ogarnął całą postać i tylko schylna głowa rysowała się wyraźniej, oświetlona blaskiem lampy.

Wszyscy byli już w sypialni, dolatywał stamtąd śmiech; opowiadali sobie raz jeszcze najweselsze zdarzenia obozowe, chwilami przekrzykiwali się, potem cichło i pojedynczy głos wiódł niedawne, bliskie, dopiero wczoraj przerwane wątki psikusów, psot, podchodów, ognisk i nocnych wart.

Dlaczego Tadek nie słucha? Byłby jedynym odbiorcą tych opowieści. Może chłopcy właśnie dla niego stworzyli ten mały „teatr jednego widza”? Czy on jest samotnikiem jak Marek?

Marka samotność wypełniało czytanie książek albo pisanie w obozowej kronice, porządkowanie biblioteki lub wypożyczanie chłopcom najbardziej „bombowych” utworów. A tymczasem Tadek spuścił głowę, zgarbił się, patrzy w ciemność za oknem; a może nic nie widzi, pogrążony w samotnych myślach? O czym? O domu? O matce? O tamtej straszliwej nocy?

Dziś rozjechali się ci mieszkańcy internatu, którzy mają rodziny. Zrobiło się trochę pusto. Pozostali tacy jak Marek Osiński, który z uporem wpisuje zawsze do karty meldunkowej: „Miejsce stałego zamieszkania: internat”.

Markowi zaczęła bardzo przeszkadzać obecność Tadka, znieruchomiłego w posąg przygnębienia. Teraz już wiedział, że nie napisze ani słowa. Trochę podejrzewa, że mu nie tyle nowy kolega w jakiś dziwny sposób komplikuje pisanie listu, co senność i wrodzony leń, ale dla pewności chrząknął raz i drugi, żeby się przekonać, czy tak jest istotnie. Przecież właśnie o nowym chłopcu w zastępie Czarnych Stóp zamierzał napisać partyzantowi Leśne Oko! Chrząknął znowu.

Tadek ani drgnął.

- Słuchaj! - odezwał się więc Marek. - Oni takie zgrywy opowiadają! Wszystkie hece z obozu po kolei wyliczają. Nie chciałbyś wiedzieć, jak było w Mąchocicach?

Ciemna głowa, oświetlona równocześnie księżycem zza okna i lampą wiszącą nad Markowym stołem, odwróciła się z wolna; przez chwilę było widać błyszczący nos, a potem zarys ucha i wyżej pełechate, nastroszone włosy.

Jakiś niewyraźny szept:

- Ja nigdy... Na takim obozie trzeba dużo chodzić. Mieć dobre zdrowie.

Marek nie mógł wydobyć głosu. Milczał. A tamten mówił dalej:

- We wsi byłem najściglejszy. Jak urządzali zawody, nikt nie mógł mnie odsadzić w biegach. A teraz?

Otworzyła się przed Markiem otchłań, chciał powiedzieć parę serdecznych słów, ale bał się urazić nowego kolegę. Wstał i podszedł bliżej. Usiadł na wprost niego. Tadek ledwie ruszał wargami.

- Najtrudniej pogodzić się z tym, co jest. Usnę, a w nocy śni mi się łąka. Sko-

ki przez wodę. Albo łażenie po drzewach, coraz wyżej, coraz wyżej. Zbieranie dojrzałych wiśni. Potem budzę się. To był sen...

Marek zacisnął palce mocno, aż do bólu.

- Albo wdrapywanie się na wysoki świerk - mówił Tadek - po pniu kleistym od żywicy, szorstkim. A jazda na rowerze. Nigdy nie miałem własnego. Pożyczony. We śnie pędzę pod wiatr i nagle się budzę. Tak było w sanatorium. Leżę do rana. Myślę.

Zapadła cisza. W Marku rosło postanowienie: trzeba powiedzieć Andrzejowi Wróblowi. Tylko co tu poradzić?! Cudów nie ma, chłopak został kaleką.

Uczucie bezsilności całkiem obezwładniło Marka, nie był w stanie znaleźć jaśniejszego punktu w tej sprawie, chociaż wiedział, że harcerz nie rezygnuje tak łatwo. Dla uspokojenia samego siebie postanowił odwiedzić Ośrodek, do którego codziennie człapało ze wszystkich stron miasta wielu chorych. Ale co w Ośrodku mogliby poradzić Tadkowi, tego Marek nie wiedział i nawet nie łudził się zbytnio, by mogło to dać jakiegokolwiek rezultat. Pod wpływem rozmyślań poczuł nagle chęć do rozmowy z partyzantem Leśne Oko, więc szybko i rzeczowo napisał mu o nowym koledze, potem zakleił list i wrzucił do skrzynki.

A rano, ledwo się zbudził, wciągnął ubranie i wymknął się bez najmniejszego szelestu, żeby nie zauważył go nikt z kolegów, zwłaszcza Tadek Pióro, który jeszcze spał i może śniły mu się łąki albo te wysokie drzewa...

Dziwne, jak mocno biło Markowi serce, kiedy zobaczył rozwarte drzwi Ośrodka. Na swoich mocnych, wypróbowanych nogach czuł się tu intruzem, wkraczającym bezprawnie na zakazane tereny. Był zdrowy. Jego ścięgnięta pracowały prawidłowo, mięśnie reagowały na każde wzniesienie terenu, załamanie, wyrwę w chodniku, oczy dostrzegły żwir, kamień, błoto; mógł je ominąć w ostatniej chwili, mógł przebiec albo przeskoczyć i nawet nie wymagało to świadomego zastanowienia.

- Szukasz kogoś? - zapytał wysoki, pogodny głos.

W progu stała kobieta ubrana w biały kitel.

- A... to pani. Dzień dobry!

Pamiętał. Przed rozpoczęciem obozu ta miła kobieta przeprowadzała w szkole badania.

- Wróciłeś opalony! Świetnie wyglądasz.

- Tak, ale...

Jak zapytać o ten instytut, jak się dowiedzieć, czy Tadek całe życie będzie chodził o kulach.

- I pewno jeszcze gdzieś wyjedziesz?

- Zostaję.

- Tak? A reszta waszej drużyny?

- Jedni pojechali do rodzin, a reszta jakoś urządzi sobie sierpień po harcersku.

Żwir uliczki skrzypiał nierytmicznie, jakby ktoś nocą sygnalizował alfabetem Morse'a: stuk, stuk, stuuuk! Kropka, kropka, kreska. Stuk, stuk, stuuuk!

- Przyszedłeś tak wcześnie... Interesuje cię może nieprzetarty szlak?

- Słucham?

Skrzyp, skrzyp - skrzyp! Skrzyp, skrzyp - skrzyp! Żwir, trochę piasku pozostawionego na placu budowy, kawałki rozłupanej cegły, płyty cementowego chodnika, położone ze sporymi odstępami, tworzącymi rowki wypełnione piaskiem, potem znowu gliniasta, ubita ziemia.

Dla takich jak Tadek to na pewno trudna trasa.

- Nieprzetarty szlak? Ach! Rozumiem. Ale dla kalek, inwalidów to trudna do pokonania droga.

Uśmiechnęły się do niego ciemne oczy kobiety.

- Oczywiście, ale nasi pacjenci mają do pokonania nie tylko takiej natury przeszkody. Często chorzy stają się ciężarem dla rodziny, zaczynają komuś przeszkadzać, drażnić kogoś, a wtedy rodzą się kompleksy.

Marek przycisnął usta dłonią, żeby nie przerwać jej w połowie zdania.

- To tak, jak u Tadka Pióro! - zawołał wreszcie.

- Jakiś nowy kolega?

- Tak. Już mieszka w internacie i został przyjęty do drużyny. Nie mogłem dziś usnąć przez niego.

- Dlaczego?

- On jest kaleką. Nie ma stopy i jak sobie pomyślałem, że chłopak musi całe życie chodzić o kulach... cudów nie ma.

Uśmiechnęła się znowu.

- Założyłabym się z tobą, że tak źle nie będzie. Przeprowadź go do nas, to nauczymy go chodzić bez kul. Pomożesz nam?

- Oczywiście, jeżeli dyrekcja Ośrodka mi pozwoli. Pani jest pielęgniarką, tak?

Potrząsnęła lekko głową, jakby odrzucała z czoła włosy.

- Mam nadzieję, że dyrekcja ci pozwoli. Bo widzisz, każdy chory, zmuszony do przestawienia się z dotychczasowego trybu życia na tor inwalidztwa, zdobywa się na wielki wysiłek. Bardzo pomocna bywa w takich razach przyjaźń, życzliwe zainteresowanie, rozmowy. Tadekowi Pióro potrzebni są właśnie przyjaciele - rówieśnicy. Młodzi, jak on.

Marek słuchał uważnie. Wreszcie powiedział, stukając obcasem w krawężnik i pochylając głowę:

- Bo najtrudniej to rozmawiać z inwalidą. Ja dziś w nocy nie mogłem jednego słowa wykrztusić. Bałem się, że zrobię mu przykrość.

- O, widzisz, tu tkwi zasadniczy błąd. Zresztą przyjdź o piątej razem z Tadeuszem. Na to, żeby mu pomóc, trzeba wiele rzeczy zrozumieć.

8. Wytropić ich!

Od tego dnia Tadek i Marek zaczęli znikać na długi czas, na całe popołudnia. Po powrocie zachowywali milczenie, starannie unikając jakiegokolwiek wzmianki o celu tajemniczych wypraw. Zdawało się, że nikt nie zwraca na nich uwagi, tymczasem

uszy kolegów pęczniały z napięcia, oczy krążyły za dwoma spiskowcami. Wystarczyło, że Marek uniósł lekko brwi, poruszył głową wskazując balkon, a już Tadek obejmował drewniane poprzeczki kul i bez pośpiechu, czasami nawet z pogwizdywaniem wysuwał się za drzwi. Wsparty na balustradzie spoglądał w dół, obserwował ulicę i mogło się zdawać, że po prostu wypoczywa. Marek stawał obok Tadeka i teraz we dwóch interesowali się przechodniami.

Tymczasem chłopcy, którzy pozostali za szklanymi drzwiami nie spuszczały z nich oczu. Błyskawicznie dostrzegli, że chociaż tamci dwaj na balkonie trwają w pozornym bezruchu, ich szczęki poruszają się jednak. Oni tam coś w głębokiej tajemnicy omawiają! Bo przecież chyba nie po to Marek wymrugał Tadeka na balkon, a Tadek pośpiesznie wykuścił z pokoju, żeby razem, i to w głębokim sekrecie, liczyć, ile ciężarówek przejedzie ulicą, ile aut osobowych, ile rowerów albo wozów konnych. Najwyraźniej mają wspólną tajemnicę!

Zachowanie Marka i Tadeka z miejsca pobudziło ciekawość niewielkiej grupki chłopców, pozostających w internacie. I chociaż po tygodniach spędzonych u podnóża Gór Świętokrzyskich, w szumie drzew i potoku, z ogromną przyjemnością zabrali się teraz do czytania, to jednak zaintrygowani podnosili głowy znad książek. Chcieliby wiedzieć, o czym mówią tamci, zwróceni plecami do swoich kolegów i najwyraźniej ukrywający jakieś dziwne sprawy.

Tadek znali mało. Rozumieli, że mógł być skryty; jego przeżycia pogłębiły na pewno taką cechę usposobienia. No, dobrze, ale Marek?!

Otwarty jak słonecznik, ulubiony kolega, nagle odwraca się do nich tyłem i coś tam psss, psss, psss na balkonie. Wstyd! Poczuli się odsunięci, więcej, mroziło ich takie postępowanie. Najchętniej ukaraliby Marka milcząc i okazując brak zainteresowania tajemnicą.

Niestety! Ciekawość wzięła górę nad ambitnymi postanowieniami.

Właśnie do internatu wpadł Zenek, więc opowiedzieli mu wszystko już w przedpokoju. Słuchał zdumiony, może nawet uradowany sensacyjną wiadomością,

- Mówicie, że znikają? Godzinami całymi czekacie?

- No!

- Spróbowaliście pójść za nimi?

- Daj spokój. Podglądać kogoś? To wykluczone.

Zenek potrząsnął podniesionymi dłońmi.

- Chłopaki! Wytropimy ich. Wy-tro-pi-my. Świetne zajęcie. Na końcu będzie śmiechu co niemiara, jak im wyliczymy każdy dzień i każdy krok.

Wahali się jeszcze. Zenek szeptał w podnieceniu.

- Teraz mamy nudy na pudy. Tak czy nie? Na pewno nic złego nie robią, na wódkę nie chodzą. Wytropimy ich dla hecy. Po prostu i zwyczajnie dla hecy.

Milczeli. Zenek uznał to za zgodę.

- Plan już mam. Właśnie przyszedłem, żeby was wyciągnąć z tego zakurzonego internatu. Słuchajcie.

Tu szept jego całkowicie zamilkł, a tylko palec wskazujący kiwał na nich - i

Zenek zniknął za drzwiami. Bezszelestnie wyszli za nim na klatkę schodową.

- Słuchajcie! - powtórzył. - Idealnie się składa. Właśnie przyjechał mój wujek, ale taki lipny, o pół roku tylko starszy ode mnie. Nazywam tego niby-wujka Głownóg. A dlaczego?

Milczenie. Wlepionymi w Zenka spojrzeniami wyrażali najwyższe zaciekawienie. Do czego też on zmierza? Co powie?

- No właśnie! Byłem pewny, że figę zgadniecie. Głownóg, no pomyślcie jeszcze chwilę. Głowę mój niby-wujek ma konkursową, a nogi wyścigowe. Przekonacie się. Teraz uważajcie na Marka i Tadka, a ja lecę po Głownoga. Czeka tu w parku.

Zatupotało. Zenek pędził w dół, oni tymczasem znaleźli sobie zajęcia; ktoś oliwił drzwi do internatu, inny zajął się czyszczeniem butów, ustawionych w przedpokoju przy wejściu. Kilku pobiegło do łazienki, żeby w przejściu przekonać się, czy tamci dwaj w dalszym ciągu tkwią na balkonie. Tadek Pióro i Marek stali jak poprzednio, zajęci swoimi tajemnicami.

- Tylko im szczęki od gadania kłapią - powiedział Błyskawica. - Ciekawe, co Zenek wymyślił? Plan. Jaki to może być plan?

Chłopcy zajęci oliwieniem drzwi dali znak tym, którzy czyścili buty. Gro madka spod łazienki wróciła. Zenek swobodnie wszedł do przedpokoju, zawołał:

- Idziemy pograć w kosza? Ruszcie się, chłopaki, bo zapleśniejecie w tym internacie.

Równocześnie dał znak ręką. Zrozumieli. Zaczęli krzyczeć:

- Idziemy! Dobra! Na boisko szkolne!

Zenek skorzystał z panującego wrzasku, żeby szeptem przekazać pierwszą część planu:

- Głownoga wsadzimy do szafy. Róbcie krzyk.

Obserwując plecy Marka i Tadka pochylonych nad barierą i całkowicie zajętych udawaniem, że nic do siebie nie mówią, wprowadzili Zenkowego „wujka” do internatu. Mrugnął tylko do nich, szepnął „cześć”, a potem od razu dał nura do ściennej szafy, gdzie wsiąkł zupełnie za gąszczem pałt i ubrań. Ledwo zdążyli przymknąć drzwi, kiedy Marek wrócił z balkonu, starannie przyczesał włosy, później wyszedł do przedpokoju, sięgnął po szczotkę i z wyjątkową starannością polerował swoje buty.

Zenek wsparty plecami o drzwi szafy podniósł wysoko brwi.

- Ho, ho! Na boisko tak starannie buty czyścisz? Elegant się z ciebie robi.

Marek jeszcze przez chwilę tarł swoje pionierki, wreszcie mruknął:

- A dlaczego miałbym iść na boisko?

-Wszyscy się wybieramy.

- Przymusowo? - zapytał Marek ze złością.

Zenek uchylił nogą drzwi szafy ściennej, żeby jego niby-wujek mógł spomnie- dzy garderoby zobaczyć Marka. Równocześnie zagadywał:

- Eeee, tam, zaraz przymusowo! Co ty? W kosza chcemy pograć i tyle.

- Ja nie idę.

- To po co buty czyścisz?

- A czy tylko do szkoły mam chodzić w czystych butach?

Zenek potarł brodę.

- No, do szkoły raczej chodziłeś w ubłoconych... Od dawna.

Marek typhał wściekle na Zenka i poszedł myć ręce. W internacie trwała wrzawa przez kilka minut.

- Idziemy! Kto na koszykówkę, wychodzić! - nawoływano.

Wreszcie trzasnęły drzwi za ostatnim sportowcem. Wróciła cisza. Marek zagwizdał i na ten dźwięk Tadek odwrócił się, kiwnął głową porozumiewawczo. Ścisnął kule, przygarbił plecy, widocznie śliska podłoga budziła w nim lęk.

- Idziemy? - zapytał.

Marek odetchnął z ulgą.

- Już czas. I świetnie, że te pawiany pognały sobie na boisko. Nikt nie będzie nas o nic wypytywał.

Znowu trzasnęły drzwi. Marek ochraniał Tadka zważając pilnie, żeby nie potknął się na schodach.

Ledwo zniknęli w bramie, z górnego piętra sfrunął bezszelestnie Zenek. Jego trampki pozwalały na kroki całkowicie niedostylizalne. Poczekał jeszcze chwilę, potem zastukał lekko w drzwi: trzy razy, trzy razy i znowu trzy razy.

Kiedy Głownóg wygramolił się z szafy, postyszał ciche pytanie:

- Wujku! Wujek jeszcze zipie?

- Dobra, dobra - powstrzymał jego dowcipy Głownóg. - Trzeba już lecieć, bo inaczej wsiądą w autobus i cześć.

- A poznasz ich?

- Przecież patrzyłem z bliska, nos w nos, najpierw obejrzałem zdrowego, później tego z kulami.

- To wal za nimi. Wsiadaj za nimi w autobus czy tramwaj, wszystko jedno. My będziemy czekali w budzie na telefon albo na ciebie.

Na boisku paru chłopców biegało za piłką, ćwicząc rzuty do kosza. Zenek już w bramie zagwizdał, więc obstarpił go.

- Cześć! No, świetnie, że prowadzisz tych intergnatów, rozegramy jakieś małe mistrzostwo - wołał Fobusz.

- A gdzie Marek? - zdziwienie Felka miało w sobie trochę smutku, bardzo lubił Osińskiego.

Zenek zrobił tajemniczą minę.

- Zagadka. Rebus. Abrakadabra. Zgaduj zagadula.

Felek zawołał:

- Pytlu młyński, przestań.

Nagle w oknie szkoły zjawił się Jan I Miękki bardziej błydy niż kiedykolwiek: po prostu zielony.

- Telefon! Zenek, ale prędko, bo tam jest gorąca linia.

- Coooo?! - zdumienie Fobusza nie miało granic.

- Ten, co telefonuje, mówi, że gorąca linia. Parzy go chyba w nogi albo w

ucho. Ja wiem? W coś go musi parzyć, jeżeli krzyczy tak, że mi o mało bębenki nie popękały.

Zenek wielkimi susami gnał po schodach. Paru chłopaków za nim. Wszyscy cisnęli się przy słuchawce. Zenek zaczął rozmowę.

- Wujku! No i co? Tak? Od razu? Dobrze. Już tam jedziemy.

Powiesił słuchawkę. Przyłożył palec do ust. Wszedł na podwórko i tam dopiero obwieścił:

- Mamy ich. Mój plan daje świetne rezultaty. Głownóg już ich wytropił i czeka na nas. Obława. Jedziemy natychmiast.

- Ależ ty jesteś tajemniczy! Nic nie rozumiem - zawołał Fobusz, rozkładając ręce.

Zenek trochę naśladował oboźnego, mówiąc wyniośle:

- Zrozumiesz na miejscu. Teraz jazda! Za mną, proszę wycieczki.

Biegiem ruszyli na przystanek autobusowy, grzecznie ustawili się w kolejce.

- Jak wycieczka, to wycieczka - westchnął Fobusz. - Ale babcia nie będzie mogła sobie darować. Dostalibyśmy torbę ciastek albo śliwek. A tak uschniemy nie tylko z ciekawości, ale i z głodu.

Zenek poinformował najbliższ stojących:

- Głownóg wrzeszczał do słuchawki, że jest blisko nich. Obserwuje bez przerwy. Powiedział: „przyjechać jak najszybciej, zając pozycje za krzakami w parku na wprost kina”. Sam do nas podejdzie.

- Rozumiesz co z tego? - zapytał Fobusz Felka.

- Domyślam się, że tam pod kinem jest Marek.

Oczy Zenka pojaśniały.

- No właśnie! Nareszcie przebłysk inteligencji. Głownóg ich wytropił, a już my sami zbadamy, dokąd oni tak się wymykają z internatu.

Kiedy nadjechał autobus, pokrzykiwali głośno:

- Wycieczka! Trzymać się razem.

Do kina jechali dość długo. Wreszcie Zenek wydał komendę:

- Wycieczka, jesteśmy na miejscu. Nie wolno się rozchodzić. Stajemy wszyscy pod płaczącą wierzbą, tak żeby nas nie było widać.

Drzewo tworzyło tam istną altanę; gałęzie muskały ziemię, zapewniając idealny schowek całej grupie. Rozejrzeli się. Zenek dotknął ramienia Felka.

- Widzę Głownogę pod kinem. Udaje konika.

Felek poruszył uszami na znak zdziwienia.

- Głownóg? Ale który to?

- Ten w pasiastej koszulce.

- I w dżinsach? - zdziwił się Felek. - Jaki on tam Głownóg. Wyobrażałem sobie twojego wujka jako starszego pana z ogromną głową i cienkimi nogami. A poza tym, dlaczego Głownóg?

- No właśnie. No właśnie - Zenek zajęty obserwowaniem Głownoga nie słuchał uważnie. - W porządku. Pruje do nas. I to po pasach, w miejscu dozwolonym dla

piesznych.

Chłopak w pasiastej koszulce powiedział do wszystkich: - Cześć! - potem wsadził ręce w kieszenie i uśmiechnął się. - No? Co dostanę za rozszyfrowanie wielkiej tajemnicy waszych koleżków?

Milczeli. Głowy chłopców nachylone były ku niemu, ciekawość widać było w oczach, w rysach, w szyjach wyciągniętych jak najdalej, zdawało się, że nawet włosy unoszone wiatrem naelektryzowała ciekawość.

- Gadaj - Zenek zapatrzył się w niebo, po którym pilot odrzutowca rysował idealnie wyprowadzoną białą kreskę.

- Są za rogiem tego budynku. Musicie przesunąć się tędy, pomiędzy drzewami, żeby was nie dostrzegli. Ponieważ mnie oni w ogóle nie znają, pójdę tam i kupię sobie loda, bo właśnie blisko nich stoi budka i dam wam znak, czy się nie ulotnili.

Felek zrobił minę do Fobusza, Fobusz do Felka, Błyskawica rozłożył ręce gestem bezradności, jednak zaczęli przemykać od pnia do pnia i wkrótce znaleźli się za fontanną, której obudowa stanowiła dla nich istną fortecę. Zmieścili się tam, a kiedy wychylili głowy w prawo, spadł im na plecy chłodny prysznic. Otrząsnęli się. Głupio tak jakoś stać pod fontanną i pozwolić wodzie spływać w dół, za koszulę, za pasek, aż do sandałów. Ale była to pozycja obserwacyjna znakomita. Już po chwili Zenek dał ręką znak, cofnął się o pół kroku, pozwalając wyrzucić innym. Felek cichutko zagwizdał z podziwu. Błyskawica przyłożył mu natychmiast kuksańca w bok i dwoma palcami ścisnął sobie wargi na znak, że trzeba milczeć, jeżeli nie chce się zwrócić na siebie uwagi. Szeptem przekazywał to, co widzi:

- Marek Osiński rozmawia z dwiema dziewczynami. Wielkie rzeczy, to może się zdarzyć każdemu. Ale co tu robi Tadek? Usiadł na ławce, przysłuchuje się paplaniu, wybucha śmiechem. Czy dlatego mieliby codziennie wymykać się z internatu? Nie wierzę!

Felek odsunął lekko Zenka, zmarszczył brwi:

- Zobacz no, Franek, to są te same druhny, pamiętasz je, co to szukały źródelka na zboczku Diabelskiego Kamienia? Tak! Poznają.

Franek Fobusz naraził cenne zdrowie, biorąc chłodny prysznic w ubraniu i na wietrze, musiał jednak dobrze się przyjrzeć, żeby ogłosić swój sąd:

- A, gdzie tam! Uczesana tylko tak samo, z kokardą we włosach, ta, co przed Markiem ustawiła się w malowniczej pozie. Dziewczyna jak dziewczyna. Zupełnie inna. Ja jej nie znam.

Felek po chwili przypomniał:

- One były z naszego miasta. Przecież opowiadały nam kiedyś podczas ogniska, jakie hece wyprawiają właśnie tu, w tym parku.

Błyskawica chwycił brzeg zamkniętej kurtki i strząsał energicznie ruchami wodę, co było zupełnie bezcelowe, jako że w dalszym ciągu zwilżały go krople tryskające z fontanny. Poinformował ostrożnych, którzy zostali bardziej w tyle, na suchych miejscach:

- Idzie ten Gołowus czy jak mu tam, Zenka niby-wujek.

Zenek wytknął głowę, potwierdził:

- Aha. Udaje, że świata nie widzi poza swoimi lodami. Liże jak co drugi stary i młody gość na tej ulicy. Pruje do nas.

Głowonóg ominął fontannę. Przystawał czasem, zgarniał językiem słodkie krople, nie pozwalając im skapnąć na ziemię.

Cofnęli się wszyscy i czekali niecierpliwie. Kiedy wreszcie zbliżył się do nich, otoczyli go. Jeszcze przez chwilę próbował podniecać ich ciekawość, ale Zenek przywołał go do porządku szturchańcem w plecy.

- Mów! A lody zjesz później! - rozkazał.

- Taaak? Siwej głowy swojego niby-wujka nie szanujesz? - pytał Głowonóg. - No to wam figę powiem.

Fobusz wystąpił do przodu.

- Czcigodny niby-wujku Zenka. Zenek jest oferma, popełnił taktyczny błąd. Ale my robimy składkę na nową porcję lodów i przepraszamy za wyrodnego bratanka.

- Siostrzeńca - poprawił Zenek.

- Wszystko jedno. Chłopaki. Składka na dziadka! Składka na dziadka! - Franek Fobusz porwał czapkę z głowy Błyskawicy i podsuwał ją kolegom.

- No, no! Tylko nie na dziadka - zawołał Głowonóg z oburzeniem.

- A jak cię nazywać? Chyba masz jakieś imię?

Niby-wujek speszył się do tego stopnia, że pozwolił spaść na piasek dużej grudce lodów.

- Imię mam - wyznał z wahaniem - ale gorsze niż przezwisko. W kalendarzu było Serwacego, jak się urodziłem, no więc...

- Jak to? Masz na imię Serwacy?! - Felek ze zdumienia wpadł pod główny pryznic fontanny, potem od razu stamtąd wyskoczył otrząsając się. - Gdzie tu kłopot?! Możemy cię nazywać Ser albo Wacek. Jak wolisz?

- Wacek, Wacek, oczywiście. Sera to mogę zrobić temu, co mnie będzie nazywał Serek.

- No, to w porządku. Załatwiliśmy sprawy formalne.

Maciek Osa przerwał chłopcom ich przekomarzania.

- Słuchaj, Wacek. Odniosłeś wrażenie, że ta dziewczyna pierwszy raz widzi Marka i Tacka, co?

- A skąd? Ona cały czas pytuje o jakimś kamieniu diabelskim, czy coś takiego, plecie, że Marek kretów tam szukał i ciągle hi-hi-hi! To chyba się znają.

- Te same! - jęknął Zenek. - U licha! Nasz poważny druh Osiński musiał zwiariować. Upadł na głowę? Tacka, chorego, wlecze tak daleko, żeby tu spotykać się z obozową sympatią? Na co mu Tadek potrzebny?

Franek uderzył się w czoło.

- Mam pomysły! Idziemy w kilku na lody. Składka na dziadka wypadła całkiem nieźle. Wystarczy dla wszystkich.

Felek oświadczył kategorycznie:

- To chodźmy razem. Co to, nie możemy? Lody są dla ludzi.

Błyskawica protestował:

- Ale Markowi będzie przykro, że go śledzimy. Jakoś tak...

- Phi! - Zenek parsknął lekceważąco. - Czy musimy się chwalić, po co nas tu przyniosło? Po prostu zwykły przypadek i tyle! Zresztą kupujemy bilety na wieczorny seans.

Ruszyli bez pośpiechu, gapiąc się na mijane plakaty filmów i fotografie aktorów. Udawali, że interesują ich tylko lody. Szli wolno, a kiedy wychylili się zza kiosku, Marek był sam. Powitał ich pierwszy:

- O! Kogo widzę!

Błyskawica nie stracił głowy:

- Podobno świetne lody w tej budce. Próbowaleś?

Felek szepnął Fobuszowi:

- No i co? Jest sam. Ani dziewczyn, ani Tacka.

Franek Fobusz uśmiechnął się do Felka.

- Stary! Kogo bardziej żałujesz? Chyba miałeś nadzieję spotkać tu dziewczyny?

Felek zaczerwienił się z gniewu.

- Ty jak coś powiesz...

W tej chwili Marek podniósł dłoń i zatrzymał ich.

- Nie chodźcie dalej! Tadek mógłby dostrzec was przez okno.

Błyskawica rozglądał się naokoło.

- Tadek? A gdzie on jest?

- Wezwała go pielęgniarka. Zaczekajcie tu ze mną.

Przez wielkie okno dostrzegli kobietę w białym fartuchu, spieszącą do drzwi.

Stała w progu. Zawołała:

- No! chodź, Marek. Zobacz. O, to są wasi koledzy? Na chwilę możecie wejść, ale potem znikajcie. Zaczekajcie na Tacka przed budynkiem.

Szybko mijała korytarze, chłopcy ledwo mogli za nią nadążyć. Obejrzała się. Jej oczy poważnym spojrzeniem ogarnęły całą grupę. Jeszcze jedne drzwi, zakręt w lewo i nagle wszyscy zatrzymali się równocześnie.

Przed lustrem stał o własnych siłach Tadek Pióro. Miał na sobie nowe, długie spodnie z uprasowanymi świetnie kantami, a na nogach lśniące, brązowe buty. Obok na ławce leżały kule. Pani w białym kitlu zapytała:

- No? Jak wam się Tadek podoba?

Zdębieli. Nikt nic nie mówił, a jej czarne oczy pełne były czułości. Poradziła cicho:

- Nie bój się, Tadek. Odważnie przejdź do sali gimnastycznej. Będziesz tam codziennie ćwiczył pod opieką instruktora, dopóki nie wzmocnisz mięśni.

Pacjent ani drgnął. Jego wargi zbieleły i były znowu ściągniętą, małą kreską.

Błyskawica szepnął, odwracając się do kolegów:

- A ja wcale mu się nie dziwię! Chodziłem nieraz na szczydłach wysokich, jak nie wiem, ale co mi szkodzi spaść na ziemię, fiknąć kozła? Byłem zdrowy, zawsze

zdążyłem zeskoczyć. On, to całkiem inna para kaloszy. Nie ruszy się. Murowane.

W tej chwili Marek Osiński przysunął się i położył ostrożnie dłoń na ramieniu Tacka.

- Chodź. Idziemy razem. Oprzyj się na mnie.

Tadek wykonał pierwszy krok, suwając niemrawo butem lewej nogi. Harcerze wkrótce stracili ich z oczu, wobec tego stopniowo, jeden za drugim wchodzili dalej, zaglądali na korytarz, ale przed lustrem nie było już nikogo.

- Trudno - westchnął Maciek Osa. - Wywalą nas, to wywalą. Mogę w czynie społecznym ogródek skopać naokoło tej przychodni, ale muszę zobaczyć gimnastykę Tacka Pióro.

Błyskawica powiedział lekceważąco:

- Phi! Ta pielęgniarka nie wyglądała groźnie. Może nas nie zje.

Zenek postukał się w czoło.

- Nie zje cię, bo ta pielęgniarka cielęciny nie lubi.

Błyskawica nastroszył się gniewnie.

- No? Co ci znowu do głowy strzeliło? Co to za pukanie w czoło?

- Bo to jest lekarka. I w dodatku dyrektor ośrodka rehabilitacji. Szefowa, rozumiesz?

- Ejże?! Kobieta? Bujda! Niemożliwe.

- Zapytaj mojego taty. W służbie zdrowia teraz jeździ, zna panią dyrektor, wozi ją czasami na kolonie.

Błyskawica poderwał się jak do biegu.

- To dlaczego nic nie mówisz? Idziemy. Wpuści nas. Gwarantuję.

Ruszyli cicho korytarzem, gotowi w każdej chwili prysnąć z powrotem za próg. Mijali kolorowe zydle i piękne krzesła, ustawione pod ścianami. Było tu cicho i pusto, widocznie w lecie chorzy powyjeżdżali z miasta. Przez otwarte drzwi jednego z pokoiów spostrzegli kilkanaście foteli ortopedycznych; przyglądali się im uważnie, zaciekawieni mechanizmem tych sprzętów.

Ciągle posuwali się naprzód, aż wreszcie zatrzymał ich kroczący na czele Błyskawica. Przed nimi była sala gimnastyczna, dziwna, trochę inaczej urządzona niż hale sportowe, w których dotychczas bywali. Na podłodze leżały materace, przy ścianach umocowano metalowe uchwyty, jakby to był pokój przeznaczony do ćwiczeń baletowych. Ujrzeni smutny balet.

Na wprost lekarki patrzącej łagodnie i bardzo przyjaźnie stał przerażony Tadek Pióro, na próżno usiłując wykonać ruchy zgodne z poleceniem.

- Przenieś ciężar ciała na prawą nogę. Spróbuj uginać w kolanie lewą. Chwilowo bez odrywania od podłogi.

Westchnienie. Wcale nie widać warg, tak mocno zostały ściągnięte. Natomiast w oczach pod opuszczonymi powiekami coś błyszczący i wreszcie dwie lzy toczą się szybko po bladych policzkach. Szept ledwo się wydostaje ze zdławionego smutkiem gardła:

- Nie. Ja tego nigdy nie zrobię. Nigdy. Słyszysz pani?

Głos lekarki jest cichy i niski, jakby ogarnęło ją wzruszenie.

- Spróbuj.

- To może, proszę pani, ja bym sam. Żeby nikt, ale to nikt, nie patrzył. Zupełnie.

Kobieta skinęła na skulonego w kącie Marka.

- Chodź. Niech Tadek się oswoi z nową sytuacją. Zostawmy go samego.

Harcerze zdążyli umknąć z korytarza, postanowili jednak czekać. Oczy lekarki, dotychczas pełne łagodności, teraz błysnęły gniewem.

- A to co znaczy? Prosiłam, żebyście zostali na zewnątrz budynku.

Zenek odważnie wysunął się naprzód, gotów zasłonić własną pierśią zagrożonych kolegów.

Uśmiechnęła się znowu.

- A! Zenek! Musicie jednak zrozumieć, że jest to ośrodek rehabilitacji, nie wolno przeszkadzać pacjentom ani krępować ich swoją ciekawością.

Maciek Osa uprzedził Zenka:

- My w sprawie Tacka. Chłopak z naszej drużyny. Męczy się, wszyscy to widzimy. Co robić?

Uważnie przyjrzała się piegowatym i zadartonosym, rozczochranym i ostrzyżonym krótko, „na języka”, poważnym i uśmiechniętym. Zapytała, jakby mówiła do równych sobie, dorosłych:

- A co proponujecie?

Milczeli. Wreszcie Zenek odezwał się nieśmiało:

- W nim jest na pewno jakaś zadra. Noga, to jedna sprawa.

Franek Fobusz uzupełnił słowa Zenka:

- Noga to nie gałąź, już nie odrośnie.

Zenek niecierpliwie machnął ręką.

- Tak. Ale w Tacku siedzi jakiś ból. Noga nie odrośnie, a ten ból może go nękać i chłopak zostanie na zawsze taki zgorzkniały, dziki.

- Co proponujecie? - powtórzyła lekarka.

Stali przed nią bezradni, wprawdzie pełni dobrej woli, ale całkowicie nieświadomi, jak znaleźć drzazgę, tkwiącą w sercu Tacka.

Zenek przysunął się bliżej.

- A może by go tam zabrać? Tata mi trochę wspominał.

Uśmiechnęła się i powiedziała z namysłem:

- I ja również o tym pamiętam. Trzeba tylko znaleźć jakąś okazję.

Fobusz obserwował Zenka, to znowu próbował zrozumieć coś ze słów lekarki. Zgubił się, a to go bardzo złościło. Lubił orientować się doskonale we wszystkim, lubił pierwszy wiedzieć, jakie są plany jego zastępu i całej drużyny, a zwłaszcza kolegów. Teraz mówiono tu o czymś, czego nie znał. Odszedł więc parę kroków, żeby zmanifestować swój gniew, ale żeby jednak wszystko słyszeć.

Marek Osiński tymczasem przebiegł cicho do sali gimnastycznej i szybko stamtąd wrócił.

- A tę protezę może by Tadek wziął do internatu?
- Zgoda - powiedziała lekarka. - Tylko Marek, opiekuj się nim. To są najtrudniejsze dni w jego sytuacji. Najtrudniejsze godziny. Pamiętaj.

Odwróciła się. Szła w stronę młodego pacjenta. Chłopcy pospieszyli za nią. Marek i Zenek na przedzie, Maciek Osa deptał im po piętach, później cała grupa. Felek zamykał pochód.

- No, Tadek, jak się czujesz w nowych butach? - zapytała lekarka swobodnym tonem.

- Uciska - stwierdził Tadek i poruszył lewą nogą - jakby gwóźdź siedział albo drzazga.

Lekarka oświadczyła rzeczowo:

- Trzeba będzie poprawić. Zdejmiesz od razu? Tylko że dziś już nieczynne warsztaty.

Tadek Pióro nie powiedział ani słowa.

- Mógłbyś zatrzymać do jutra. Wypróbujesz może jeszcze raz w spokoju. Powiesz mi, w jakich pozycjach boli.

Tadek nagle zachwiał się, jakby lada chwila miał upaść. Marek Osiński podtrzymał go mocnym chwytem.

Oczy lekarki przestały być pogodne.

- Lepiej może zostaw. Potrzebny ci dłuższy trening pod opieką fachowca. Jeszcze za wcześnie na samodzielne próby.

Tadek powziął decyzję.

- Chciałbym zabrać te nowe buty. Zamknę się w łazience. Poćwiczę. Tu, sama pani doktor widzi, nie ma warunków. A ja chciałbym chodzić bez kul. Jak najprędzej wyrzucić te szcudła.

Uśmiechnęła się znowu.

- Jesteś indywidualista. Może nawet odludek? Co?

Tadek Pióro machnął ręką.

- Chyba tak... po tym wszystkim. Dawniej byłem jak inni. Chciałbym trochę poćwiczyć. Odniosę jutro, bo prawy but uciska. Mogę?

Lekarka milczała jakiś czas, obserwując chłopców i ukrywając pod uśmiechem zatroskanie nieporadnością Tadka Pióra.

- Naprawdę nie chcesz zostawić butów? A więc oddaję je pod opiekę harcerzy. Do widzenia.

9. Sekrety w drużynie?

Tadek Pióro szedł na swoich niepewnych nogach, ustawiając je znacznie dłużej na zgrzytliwym żwirze boiska szkolnego, niż to robili rówieśnicy, którzy ledwo dotykali ziemi, ciągle w biegu, w locie, zwinni, ruchliwi, co chwila zainteresowani czymś nowym. On był skazany na powolność. Jak zwykle schylił głowę, ręce zaciskał kurczowo na kulach, aż pobielaly z wysiłku. Ten ruch powodował zgarbienie pleców i

wygięcie łokci na zewnątrz. Od razu było widać odmiennosc sylwetki. Wprawdzie pięknie zaprasowane spodnie i lśniące buty zakrywały protezę, ruchy jednak ujawniały smutną prawdę. Przystanął, uważnie przesunął lewą kulę pod prawe ramię, oparł ją, żeby się nie przewróciła i teraz ujął palcami rozek białego kartonika, wystający z kieszeni. Czytał uważnie. Zmęczona, szara twarz nabrała spokoju i pogody, jakby ją dosięgnął promień słońca.

Fobusz obserwujący Tadka spostrzegł ze zdumieniem uśmiech na bladych, zwykle ściągniętych ustach. Nie wytrzymał.

- E! Nowy! Pokaż no. Co to?

Pierwszym odruchem Tadka było schować przed oczami Fobusza to, co trzymał w ręce. Jego pięść zwarła się na kartoniku i dała nura do kieszeni.

- To tylko papier... nic ważnego - szepnął Tadek obojętnie. Równocześnie poczerwieniał mocno. Uświadomił sobie, że tak się nie robi.

Fobusz wzruszył ramionami pogardliwie. Ogarnął go nagły gniew:

- Sekrety! W naszym zastępie nie miewamy sekretów przed sobą. Ale ty jeszcze ciągle nie ufasz nam.

Daleki był od zamiaru zrobienia przykrości Tadkowi Pióro, mimo to widział, że jego słowa spowodowały zaciśnięcie się ust nowego kolegi.

- Pędraki - powiedział Fobusz, odpowiadając własnym refleksjom.

- Słucham?

- Nic. Pędraki tak się kurczą. Te... To jest... Chciałem powiedzieć, że pędraki, no, maluchy robią sekrety. Między dorosłymi harcerzami sekretów nie ma. Zapamiętaj to sobie, bracie!

Dla wyrażenia pełnej serdeczności klepnął otwartą dłońią w plecy Tadka Pióra. Ten gest został przyjęty jak najlepiej.

- Naturalnie! - zawołał Tadek z entuzjazmem i wyszarpnął zmięty papier. - O, proszę, czytaj. Może byś poszedł ze mną? Marek idzie. Bo wiesz, w pierwszej chwili pomyślałem, że cię to nie zacieka.

- Zaproszenie na ognisko? Morowo! Nuda w domu, szkoła pusta. W drużynie brakuje jakiejś iskry. Większość chłopaków z internatu wróciła na łono rodziny... Pójdziemy, dlaczego nie? Można się trochę powyglupiać, jak myślisz?

Tadek Pióro milczał.

- A kiedy to będzie? - zainteresował się Fobusz.

- W środę. Pojutrze. Godzina osiemnasta trzydzieści - wyjaśnił Tadek.

- Za wcześnie! Jakie tam ognisko przed zachodem słońca! Lipa! Zaraz można poznać, że to nie fachowcy. Harcerskie ognisko zapala się, kiedy jest już ciemno.

- Wszystkie jedno. Jeżeli chcesz być, musisz przyjść punktualnie.

- Rrrrozkaz, dduhu Pióro! Później opowiem ci, jakie numery dawały po kolei zastępy na zboczu Diabelskiego Kamienia. Sam powiesz, który program był ciekawszy.

Tadek nie odezwał się, jakby myślał o czymś intensywnie, pochylony nad zaproszeniem. Rozeszli się już, ale Fobusz wrócił od bramy i zapytał.

- A może byśmy zabrali ze sobą paru chłopaków?

Tadek spojrział niepewnie na Fobusza, potem spuścił głowę, prostował w palcach zmięty kartonik i zdawało się, że jeszcze raz odczytuje dokładnie treść. Wreszcie schował zaproszenie do kieszeni. Milczał. Wydawał się zakłopotany. Gonił wzrokiem jaskółki nad kopułami drzew i ledwo dosłyszalnie pogwizdywał, ale nie była to melodia, tylko takie sobie sz-szsz-sz-sz.

Fobusza znowu chwycił gniew.

- O co chodzi?! - zawołał gwałtownie. - Myślałem, że można. Jeżeli nie, to bracie, spokojna głowa, nikt się pchać nie będzie na siłę.

Zawrócił, naśladowując energiczne ruchy Jana II Twardego, pobiegł do bramy, już miał zniknąć, ale ciekawość wzięła górę: obejrzał się. Tadek samotny pośrodku podwórza wydawał się drobny, mniejszy niż dotychczas. Wyciągnął rękę za Fobuszem, ale nie mówił nic.

- Bądź tu człowieku mądry, co taka lebiega myśli - powiedział Fobusz i dopiero w tej chwili spostrzegł druhnę Marylę wchodzącą na dziedziniec. Była to zastępowa ze szkoły mieszczącej się w pobliżu.

- Tylko nie lebiega! Tylko nie lebiega! - zawołała dziewczyna zaczepnie. - Dla kogo to uprzejme słowo?

- Cześć, Maryla! Do nas lecisz?

- Oddajemy sprzęt obozowy pożyczony z waszej harcówki - wyjaśniła. - No? Kto to ma być „lebiega”? Mów. Ostatnio mam taką krzepę, że mogę cię jedną ręką złapać za kark, drugą za pasek od spodni i już lądujesz w śmietniku, jeżeli będziesz się wyrażał. O kim to miało być, Franiu?

- Kto się wyraża? - Franek zrobił niewinną minę. - Sam do siebie mówię „lebiega”, bo nie wiem, co myśleć o pewnym ognisku.

- No, no! Ty, bracie, uważaj. Gdybyś tak nazwał nowego druha, źle byłoby z tobą. Pamiętaj!

Zatupotały kroki na schodach i w ciemnym korytarzu. Zniknęła. Po nasłonecznionym żwirze, skrzypiącym i stawiającym opór posuwał się z trudem Tadek Pióro, przygarbiony, jakby stary mimo niedojrzałego wieku, z wyraźniejszymi niż poprzednio śladami zmęczenia i choroby. W palcach oplatających kulę zaciskał kartonik zaproszenia.

Obrażony Fobusz przestał się nagle dąsać i pośpieszył za nim. Dotknął ramienia Tadka, zapytał naśladowując ton Andrzeja Wróbla:

- No! Co tam znowu?

- Bo widzisz, to nie to, żeby kto nie mógł przyjść. I cała drużyna może, jakby chciała. Podobno tam ognisko będzie na początku, pod masztem. A później program sportowy. Skoki z trampoliny, tylko że...

- Skoki z trampoliny?! Do wody?! Człowieku!

- Tylko nie wiem, czy to się wam wszystkim będzie podobało. Bo to nie jest zwyczajny program. Ale taki... wyjątkowy... Nie wiem, jak ci to powiedzieć.

Fobusz błyskawicznym ruchem, chociaż delikatnie, przyłożył dłoń do czoła

Tadka.

- Człowieku, masz gorączkę?

Policzki Tadka Pióro drgnęły nerwowo i Fobusz od razu cofnął rękę.

- Sluchaj! - wołał Franek uradowany - bombowy program! Idziemy wszyscy.

Skoki z trampoliny? Pytanie. Mucha nie siada. Druhny też mogą przyjść z nami?

Zdawało mu się, że słyszy wypowiedziane z westchnieniem słowa:

- Tylko, że nie wiem...

- A gdzie to będzie? Mów. Uprzedzę chłopaków.

Tadek Pióro wyprostował się.

- Zaprowadzę was na miejsce. Ognisko będzie tam dokąd jeździmy z Markiem Osińskim od kilku dni. Zenek też wie. Przyjdźcie tu o wpół do piątej. Początkowo był sekret, ale dziś możecie wszystko zobaczyć.

- A, to już wiem! Przy lodach, przy kinie, przy fontannie.

Tadek pokiwał kartonikiem zaproszenia.

- Figa! Figa! Mówię, czekajcie tu o wpół do piątej. I tyle.

10. Zawody pływackie

Spora gromadka harcerek i harcerzy czekała już na szkolnym dziedzińcu, kiedy pojawił się Tadek Pióro. Zbladł. Zdawało się, że spotkała go przykra niespodzianka. Maciek Osa podszedł energicznym krokiem, uśmiechając się pogodnie.

- Czarne Stopy w komplecie. Oprócz tego, jak widzisz, trochę dziewczyn i chłopaków z naszych drużyn. Możemy iść?

Fobusz wystąpił z propozycją:

- Ponieważ Tadek jest inicjatorem wycieczki, my poprowadzimy, jako zastęp, co? Niech reszta drałuje za nami.

Maciek Osa chętnie się zgodził.

- No więc, idziemy, druhowie. Na moją komendę zastępeę maaarsz!

Tadek Pióro na czele gromady kroczył wyjątkowo swobodnie i rytmicznie. Franek Fobusz usiłował wydostać jakąś informację, co to za ognisko, zapytał więc podstępnie:

- Daleko?

Błyskawica zaczął skandować w takt kroków:

- Mo-że-by tak do-bra nia-nia do wó-zecz-ka wzię-ła Fra-nia?

Zgadywali:

- Na rynek? O, licho, przecież idziemy prosto na rynek! Możecie sobie wyobrazić ognisko na rynku? - wołał Felek, a jego łopatkowate uszy poczerwieniały ze śmiechu.

Maciek Osa kiwał głową z politowaniem:

- Ależ wy jesteście, jak dzieci. Miejcie trochę cierpliwości.

- Dobrze ci się mądrzyć, jak już wszystko wiesz, pewno ci Tadek powiedział albo Marek Osiński.

- Prawdziwy harcerz umie poczekać, aż się tajemnica wyjaśni - powtarzał Maciek Osa.

Rzeczywiście, wyjaśniło się, ledwie wyrzeli na główną ulicę. Furgonetka polyskująca zielonym lakierem zadudniła, ruszyła z miejsca, stanęła znów, a oni ciągle jeszcze nie rozumieli, kto woła znajomym, przyjaznym głosem:

- I to już wszyscy? Więcej was matka nie miała?!

Dopiero teraz poznali kierowcę furgonetki, ojca Zenka.

- Wsiadać, drухenki, wsiadać, chłopaki, tylko systemem śledzikowym albo zapalkowym na dopych. Ugniećcie tych, co już w środku siedzą. Szanownemu kucharzowi przyda się to na wyszczuplenie. A druż Pióro ze mną tu na przedzie. Pani doktor na dzisiejsze popołudnie wydelegowała mnie do utrzymania łączności z obozem. Cała furgonetka dla was. No, wsiadać, wsiadać!

- A gdzie to jest? - krzyknął Felek, wytykając głowę z tylnych drzwi nysy.

Motor auta robił dużo hałasu, głośząc wszystko. Ojciec Zenka nie dosłyszał pytania.

- No, jak tam? Upchnęliście się? Na śledzie czy na piklingi? Można ruszać? Ooodjajzd!

- A gdzie to jest? - powtórzył za Felkiem Fobusz.

Andrzej Wróbel odpowiedział głośno:

- Prawdziwy harcerz orientuje się w terenie. Zna życie swego miasta. Radzę wam obserwować trasę, bo nie ostatni raz ją odbywamy.

Jechali szybko. Z obu stron drogi zieleń bardziej gęsta, świeża i czysta. Kopuły drzew połączone konarami nad asfaltem dają głęboki cień i czysty powiew, a po bokach trawniki, krzaki róż obsypane kwiatami, kępy jaśminu.

- Gdzie my jesteśmy? - woła Fobusz cicho, żeby drużynowy nie usłyszał. - Nigdy jeszcze tu nie byłem. To nasze miasto?!

Błyskawica pochyla się nad uchem Franka Fobusza i szeptem skanduje wierszyk w stylu recytacji przedszkolaków:

- Jaka to niegrzeczna niania, że tu nie przywiozła Frania.

Fobusz nie tylko pąsowieje. Fobusz puchnie z gniewu. Można się obawiać, że jeżeli auto podskoczy na wybojach, Fobusz jak balonik eksploduje zniecka. Na szczęście włączają się inni chłopcy.

- Jak to? Nie pamiętasz, Franek? A międzyszkolne zawody gdzie były? Nie tu? Zapomniałeś już?

- A!!! Prawda! Teraz poznaję. Taaaak! Międzyszkolne zawody! Racja.

- No widzisz! - uśmiecha się Maciek Osa. - Tak to czasami bywa, że wystarczy usiąść za szybą samochodu i człowiek własnego miasta nie poznaje, co?

- Filozof! - burczy Fobusz. - Usiadłby tu, gdzie ja siedzę w kucki, nos mam pod podeszwą Błyskawicy, oko w kieszeni Marka, drugie na plecach kucharza, ucho mi przyciska groźny oboźny, dużo widzę, dużo słyszę!

Marek Osiński parska śmiechem.

- A, to widoki w mojej kieszeni tak cię zachwycały! Pytałeś, czy to nasze

miasto.

Gwałtowny wiraż i ostre hamowanie. Błyskawica leci na Maćka Osę, Maciek Osa na Felka, Felek na Fobusza, Fobusz uderza nosem w plecy Zenka, Zenek wpada na Longinusa, który pyta spokojnie:

- Co mnie drapiesz, kiedy mnie wcale nie swędzi?

Ojciec Zenka odwraca się do nich uśmiechnięty.

- No, jak? Dobrze się jechało pogotowiem? Furgonetka, bo furgonetka, zawsze to jednak pogotowie!

Otwiera przy tym drzwi, pomagając wysiąść Tatkowi Pióro.

Pomiędzy starymi drzewami, pod masztem siedzi gromada chłopców i dziewcząt. Wiatr usiłuje porwać flagę, szarpie ją, zwija, to znowu pozwala jej drzeć i płynąć na zachód, a że przedwieczorny promień słońca sięga masztu, biel i czerwień wydają się bardziej intensywne niż kiedykolwiek.

Ogniska jeszcze nie zapalono, ale krąg zaciera się wokół piramidki drewek, ułożonych dość prowizorycznie, bez artystycznych talentów, jakich w podobnej sytuacji wymagał zwykle groźny oboźny.

- Partacze - mruczy Fobusz. - Andrzej Wróbel dałby wycisk dyżurnemu zastępowi za takie bałaganiarstwo. Słuchaj, Tadek, musisz im koniecznie zwrócić uwagę, że... Tadek! Nie wiecie, gdzie Tadek Pióro? Hej, Tadek, odezwij się.

Już chciał krzyknąć „lebiego jedna”, kiedy spostrzegł drużnę Marylę na czele zastępu „Kozic”, odwrócił się więc co prędzej. Zmrużył oczy. Gdzie on wsiąkł tak szybko? Daremnie nawoływał. Kamień w wodę!

Zdumiony Fobusz cofnął się nawet kilka kroków i zajrzał do furgonetki. Tata Zenka właśnie sprawdzał krótkie i długie światła.

- Pan nie widział, gdzie podział się Pióro?

- Pojęcia zielonego nie mam! - odpowiedział kierowca z przekonaniem, ale Fobuszowi zdawało się, że dostrzegł porozumiewawcze mrugnięcie.

Buchnął śpiew:

Płonie ognisko i szumią knieje

- Kulawo im to idzie - stwierdził Fobusz. - Oni pewno figę wiedzą, jak wygląda prawdziwy obóz.

Ojciec Zenka kiwnął głową.

- Ty się, chłopie, dziwisz? Oni wiele rzeczy robią kulawo, tak już jest.

I zaczerpnąwszy powietrza dołączył swój potężny głos:

Drużynowy jest wśród nas!!!

Wobec tego Fobusz, Maciek Osa, Felek, Błyskawica i inni podjęli pieśń:

Opowiada starodawne dzieje,

Bohaterski wskrzesza czas!

Kiedy jeszcze kucharz wciągał oddech i potem huknął z mocą, jakby wzywał na posilek, chóralna pieśń rozwinęła się szeroko i płynęła coraz dalej.

Od razu poweseleli zarówno miejscowi, jak przybysze. Śpiew nabrał rytmu, temperamentu, brzmiał czysto i mocno. Buchnął płomień. Ściemniały kontury drzew,

obniżające się nad ziemią razem z granatowym niebem, a od spodu podświetlone czerwonym blaskiem.

Nikt nie spostrzegł osoby konferansjera, dopiero głos donośny i czysty, a zarazem znajomy, spowodował, że Fobusz uszczypnął Marka Osińskiego:

- Widzisz tego drapichrusta?! Niby do trzech nie potrafi zliczyć, a tu co? Mikrofon, stoliczek, powaga, sam pan Lucjan Kydryński albo Jacek Fedorowicz nie czują się bardziej swobodnie. To ci dopiero! Jakby go kto nie widział tu, w tej roli, mógłby go nazwać zwykłym lebiegą.

Tadek Pióro powitał gości, podziękował im za tak liczne przybycie. Słowa, zdawałyby się zupełnie zwykłe, proste, tymczasem on mówił to z wyjątkową powagą, może nawet ze smutkiem. Czyżby nie zapomniał o swoim kalectwie? Stolik, przy którym siedział, okrywała miękka tkanina sięgająca brzegami ziemi, zasłaniająca zupełnie nogi Tadzka.

- Na początku wystąpi nasz kolega Marcin Serwacz. Prosimy!

Zrobiło się zupełnie cicho. Czekano. Po dłuższej chwili wstał posepny, nie zwracający na nikogo uwagi chłopak, zajęty wyłącznie swoim wielkim akordeonem i od razu można było wywnioskować, jak bardzo jest przejęty, może nawet przerażony. Głowę schylił nisko, widać było tylko ciemny gąszcz włosów i palce, które błędziły po klawiszach nie wywołując jeszcze nawet najcichszego tonu.

Fobusz nie wytrzymał.

- Artysta! Dali takiemu piękny instrument, ale już on zagra jak na grzebieniu! Wszystkie myszy w okolicy zachorują na rozstrój nerwowy.

- Faktycznie, wygląda jak strach na wróble - przyznał Marek. - Ale to jeszcze o niczym nie świadczy.

Maciek Osa psyknął:

- Spokój! Pozwólcie słuchać.

Felek mówił wyraźnym szeptem:

- Urywamy się. Tu nic nie będzie.

Chłopak z akordeonem stał ciągle bez ruchu w dziwnej, pełnej sztuczności pozie. Głowę nadal schylał bardzo nisko, prezentując tylko czuprynę, palce obu dłoni układał na klawiszach, a nogi w zbyt szerokich i za długich spodniach zdawały się być umocowane w ziemi przy ognisku.

Felek ponowił wezwanie:

- Chłopaki! Jeden za drugim: odpływamy! Przecież widzicie, co to za ognisko.

Nie zdążyli mu odpowiedzieć: akordeon wybuchnął rytmiczną i melodyjną nawałnicą dźwięków. Marek Osiński szepnął tylko „rany kota!” i siadł na jakimś pniu, splatając dłonie na kolanach, a brodę przyciskając do pięści. Jego poza pełna zasłuchania rzuciła chyba czar na cały zastęp, a może sprawiła to fenomenalna muzyka; kłoc drzewa leżący w pobliżu ogniska, przed chwilą jeszcze pusty, obsiedli teraz druhowie z zastępu Czarne Stopy. Nie tylko obsiedli. Znieruchomieli, zapatrzeni w strzelający wyżej i wyżej ogień, w dalekie smugi czerwieni na niebie, w gęsty cień pod kopułami

drzew i w kołysane lekkim powiewem iskry, które zdawały się także zawisać na granicy ciepła, żeby choć chwilę przetrwać i posłuchać zdumiewającej melodii.

Nie wiadomo kiedy Marian Serwacz odchylił głowę do tyłu. Spod bujnej czupryny wyjrzała blada, surowa twarz, ale w dalszym ciągu nie patrzył na nikogo z obecnych; jego wzrok opowiadał coś gwiazdom, a może księżycowi przezierającemu pomiędzy liści; opowieść dodawała melodii siły, smutku, dramatyzmu, to znowu nasycala ją rytmem dzikiej, aż bolesnej wesołości.

Nagle kucharz powiedział:

- Mucha nie siada.

Marcin uklonił się właśnie i chciał skończyć swój koncert. Brawa nie pozwalały mu odejść. Czarne Stopy znały system równego, upartego klaskania, do którego włączyli się wszyscy pozostali. Muzyk powtarzał melodię, grał inne, znowu musiał bisować, akordeon jak żywa istota rozśpiewał się, ludzkie uznanie spotęgowało i wydobyciło zeń nowe rejestry tonów, odpowiadających uczuciom całej gromady zapatrzonej w ognisko, zasłuchanej w melodię, w nastrój letniego wieczoru, w nadciągające odgłosy nocy, we własne myśli, jakie się budziły tu, przy tym ognisku, pomiędzy rówieśnikami, których przed godziną w ogóle nie znali.

- Bis! Bis! Jeszcze to zagraj! - wołali wszyscy.

Marcin porozumiał się lekkim ruchem brwi z Tadzkiem Pióro, znowu schylił głowę nad akordeonem, jakby chciał coś szepnąć instrumentowi, palce jego przeleciały zupełnie cicho po klawiszach, ale tak, że ledwo było słycać parę tonów. I nagle buchnęła melodia znajoma:

*Już z ogniska iskra pryska, zasiedliśmy w krąg,
czarny za nami w mroku stoi bór.*

Zdawało się Czarnym Stopom, że słyszą każde słowo zamienione w przysięgę, którą powinni spełnić:

Odrodzimy, odnowimy starą świata twarz.

Akordeonista usiadł. Brawa zerwały się jeszcze raz i zamilkły w końcu. Tadek Pióro zerknął na rozłożoną kartkę, podniósł dłoń.

- A teraz usłyszemy koncert żab i zobaczymy zabawę z balonikami.

Wśród gęstych liści klonu zajaśniał żółty lampion. Odezwało się stłumione, dalekie kumkanie.

- Zgrywa! - powiedział szeptem Fobusz. - Oni tu ze dwa tysiące żab w stawie nałapali, żeby nam zaimponować.

Ale właśnie wtedy dziewczyny siedzące wokół ogniska przechyliły się głęboko w tył, uniosły ramiona, czekały. Początkowo spływało na nie tylko żółtawe światło lampy, ukazujące włosy wyjątkowo starannie wyszczotkowane, ozdobione kolorowymi wstążkami. Nagle szybkie ruchy palców i dłoni spowodowały, że po nitkach, których w ciemności nie można było dostrzec, nad głowy dziewczyn zaczęły się powoli opuszczać baloniki różowe, niebieskie, zielone, cętkowane, kropiate, czerwone, pomarańczowe, białe, najróżniejsze. Każda miała dwa. Kumkanie żab nie ustawało. Przy tym akompaniamencie ramiona dziewczyn wykonywały płynnie i równo dziesiątki

ruchów, a barwne kule balonów jak ogromne maki chwiały się, tworzyły wielki bukiet, odbiegały w tył, to w lewo, to w prawo, mieszały się na moment, opadały do nóg, żeby znów podfrunąć i falować.

Aż ucichło kumkanie żab. Tylko cicha, daleka melodia okaryny przeciągała bardzo tęsknie jak wiatr i w teje chwili palce dziewczyn rozwarły się z wolna, a w zdowie krzyknęli ze zdumieniem i z zalem:

- Ooooo!!!

Jeszcze trwał okrzyk, a już lekkie baloniki, jedne wolno, inne szybko wznosiły się do góry, przemknęły w żółtawym świetle wiszącego na drzewie lampionu, zaczęły ulatywać w ciemność konarów i liści, w nieprzeniknionej tajemnicę przestrzeni, nocy i gwiazd. Wszyscy patrzyli do góry.

Umilkł głos okaryny, może i grajek uniósł głowę, szukając w granatowym zmierzchu mknących baloników.

- Widzę! Patrz, o tam! - szepnął Marek Osiński, przyciągając ramieniem Fobusza.

- To pewno nietoperz! - wypalił Franio Fobusz bez namysłu.

Felek poruszył skórą na głowie tak wyraźnie, że jego łopatkowate uszy wykonały rytmiczny ruch i zdawały się sterceć obronnie na boki, jak u rozgniewanego słonia.

- Balon ci się pomylił z latającą myszą? - zawołał Fobuszowi w ucho.

Wszyscy jeszcze patrzyli do góry, chociaż oprócz uwieszonego na gałęzi lampionu mogli dostrzec tylko ciemną głębię nieba, po której wiatr przeganiał obłoki, chmury, powodując wrażenie ruchu gwiazd. Aż nagle na krótką chwilę pomiędzy kłębowiska chmur i cieniów ukazał się przesłonięty jeszcze świetlistym oparem, ledwo dostrzegalny okrągły kształt.

- Jeeest! - zawołało mnóstwo uradowanych głosów.

- Jest, ale co? - zapytał rzeczowo Błyskawica.

- Mój żółty balon! Mój żółty balon! - wykrzykiwała mała dziewczynka, pokazując wyciągniętym palcem niebo nad ogniskiem. - Od tej pory zawsze będę myślała, że księżyc to mój żółty balon!

Ale ławica mgieł znowu zaciągnęła wszystko gęstą kurtyną.

Marek Osiński powiedział w zamyśleniu:

- Może nasza ziemia też wydaje się komuś podobna do małego balonika...

Tadek Pióro chrząknął. Ten dźwięk wzmocniony przez mikrofon, zabrzmiał tak potężnie nad polaną, jakby doleciało tu do nich z góry gniewne mruknięcie księżycy. Wybuchł śmiech. A zaraz potem piosenka podjęta przez wszystkich; nawet Maciek Osa i ojciec Zenka, i kucharz obozowy, i Fobusz wyciągali każdy po swojemu, ale tęsknie i smętnawo, bo wiedzieli, że wakacje wkrótce dobiegną końca. Mimo to śpiewali całą gromadą: „Już za parę dni, za dni parę, wezmę plecak swój i gitarę...”

Akordeon, okaryna, grzebień i czyjaś pięść ostukująca menażkę, łyżka dzwoniąca o dno kotła, dodawały rytmu. Dwunastoletnie basy i czternastoletnie falsety, a za nimi chwiejne soprany dziewczynek i wątpliwe barytony druhów dorosłych propono-

wały najpiękniejszej porze roku: „Lato, lato, dam ci różę, lato, lato, zostań dłużej...”

Róż polnych i ogrodowych nie brakowało w okolicy, kwitły dale, ale też gdzieś astry zaczynały się zwiąć w supełkowate paki, sygnalizując aż nadto wyraźnie, że trzeba się cieszyć każdym dniem lata i każdą słoneczną godziną.

- Gwiazdka spadła! - pisnęła ta sama dziewczynka z odstającymi warkoczami, która poprzednio pierwsza dostrzegła księżyc. Pewno nie przestała obserwować nieba w nadziei, że jeszcze dostrzeże swój żółtawy balonik. Jej buzia pomiędzy dwiema różowymi kokardami wydawała się dziecinna i zarazem trochę melancholijna.

- Niczego niezwykłego nie ma na tym ognisku - powiedział Felek - ale nie chce się odejść.

I znowu poruszył skórą na głowie, wprawiając uszy w znikomy ruch, jakby sam się dziwił, że zostaje.

Najbliższy sąsiad Felka, wyrośnięty i chudy, prawdziwa tyka z pękiem grochowin zamiast czupryny, dosłyszał słowa Felka i powiedział cicho, może tylko do siebie:

- Zaraz będą zawody pływackie. Skoki z trampoliny. Mucha nie siada.

Felek ożywił się nagle.

- Zawody? Skoki?

- No!

- W dechę! Jak ci na imię?

- Tymoteusz.

- O rany! Ty-mo-te-usz?! A ja Felek.

Znowu zabrzmiał śpiew, a potem zorganizowano krótką zgaduj-zgadulę. Tadek Pióro miał pełne ręce roboty, żeby sprawiedliwie zawyrokować za pomocą zbiażonej karteczki trzymanej w ręce, kto jest najlepiej zorientowany w literaturze, filmie, sporcie i geografii świata. Maciek Osa kręcił głową zdumiony, chłopcy pogwizdywali w cichym zachwycie, słysząc jak tyczka grochowa, czyli Tymoteusz, bezbłędnie sypie wiadomościami, dając odpowiedź na każde pytanie. Widzieli go dobrze. Siedział bez ruchu w czerwonych, pełgających odblaskach płomienia, chudy, niemal przezroczysty, i w chwilach czekania na decyzję Tadek Pióro przejeżdżał otwartą dłonią po swoich grochowinach, który to ruch zamiast jakoś je przyglądzić, powodował jeszcze straszniejszy zamęt na głowie.

- Tymoteusz to jest po prostu Wielka Encyklopedia Powszechna - szeptał Maciek Osa. - Co za niezwykły gość! Tyle wiadomości z każdej dziedziny! Wszystko wie o Koperniku. Wszystko wie o podróżach kosmicznych. Wszystko wie o sporcie!

Mnóstwo druhów ścisnęło dłoń zwycięzcy, znowu brzmiała piosenka; ledwo ją skończono, Tadek Pióro poprosił gości, żeby przeszli głównym wejściem, tymi oświetlonymi drzwiami do sali, gdzie odbędzie się sportowa część imprezy.

- Nareszcie coś dla mężczyzn! - ucieszył się Fobusz, powtarzając poprzednie słowa Felka i zacierając ręce. Biegł pierwszy we wskazanym kierunku. Za nim inne Czarne Stopy. Kucharz dziwnym trafem trzymał się najmłodszego zastępu.

Hala sportowa była imponująca. Rzędy foteli ustawionych amfiteatralnie i

bardzo spadzisto pozwalały doskonale widzieć zarówno dwie trampoliny, wyższą i niższą, jak i głęboko w dole rozległy basen pływacki wypełniony wodą, która dzięki zielonym kafelkom i górnemu światłu lamp jarzeniowych sączącemu się przez oszkłony sufit, robiła niezwykle wrażenie.

- Jak z kolorowego filmu! - szepnął kucharz. - A ja miałem już nie przyjść, bo w ogrodzie za internatem pokrzywy ścigają się z pokrzywami!

- Czarne Stopy! - zawołał Fobusz, biegnąc do pierwszego rzędu. - Siadajmy razem. Urządzimy dziewczynom taki wygwizd, że się spłoszą jak żaby nad sadzawką. Już one na pewno będą skakały stylem dowolnie tchórzliwym.

- A ile narobią pisku! -- dodał uradowany Felek. - Uszy nam z tego popuchną. Basowe chrząknięcie mogło się wydobyć tylko z wnętrza jakiegoś brzuchomówcy; to mikrofon odezwał się i wzmocnił czyjś głos. Felek zaczerwieniony aż po odstające uszy daremnie badał wzrokiem Fobusza, Błyskawicę, Marka Osińskiego, Maćka Osę, a nawet kucharza. Czuł się skarcony.

Delikatny gong. Maciek Osa rozejrzał się po sąsiednich fotelach.

- Ciekawe, gdzie Tadek Pióro. Myślałem, że będzie tu razem z nami, kiedy ognisko się skończy.

Nagle Marek ścisnął mocno dłoń zastępowego.

- Spójrzcie! - powiedział zdławionym szeptem.

Tuż blisko, przy wybiegu na górną trampolinę, zaledwie o parę metrów od pierwszych rzędów, ustawili się według wzrostu zawodnicy. Na czele stał Tymoteusz. Jego zmierzwiona czupryna przewyższała wszystkich, ale on sam nie był tak wysoki, jak sądzili przedtem i tylko niezwykła szczupłość, ujawniona jeszcze bardziej teraz, kiedy miał na sobie pstrokate kąpielówki, nic więcej, stwarzała wrażenie wybujałego wzrostu.

- Jakie ten chudeusz ma nogi! - zadziwił się kucharz i nagle wszyscy umilkli, bo wcześniej nie zwrócili uwagi, że lewe udo chudeusza na tle uda prawego było wątłym, chorobliwie cienkim i bezwładnym źdźbłem, a pod pachami chłopca tkwiły kule, na których wspierał swoje anemiczne, niemal zupełnie pozbawione mięśni ciało.

Ktoś bardzo głęboko wciągnął powietrze. Jeszcze jeden szept:

- On chyba nie będzie skakał do wody?!

Tymoteusz położył ostrożnie kule. Każdy jego ruch cechowała drobiazgowo precyzja i dokładność. Usiadł. Obie dłonie zacisnął na krawędziach trampoliny i wolno, zdecydowanie zaczął się posuwać do przodu po kilka centymetrów, dalej, dalej, na sam koniec deski, wysuniętej dość daleko nad zieloną wodę basenu.

- Dla niego to przepaść - szepnął Marek Osiński, ale nie miał odwagi mówić tego nikomu ani nawet oddychać, jakby się bał najlżejszym tchnieniem zdmuchnąć z wysokości wielu metrów to blade, bezkrwiste chucherko. Tymczasem chłopak nie mógł się już posunąć ani o pół centymetra. Znieruchomiał na parę sekund, uważnie podciągnął obie nogi, zdrową i chorą. Stał prosto. Zrobił jeden krok. I nagle skoczył lekko, jakby był konikiem polnym albo jaskółką, która chce się napić dotykając w locie powierzchni strumienia. Zielona woda basenu przyjęła go, zatoczyła dokoła kręgi

coraz większe, a wokół jego ramion utworzyła białą grzywę piany. Płynął. Bił harmonijnie ramionami, lewym, prawym, lewym, prawym, nabrał rozpędu i rytmu, panował nad sytuacją, posuwał się prostym klinem przez wodę, rysując długi warkocz spienionej fali. Unosił głowę i znowu zanurzał ją ufnie w zielonej, migotliwej przestrzeni.

Kalectwo pozostało daleko za nim. Od momentu, kiedy skoczył i zaczął płynąć, mięśnie były mu posłuszne, pracowały zgodnie z wolą, sercem, ambicją i systemem nerwowym.

Kucharz uniósł się z miejsca, żeby lepiej widzieć powierzchnię całego basenu, co nie było takie łatwe przy tuszy kucharza; siadając wbił swoje potężne kształty w nowoczesny fotelik, ale kiedy chciał gwałtownie wstać, poczuł, że biodra z przyległościami tkwią mocno zaklinowane, jak w potrzasku, szarpnął raz i drugi, jako że był to człowiek silny, nie ułomek, ale wtedy zaczęto naokoło psykać, okazało się bowiem, że fotele złączone pod spodem tworzą rodzaj ławy, która drgała i trzęsła się przy każdym ruchu grubasa.

Maciek Osa nie odwracając oczu od pływaka zawołał tonem rozkazu:

- Spokój! Bo jak nie, to na trampolinę pognam wierzcipiętę. Skakać do wody każę, a potem karniaka łupnę.

Kucharz uspokoił się pozornie. Mruknął tylko z wściekłością:

- Ja ci pognam! Osę pieczoną w omlecie z konfiturami podsunę ważnemu zastępowemu przy pierwszej okazji. Przysięgam, że to zrobię na najbliższym biwaku.

Potem ostrożnie wykonał skręt bioder, jakby był korkociągiem i wyzwolony z objęć fotela stanął nad samą barierą.

Srebrzysta i zielona woda, spieniona, roztaczająca kręgi niosła na sobie chudzielca, spełniała każde jego życzenie, wytryskała fontannami, kiedy płynął z ukrytą twarzą bijąc mocno stopami, zamykała się nad nim, gdy nurkował, a zamieniała się pod nim w zieloną łąkę, jeżeli kładł się na wznak ledwo poruszając palcami, żeby chwilę odpocząć.

- Jak pragnę zdrowia! - zawołał kucharz. - Gdyby temu piskorzowi skrzydła u ramion wyrosły, jeszcze bym się tak nie zadziwił. On przestał być kaleką, ledwo do wody skoczył!

Oklaski zrywają się spontanicznie i towarzyszą chudemu chłopcu, wzmagając się jeszcze, ledwo chwycił dłońmi metalowe drążki przy schodkach. Entuzjazm ogarnął wszystkich widzów. Nie przestają klaskać. Ale czarodziejska chwila minęła. To już ułomny wychodzi z basenu, nierówno sterczą łopatki, nierówne są jego kroki, sucha, przy krótką nogą powoduje utykanie.

- Brawo! Brawo! - krzyczy kucharz i dłońmi wielkimi jak bochny chleba klaszcze wytrwale, rytmicznie, a cały zastęp Czarnych Stóp razem z Maćkiem Osą podtrzymuje kucharza w jego entuzjastycznej owacji.

Cała sala - druhny, druhowie, pacjenci, jacyś dorośli - wyrażają swój zachwyt.

- A teraz będzie skakał akordeonista! - krzyknął Fobusz i brawa natychmiast ucichły. Ktoś westchnął. Niejednego dziś wzruszenie dławilo za gardło.

Marcin Serwacz stał bez ruchu. Może bał się wielometrowej odległości pomiędzy nim i turkusową, niemal szklaną w tej chwili powierzchnią basenu? Zerknął w bok, tam gdzie pochylona głęboko do przodu, nie mniej przejęta niż wszystkie Czarne Stopy siedziała młoda kobieta w lekarskim fartuchu. Po twarzy Marcina przemknął ledwo uchwytny blask uśmiechu. Ktoś dał cichy sygnał kamertonem. Chłopak na trampolinie drgnął.

- O, lichu! - sapnął Maciek Osa. - Żeby tu mógł być z nami partyzant Leśne Oko i zobaczyć. O, lichu! O, lichu!

Akordeonista kulejąc postąpił jeszcze mały krok naprzód, stanął prosto i na pozór bez lęku poleciał w dół. Był tak opanowany, że robił wrażenie lżejszego niż powietrze, które zdawało się go nieść z całą ostrożnością, by pieczołowicie przekazać wodzie.

Płynął radośnie. Zniknęła jego zwykła posępnosc, ręce sprawne podczas gry, teraz okazały się mocne; wzniecały bryzgi zieleni, dając mu wspaniałą nagrodę za godziny przygnębienia, kiedy jego zdrowi rówieśnicy mogli biegać, jeździć na rowerze, korzystać z łyżew i nart, a on kuśtykał obserwując ich z daleka. Najwyraźniej doznał upojenia ruchem, sportem, opanowaniem własnego ciała i wszelkich odmian pięknego sportu, stylów, tajemnic pływania.

Marek Osiński poczuł dotyk łokcia Błyskawicy.

- Chyba Tadek Pióro nie będzie brał udziału?

Spojrzeni w stronę trampoliny, potem odwrócili się do lekarki.

- Niżej! - szepnął Maciek Osa. - Patrzcie na drugą dechę...

Kamerton daje znak, a górna trampolina pozostaje pusta. Dopiero w tej chwili spostrzegli, że nieco niżej, na końcu zawieszanej nad basenem kładki stoi kilkoro zawodników, na czas pływania wyzwolonych z aparatów, protez i kul. Pierwsza przygotowywała się do skoku czarnuła z odstającymi warkoczykami, ta sama, która nazwała księżyc żółtym balonikiem. Jej zadarty nosk nadawał rysom wyraz humoru i zaciekawienia.

- Pietra też ma - stwierdził Felek.

- A ty byś może nie miał? - oburzył się strasznie kucharz. - Idź, chlupnij bracie do wody, jak śliwka w kompot, zobaczymy, czy cię strach nie obleci.

- Phy! Ja, to jeszcze pół biedy - Felek skrzywił usta. - Mam uszy do wiosłowania, nic mi nie grozi. Ale jak by druh kucharz wlaź na trampolinę! Katastrofa kosmiczna za katastrofą kosmiczną! Deska na pół. Murowane. Zrobiłby się taki plusk, że widzów trzeba byłoby wyciskać przez wyżymaczkę. No i woda w basenie wystąpiłaby z brzegów aż na ulicę.

Maciek Osa zdenerwował się.

- Co wy dziś tak pytujecie? Do żeńskiej drużyny was zapisać.

Ale to czekała go zasłużona kara. Druhna Maryla siedząca tuż za jego plecami dała mu zniecka prztyczka w kark.

- Myśli druh, że przyjąłabym podobne papple do zastępu? Figa! Proszę spojrzeć. Moje druhny siedzą cicho. Ze świecą szukać takich gadułów, jak w waszej dru-

żynie. A najwięcej uwag mają zawsze Czarne Stopy.

Zapanowała złowroźna cisza. Po niższej trampolinie posuwało się jeszcze kilkoro najmłodszych sportowców, a na samym końcu, bledszy niż kiedykolwiek, stał Tadek Pióro.

Czarne Stopy znieruchomiały. Westchnienie przeleciało pomiędzy nimi, długie, zbiorowe, pełne niepokoju. Ktoś niedawno jeszcze bił brawo, teraz jednak ucichli zupełnie, tylko Maciek Osa wiadomym sobie sposobem, polegającym na samych ruchach ust, wyraził swój pogląd:

- Wolałbym, żeby Tadek nie skakał. Przecież on jest jeszcze chory! Co za baran mu pozwolił?!

W tej chwili rozległ się plusk i cały zastęp ruszył w stronę bariery nad basenem.

- Baran, nie baran - podjęta zaczepnie kobieta w białym kitlu. - Jedno jest pewne: za mało druh zna ten problem, żeby tu baranami rzucać.

Maciek Osa spąsował. Wobec własnego zastępu dostał właśnie łupnia od kobiety!

- Fakt - zaczął pojednawczo, ratując resztki autorytetu - lekarz ma najważniejszy głos, ale mnie ten Tadek wydał się jakiś taki zdziwały, załkniony. Pani jest ortopedą czy chirurgiem, ja - zastępowym. Każde z nas ma własny punkt widzenia.

Kobieta w białym kitlu śledziła bezradne, nieskoordynowane ruchy Tadzka Pióro, pływającego „po piasku” w najpłytszej części basenu, chaotycznie młocącego ramionami wodę, bez większych rezultatów usiłującego wypracować piękny styl.

- Znów omyłka, druhu - powiedziała spokojnie. - Wcale nie jestem ortopedą ani chirurgiem. Jestem psychologiem. I zapewniam was, że natura daje czasami pokrzywdzonej istocie zdumiewające szanse, pozwala wyrównać stratę. Oczywiście, nie zawsze to się udaje. Bywa tak, że zamiast rozwoju, narastają zahamowania, kompleksy.

- Tadzka Pióro to ja bym jeszcze nie puścił na trampolinę - upierał się Maciek Osa marszcząc brwi.

- Zdecydował lekarz, który opiekuje się obozem - odpowiedziała poważnie. - Postąpił na pewno słusznie. Nawet nieudane próby zdobycia najmniejszego sukcesu w sytuacji Tadzka są bardzo ważne.

- Jak oni bezbłędnie pływają! - włączył się do rozmowy kucharz. - W życiu nie widziałem takich delfinów. Odcięli roślinie jeden konar, ona rozkrzewia się, kwitnie, cud natury, dosłownie z ust mi pani to wyjęła: cud natury!

Patrzyli w dół. Tadek Pióro nie był jeszcze znakomitym pływakiem, kotłował się i wierzgał, prezentował kolana, to znów odwrotną, wypiętą część ciała, z której osunęły się trochę za nisko zielone kąpielówki, widocznie ściągnięte zbyt luźną gumką. Wydał im się tym bardziej bliski z tą swoją nieporadnością, jak młodszy brat, obserwowany z pozycji doświadczenia i powagi starszego rodzeństwa. Prychał, parsknął, usiłował nurkować, ale udawało mu się to tylko częściowo, nie mógł się zagłębić, na powierzchni pozostawały zawsze lekkie i wydęte jak baloniki zielone portasy.

- Nasze Piórko - szepnął rozczulony kucharz i wzdychał z siłą parowozu. - Muszę specjalnie dla niego zrobić deser i nałożę konfitur, ile będzie mógł zjeść. On jest za lekki. Już ja mu najlepsze kęsy zawsze przygotowuję.

Pobieźnie tylko przyglądał się następnym skokom, dziewczynce z odstającymi warkoczykami, drugi raz kuśtykającej po parę centymetrów aż na brzeg trampoliny i lecącej pięknie w dół; zaledwie długie i roztargnione spojrzenie poświęcił energicznemu chłopcu, który przybierał postawę atlety prężąc mięśnie. Pokiwał głową z uznaniem, kiedy nad zieloną wodę basenu sfrunęła niby na spadochronie smukła dziewczyna pod rozwianą strugą złotych włosów. Ale za każdym razem wyciągał nerwowo szyję naprzód i sykał boleśnie:

- Pst! Oj! Uwaga! Jeszcze kto spadnie naszemu Tadekowi na głowę! Jedna trampolina, druga trampolina, pełno tych koników polnych i żab, jak na łące, dosłownie, zupełnie jakbym był tam u nas, na zboczu Diabelskiego Kamienia. Pamiętam, jeden świerszcz to mi skoczył za koszulę i tak mnie drań zaczął tymi pazurkami łechtacz, że ze śmiechu o mało nie wleciałem w kocioł gorącego rosołu. Zgnieść go nie chciałem, sumienia bym nie miał, a znowu druh oboźny wpadł w złość, bo myślał, że z niego tak chichotałem. A mnie wcale nie było do zgrywy, ani do tego, żeby się z druha oboźnego nabijać.

Wreszcie Tadek Pióro wyszedł. Obstąpili go ze wszystkich stron, każdy chciał go dotknąć, ucisnąć dłoń, sprawdzić, czy chłopak jest cały i zdrowy, czy nie zmęczył się za bardzo. Czarne Stopy osłaniały mokrego pływaka, chroniąc go przed atakiem rozentuzjzjzowanych kibiców. Kucharz rozłożył ramiona i wołał basem:

- Wolnego! Nie tak ostro. Przepisowo musi być! Niech się zawodnik wytrze do sucha, ubierze, odpocznie, rozgrzeje troszkę, wtedy udzieli nam odpowiedzi. Nawet autografy może dawać, jak ładnie poprosicie.

Tadek wybuchnął śmiechem i nie zwrócił nawet uwagi, jaka cisza zaległa naokoło: w ogromnej, brzmiącej akustycznym pogłosem pływalni dzwonił tylko jego śmiech pełen rozbawienia. Pierwszy śmiech od wielu miesięcy.

- Po co miałbym odpoczywać?! Albo mi to pierwszyzna, takie skoki? Trenowaliśmy z instruktorem tyle czasu i doktor zawsze był przy tym. Chciałem iść na górną trampolinę... Szkoda... - westchnął ciężko. - Nie dali. Że to za wcześnie. No, ale zobaczycie na drugi raz!

Machnął ręką. Po chwili dodał:

- Marek przecież był ze mną na wszystkich treningach, od początku do końca. Niech sam powie.

Kucharz nachylił się nad pływakiem i zapytał zupełnie cicho:

- Nie bałeś się? Tak naprawdę, nic a nic?

Tadek podniósł rozjaśnioną wyrazem triumfu twarz.

- A bo to ja bojący? Tam u nas na wsi, to się wchodziło w stodołę na myszy-niec i wio w dół, ale tyłem, albo w skoku trzeba się było wykręcić jak śruba. Ile takich koziołków na siano machnąłem.

Uśmiech zgasł, wargi ściągnęły się znowu.

- Teraz, to bym już nie mógł. Ale tu, na pływalni, potrenuję znowu jakiś czas i spróbuję z górnej trampoliny skoczyć tak jak z myszyńca. Pan doktor już wie, dlaczego nie miałem mu powiedzieć? On jest równy.

Jeszcze nigdy nie słyszeli, żeby Tadek mówił tak dużo i radośnie. Kucharz mrugał do Maćka Osy.

- Ja bym się bał próbować.

Gruchnął śmiech.

- Eeee - wołał Fobusz - to raczej trampolina powinna być w strachu. Pękałyby na pół, ledwo by taki chudziutki sportowiec na niej stanął jak nasz kucharz.

- A mnie się przypomniała jedna książka - powiedział Tadek Pióro. - Jak byłem w Świebodzinie, to nasza pielęgniarka przyniosła mi, bo się bardzo nudziłem. Taka cieniutka ta książeczka, prawie nic. Ale tam jest o skokach podczas okupacji. Pomyślcie: wyjść na skrzydło samolotu, noc, nic nie widać. I skoczyć, otworzyć spadochron, znaleźć na ziemi swój oddział, nie dać się złapać Niemcom. To było coś! O wiele trudniejsze, niż my tu dziś.

- A jak się nazywa ta książka? - pytał zaciekawiony kucharz.

Tadek Pióro mówił w zadumie, nie słysząc pytania.

- I kto? Dziewczyna! Dziewczyna skoczyła ze skrzydła samolotu w ciemną noc, chociaż na dole było pełno Niemców. Okupacja. Tytuł: Granica istnienia.

- To już wiem! - zawołał Marek Osiński. - Jest w naszej bibliotece. Warto przeczytać. Napisała ją pani Maria Rutkiewiczowa opierając na własnych przeżyciach.

Zbliżyła się do nich lekarka, dotknęła ramienia Tadek Pióro.

- Trzeba podziękować gościom i zakończyć imprezę. Robi się późno.

- Już. Już leć! - zawołał głośno, jakby zapomniał o swoim kalectwie.

Po kilku minutach ubrany, z włosami przyczesanymi gładko, ukazał się za stolikiem, włączył mikrofon, odchrząknął.

Zapadła cisza. Ludzie przerywali rozmowy, siadali w fotelach i słuchali.

- Oficjalna część imprezy dobiegła końca. Zapraszamy teraz naszych gości na tort własnej roboty i kompot z tutejszych owoców.

Zerwały się brawa; nieporadne, pozbawione tempa, słabe klaskania. Marek Osiński spojrział uważnie po szeregach foteli, spostrzegł gdzieś dłoń ocierającą łzę.

- Co jest, u wielkiej Anielki?! - zapytał Felka. - Jak oni mogą się tu mazać? Przykróść robią, nic więcej. Przypominają ułomnym o kalectwie.

Felka okazał się bardziej spostrzegawczy.

- Widzisz tę grochową tykę? Tego, co pierwszy skakał?

- No. Tymoteusz. I co?

- Widzisz przy nim starego? Co ma siwe włosy, tak samo rozczochrane?

- To jest ojciec grochowej tyki? Podobieństwo nadzwyczajne przyznał Marek.

- Ale gapa ze mnie! Jasne! Tata i syn. Albo dziadek, bo stary i siwy. Murowane, to jego dziadek.

- A właśnie. Na sali oprócz nas i personelu są chyba rodziny pacjentów. Całe

szczęście, że program był jako tako wesoły, bo inaczej basen pływacki wystąpiłby z brzegów od łez.

- A Tadek Pióro? - zaniepokoił się Osiński. - Czy ktoś mógł do niego przyjechać? Matka! Bo chyba nie ojczym!

- Ten typ osiadł na pewno w kryminale. Dostanie to, na co zasłużył.

- Ale matka! Matka! Żeby ona widziała swojego chłopaka!

Wielkie, rozszerzone niepokojem oczy Marka szukały kobiety wiejskiej o rysach przypominających Tadka Pióro. Nie, rodziców nie było tak wielu, jak pacjentów. Od razu spostrzegł parę wzruszonych matek, znikomą garstkę rodzeństwa, trzech ojców rozmawiających ze swoimi ułomnymi dziećmi. Koniec. Nikogo więcej. Ale Tadek Pióro, zaabsorbowany bogatym programem i swoją ważną rolą, zdawał się nie doznawać uczucia smutku.

Marek Osiński bez wahania, nawet z niejaką gwałtownością zapytał panią psycholog:

- Proszę pani, jak to jest? Oni przecież mają krewnych. Widzę, że u niektórych pacjentów są matki, ojcowie. No, a inni?

Umiała patrzeć i czekać na słowa, które wyrwały się tym bardziej nieskładnie, im pilniej mu było wyrazić myśl.

- Jak to jest? - powtórzył. - Chociażby nasz Tadek.

Ale nie było tu warunków na prowadzenie rozmowy: stali w progu przy samych drzwiach i właśnie młody lekarz objął ich ramionami, zachęcając do wejścia na salę, skąd płynęły słodkie aromaty wanilii, orzechów, pistacji, czekolady, które zapewne złożyły się na ostateczną kompozycję tortu.

- Wejdźmy - zaproponowała Markowi pani psycholog. - Usiądziemy, chyba Marcin Serwacz jeszcze nam coś zagra.

Maciek Osa z całym zastępem i z druhami kucharzami, usadowieni przy stole, rozmawiali z Tadekiem Pióro. Marek domyślił się, że pacjenci są bardzo podnieceni; wynioskował to z nasilenia głosów i z wzajemnego przerywania sobie w połowie zdania. Kiwnął im ręką. Nie wypadło teraz odchodzić, skoro przed chwilą sam zadał pytanie i zresztą ciekaw był odpowiedzi. Tymczasem ukazał się Marcin ze swoim akordeonem, ale już nie ponury, jak podczas pierwszego występu, przeciwnie, jego twarz jaśniała zadowoleniem i pewnością siebie.

- Graj, Marcin! „Greka Zorbę! „Orkiestry dęte”! „Kormorany”! „Lato, lato”! „Światła rampy”! Graj, co chcesz. Najnowsze i stare melodie.

- Marcin, graj wszystko po kolei!

- Będziemy cię karmili tortem, a ty bracie graj.

Nawet kiedy na chwilę schylał głowę, uśmiech pełen rozmarzenia i szczęścia nie zniknął z jego twarzy; palce przeleciały po klawiszach lekkim, kocim biegiem i wróciły, melodia wysunęła się, ścisła, żeby nabrać tanecznego rytmu.

- To jest artysta. Bezsporny talent. Uśmiecha się bardzo rzadko, częściej chodzi posępny, zamknięty w sobie, milczący - mówiła kobieta w białym kitlu, siadając obok Marka.

- Nasz druh kucharz powiedziałby: cud natury - zażartował Marek.

- Wasz druh kucharz upraszcza sprawę, ale ma serce. Ten chłopak, jak większość uczestników obozu, wymaga systematycznej kuracji. Przychodzi w ciągu roku szkolnego na masaże, na serie naświetlań. Okazało się któregoś dnia, że miał plecy oznaczone sinyimi pręgami. Śladami bata.

- Co?!

Marek opuścił rękę niosącą na łyżeczce kęs tortu. Czekał w milczeniu. Może czegoś nie dosłyszał? Był przekonany, że dalsze słowa pomogą mu zrozumieć sens opowiadania lekarki.

- Mało kto zdaje sobie sprawę - mówiła kobieta widząc jego zdumienie - że, niestety, dla wielu rodzin takie dziecko to powód udręki; wstydzą się, że mają w domu kuternogę.

Marek dostrzegł Franka Fobusza, przysłuchującego się rozmowie, dostrzegł również rumieniec, oblewający gwałtownie twarz kolegi.

Kobieta mówiła dalej:

- Chcieliby się kuternogi pozbyć. Ojciec Marcina każe chłopcu być niańką, bawić młodsze rodzeństwo, nawet pieluchy prać, a po pijanemu wali go z całych sił kijem albo skórzanym pasem.

- On matki już nie ma?

Kobieta skrzywiła się.

- Jest wiele rodzin, w których mężczyzna taki jak ojciec Marcina decyduje o wszystkim.

- A teraz „Kormorany”! - prosił najmniejszy chłopiec i podawał Marcinowi talerzyk. Upojona szczęściem, rumiana twarz akordeonisty płonęła.

- Weź ten tort! Akordeon mi umażesz - upomniał spokojnie małego.

- To Irena kazała ci dać - informował mały. - Ona prosi, żebyś grał cały wieczór.

Złota struga włosów załśniła przy podrzucie głowy dziewczynki. Jej nogi, pokonujące z trudem śliski parkiet, odwróciły się z wolna.

- Nie uciekaj - zawołał Marcin wesoło. - Tortu nie będę jadł, ale mogę ci grać „Kormorany” przez cały wieczór i nawet jutro, jak chcesz.

- To ja zjem tort, Irka, mogę? - napraszał się mały grubasek.

Melodia przyciągnęła nowych słuchaczy, zbliżali się do Marcina, siadali na podłodze, na niskich krzeselkach, układali swoje kalekie nogi w pozycjach najdogodniejszych, chłonili muzykę łakomie, podlegali w sposób widoczny jej działaniu.

- Czy oni tu spędzają całe swoje wakacje? - pytał Marek Osiński, myśląc o plecach Marcina, chronionych przynajmniej teraz przed kijem ojca pijaka.

- To wszystko jest w stadium eksperymentu. Paru lekarzy postanowiło spróbować. Dotychczas uważano, że dziecko ułomne czuje się najlepiej pomiędzy rówieśnikami zdrowymi. Błąd oczywisty! Rezygnowało w otoczeniu silnych kolegów nie tylko ze sportu i zajęć naprawdę dla siebie niebezpiecznych, ale ze wszystkiego. Było kimś innym. Właśnie kuternogą.

Marek ponownie dostrzegł, jak rumieniec uderza na skronie Franka Fobusza, który mimo to stał bokiem do mówiących i budował na stoliku piramidę z wykałaczek. Najwyraźniej temat rozmowy interesował go bardzo.

Kobieta wyjaśniała dalej:

- Spędzą tu zaledwie cztery tygodnie. To bardzo mało. A jednak odżyją. Wielu z nich odnajdzie w sobie jakiś talent. Weź chociażby dzisiejszy dzień. Ile wielkich emocji! Występy. Brawa. Rozejrzyj się. Przecież oni zapomnieli na te godziny, że są kimś innym niż wy, niż reszta młodych.

Od strony okna szła Irena. Fala jej złocistych włosów przepływała przy każdym utykającym kroku, spadając na szczupłe ramię. Lazuruwana kokarda chwiała się nad głową dziewczyny dodając jej uroku. Wielkie oczy rozszerzone wzruszeniem omijały wszystkich, zapatrzone tylko na Marcina, który grał wyłącznie dla niej.

Marek cicho zapytał:

- Ile ona ma lat?

- Jedenaście.

- Niemożliwe. Przecież wygląda zupełnie jak dorosła.

Pani w białym kitlu powiedziała z uśmiechem:

- Czasami tak bywa. Jakies wzruszenie zmieni człowieka na parę godzin. A potem znowu jest dzieckiem.

Znienacka wyrósł na tle drzwi Maciek Osa.

- Czarne Stopy! Co wy, zapomnieliście, że mamy dziś jeszcze opracować plan odnowienia harcówki?!

Ojciec Zenka pojawił się tuż obok Maćka Osy.

- Taki zastępowy to ma dobrze. Tylko „zbiórka”, tylko „rozkaz” i wszystko zrobione. Tymczasem tu? Malarz obiecał zaciągnąć lamperię w gabinecie lekarskim na olej i co? Farba stoi, pędzle kupione, a malarza diabli wzięli.

- Święte słowa - przyznał Maciek Osa. - Taki zastępowy to ma dobrze! Zbiórka! Rozkaz! I wszystko zrobione. Chłopaki! Na ochotnika. Zgłaszajcie się. Kto jutro rano przychodzi tu zaciągnąć olejną farbą lamperię w gabinecie lekarskim? Oczywiście, jeżeli kierownictwo zgodzi się przyjąć naszą niefachową pomoc.

- I jeżeli nie trzeba będzie łykać żadnych tabletek - wypalił Fobusz, a potem znowu zaczerwił się na myśl, ile musi brać leków, ba, zastrzyków także, każdy jego rówieśnik podczas kuracji.

11. Tadek się boi

Tego wieczoru Tadek Pióro przewracał się w łóżku z lewego boku na prawy, to znowu na wznak, co chwila układając się inaczej i wzdychając. Marek obserwował go. Początkowo nie mówił nic. To zupełnie zrozumiałe, że chłopakowi trudno zasnąć. Miał tyle wielkich przeżyć, na pewno musiał przezwyciężyć uczucie przerażenia, chociaż usiłował wmówić wszystkim, że się nie boi. Westchnienia Tadka Pióro tłumila kółdra, którą naciągnął na głowę.

Marek usiadł. Zaczynało to przypominać płacz albo stłumione jęki. Co robić? Może po prostu rozbolała go noga po skokach i pływaniu? Może wystarczy dać mu jakiś lek z naszej apteczki?

Wstał. Ostrożnie zbliżył się do łóżka, położył dłoń na kółdrze Tadka. Zapadła kompletna cisza, jakby Marek uległ przed chwilą złudzeniu. Mijały sekundy. Wreszcie zaszczerpiony w harcerstwie nawyk energicznego działania wziął górę w Marku nad uczuciem delikatności. Mocniej ścisnął ramię Tadka, wyczuwalne przez grubość kółdry. Wtedy wysunęły się spod białej podpinki najpierw palce zasłaniające gestem obronnym głowę, później obcięta krótko czupryna i w końcu, dzięki poświęceniu księżycy, błysnęły rozszerzone oczy. Trwało milczenie. Marek nie miał odwagi zadawać pytań, a Tadek Pióro nie mówił nic. Ani westchnień, ani jęków. Cisza. Daleko, za drzwiami jadalni tykał zegar, jego równomierny szept działał kojąco. Można było pomyśleć, że tak przemawia zacisza rodzinnej domy.

Nagle Marek drgnął. To już nie było postukiwanie mechanizmu zegara, tylko ludzki, stłumiony kółdrą głos:

- Boję się.

Markowi ścierpła skóra na karku. Nie zmieniając pozycji dyskretnie odwrócił głowę w stronę drzwi, później w stronę okna. Pusto. Wszyscy śpią. Palce Tadka Pióro bezszelestnie wysunęły się spod kółdry i chwyciły rękę Marka.

- Boję się. Czy ty niczego nie zauważyłeś?

Marka ogarnął ziać, spłynął po plecach.

- Ale co miałem zauważyć, gdzie?

Milczenie. Tylko palce Tadka drżały, ścisnąc mocno dłoń Marka.

- Boję się. Żebyś ty wiedział, jak ja się boję. Przecież on tam był.

Marek usiadł na brzegu pościeli nowego drухa. Miał ochotę zapytać, czy zapalić w sypialni światło, zrezygnował jednak. Poświata księżycowa razem ze światłem ulicznej lampy wypełniały pokój zielonkawą szarością, w której każdy przedmiot rysował się wyraźnie.

Marek uśmiechnął się do siebie. Zawołał pogodnie:

- Tadek! Pomyśl! Jesteś w internacie. Naokoło śpią najodważniejsi z odważnych, twoi przyjaciele. Lwy. Tygrysy. Mamy tu Pumę. Niczego nie potrzebujesz się bać, kiedy jesteś pomiędzy nami. Poszedłbyś na czarną wartę, chłopie! Między północą i drugą można mieć pietra. Ja sam przeżyłem okropną chwilę, zdawało mi się, że w krzakach ukryło się lichy wiec, tymczasem to była wyźlica, matka tych pięciu naszych szczeniaków. Ile się strachu najadłem! Ciemności egipskie. Trzaskają gałęzie. Szum! A na dnie wąwozu, bracie, woda bul, bul po kamieniach. O krok nie widzisz. Włosy na głowie stają i w gardle coś dławi, chciałoby się mówić, ale jak się usłyszysz własny zmieniony głos, to strach jeszcze gorzej szczypie za tyłek.

W miarę opowiadania Tadek Pióro kilka razy westchnął z ulgą, nerwowo uścisk jego palców zelżał i Marek zdumiony niepomiernie zrozumiał, że mimo tak interesującej opowieści, nowy drух głęboko zasypia. Co to mogło być? Marek jeszcze siedział jakiś czas bez ruchu, niepewny, jak postąpić. Dopiero kiedy głowa kiwnęła mu

się mocno, spróbował ostrożnie wstać. Ale Tadek usiadł natychmiast i szeptem sflu-mionym zawołał, jakby w najgłębszej tajemnicy:

- Boję się! Widziałem go. Ja mam taki mazurski wzrok.

Potem ułożył się na boku z policzkiem wtulonym w róg poduszki, westchnął jeszcze raz i zaczął spokojnie oddychać. Spał znowu. Natomiast Marek Osiński tej nocy długo nie mógł zasnąć; wyobrażnia podsuwała mu różne powody strachu Tadka. Trzeba będzie porozmawiać z druhem Andrzejem Wróblem. To może nic wielkiego, ale diabeł nie śpi. Należałoby też opowiedzieć pani doktor o tym powtarzanym ciągle „boję się... boję się...”

Rano słońce przepędziło wszelkie nocne lęki. Sierpniowe światło najłaskaw-sze dla fotografów, najżyczliwsze dla optymistów, pesymistom miało również rozja-śnić horyzont. Marek obserwował Tadka Pióro bez przypominania mu, że w nocy wołał „boję się”. Może to był sen albo wrażenie z pogranicza jawy, spowodowane jakimś wspomnieniem? Chodzić z takimi sprawami do Andrzeja Wróbla? Teraz, kiedy promienie nadały całemu światu radosny wygląd? O czym tu mówić i czego można było się bać?

Drużynowy powinien, oczywiście, wiedzieć, jeżeli niepokoję Tadka powtó-rzyłyby się jeszcze. Zresztą, za parę godzin będzie można zapytać panią psycholog, co by to mogło znaczyć.

Marek, uspokojony zupełnie, że śpiewem przyniósł sobie do jadalni śniadanie i stwierdził, że Tadek Pióro wprawdzie je wolniej, ale zmiata kromkę za kromką i pije świetne, parujące kakao. Zdrowy apetyt kolegi uznał Marek za ostateczny argument pozwalający mu zbagatelizować tamto wołanie „boję się”. Dzisiejszy dzień na pewno wyjaśni wszystko.

12. Malarz ogonowy

Zgodnie z wczorajszymi obietnicami stawił się cały zastęp w komplecie. A nawet było więcej: nie tyle rąk do pracy, ile nóg do biegania; razem ze swoimi opieku-nami wemknęła się bowiem na teren obozu Czarna Stopka. Najpierw tu i ówdzie przy-kucała na chwilę, dając wyraz uznania różom i mieczykom, a potem od razu przystąpi-ła do działalności. Jej ogon od czasu niemowlęctwa na zboczu Kamienia zwanego Diabelskim nabrał niebywalej puszystości, jakby należał do setera, czy może nawet wiewiórki. Stał się też wrażliwym sejsmografem, reagującym wyjątkowo trafnie na stan psich uczuć. Tego poranka Czarna Stopka znalazła się w gromadzie młodych istot, spragnionych ponad wszystko serdeczności. Dobre psie serce rozkołysało się jak dzwon Zygmunta w Krakowie, dobry psi ogon uczynił to samo.

Farba olejna była ciemnozielona. Jakim sposobem psiak zdołał umoczyć swój ruchliwy chwost w gęstej cieczy - żadne źródła historyczne nie informują. Druhowie mieli mnóstwo zajęć w gabinecie lekarskim, obiecali bowiem zrobić lamperię jak najszybciej, żeby podeschła w ciągu soboty i niedzieli przed kolejnymi badaniami pacjentów. Czarna Stopka tymczasem zwiędzała salę gimnastyczną, sypialnie dziew-

czą i chłopców, pokój biurowy, świetlicę, rozchlapując w ataku wesołości małe i duże zielone krople, rozmazując efektowne smugi nie tylko na przedmiotach stałych, ale nawet i na ludzkich ubraniach. Co pewien czas odwiedzała gabinet lekarski, łaszcząc się do swoich panów i pokrętnym ogonem zagarniała następną porcję farby. Trwało to wystarczająco długo, żeby cały budynek odnowić gruntownie wedle najlepszej psiej wiedzy i woli.

Dopiero kucharka podniosła piekło, kiedy wilgotne kudły psiaka przejechały po jej rozgrzanych od pieca nogach. Upuściła gorącą blachę napełnioną sucharkami, chwyciła ryżową szczotkę na kiju w zamiarach bynajmniej nie pokojowych, ale w zaciętrzewieniu pośliznęła się na mokrym zmywaku i jechała teraz po podłodze za uciekającym psem, dla zachowania równowagi wywijając szczotką.

Czarna Stopka umknęła w najciemniejszy kąt gabinetu lekarskiego, przestała machać ogonem. Podkuliła swój dowód winy i przyłgnęła do spodni Maćka Osy, który właśnie przysiadł na zydelku, żeby odpocząć.

W całym Ośrodku podniósł się krzyk. Wszyscy równocześnie spostrzegli skutki działalności malarza ogonowego, podającego się do tej pory za przyzwoitego, namiotowego psa, przyjaciela harcerzy z zastępu Czarne Stopy.

Woźna złapała się za głowę.

- Panie kierowniku, pan kierownik pozwoli! - wołała przeraźliwie. - Ten chu-ligan ogonem odmalował nam cały Ośrodek w rzucik i w szlaczek!

- A to już dziś wyszło z mody - spokojnie stwierdził młody lekarz. - Będzie-my więc musieli powołać sąd spomiędzy naszych pacjentów, ogłosić wyrok i prosić uprzejmych druhów, którzy powodowali się tylko dobrą wolą, żeby w miarę swoich możliwości zrekompensowali nam poniesione straty.

13. Proszę wstać, sąd idzie!

Pierwszy wkroczył do sali gimnastycznej Tymoteusz Jagodziak, obdarzony poważną funkcją z bardzo konkretnych powodów:

- On ma takie zmierzwiene włosy - mówił Marcin Serwacz - że z powodze-niem zastąpią mu perukę. Widziałem raz w kinie, jakie wełniane loki musiał sobie zakładać taki gość przed rozprawą. Niech grochowa tyka będzie przewodniczącym sądu!

- Ja będę ławnikiem - zawołał Tadek Pióro, siadając na ławie.

Franio Fobusz wydadł wargi.

- Żeby to był pies rasowy z rodowodem, z pięknym drzewem genealogicz-nym, taki, jakiego mi babcia kupi na urodziny, to na pewno umiałby się przyzwoicie zachować. Ale zwykły mieszaniec? Ogon setera, łapy wyżła, pysk owczarka nizinne-go. Taki groch z kapustą do wszystkiego jest zdolny. Malarz ogonowy!

Maciek Osa zgarbił się, jak rozjuszona gniewem niedźwiedzica. Szedł wolno do Fobusza, nie spuszczać oczu z jego piegowatej i coraz bardziej zaczerwienionej twarzy.

- Co takiego?! To w krytycznej chwili, kiedy nasz pies i z nim cały zastęp staje w obliczu sprawiedliwości, ty śmiesz oskarżać Czarną Stopkę?! Wiesz ty, czym to grozi?! Wykluczeniem ciebie spomędzy grona świadków obiektywnych, za jakich uznano cały nasz zastęp. Odwołujesz?

- No, co? No, co? Mogłem odszczekać inne słowo, ale pies niech sobie sam odszczeka. Przecież on nie jest rasowy!

- Kto nie jest rasowy????!!! Czarna Stopka? Jeżeli świadek Fobusz natychmiast nie odwoła swoich słów, to inni świadkowie z Maćkiem Osą na czele tak mu dosolą psim drzewem genealogicznym, że świadka Fobusza własna babcia nie pozna. Więc? Odwołujesz?

- A gdzie macie to psie drzewo genealogiczne Czarnej Stopki? Co? Pokażcie! - zaczętnie wołał Fobusz.

- Chcesz widzieć? O, możemy ci pokazać od razu. Chodź prędzej do okna. Widzisz?

- Nie.

- Właśnie Czarna Stopka podlewa drzewo genealogiczne.

- To jest zwyczajny kasztan! - Fobusz pogardliwie wydał usta. - Drzewo genealogiczne to zupełnie co innego. Tak się nazywa historię wybitnego rodu: najpierw pradziadek, potem inni przodkowie, potem dzieci przodków, aż do najmłodszego potomka.

Zastępowy posłał Felka w pogoń za Czarną Stopką, sam został na sali.

- W naszej wsi nijakie drzewa genealogiczne nie rosły - zauważył obiektywnie Tadek Pióro ze spokojem cechującym sumiennego ławnika.

Franek odpowiedział wyniośle:

- Widzę, że nie rozumiecie, co mówię.

Maciek Osa podniósł oczy na sufit, zacisnął pięści w gniewie. Znowu zaatakował Fobusza:

- Ty mnie będziesz uczył słów, które można znaleźć w każdej encyklopedii?

Błyskawica przerwał spór:

- Fobusz! Jeżeli jesteś taki mądrała, powiedz lepiej, czyja to fraszka: „Jam twój wnuczek, tyś mój dziadek, tyś mój przodek, jam twój zadek?”

Rumieńce zdradziły Franka Fobusza: nie pamiętał. Ale postanowił zgadywać:

- Mikołaj Rej z Nagłowic!

Odpowiedział mu wybuch śmiechu.

- Zimno! Zimno! - zaczęli go naprowadzać, a Felek z przyzwyczajenia odpowiedział:

- Jan...

- Jan Kochanowski! - wrzasnął Fobusz i tryumfalnie spojrział naokoło.

- Lipa! - śmiał się Błyskawica. - Jan, ale nie z Czarnolasu, tylko Jan Sztaydynger! Zwany też Janem spod Skoczni, bo mieszkał w Zakopanem, a z okien jego domku widać skocznię na Krokwi.

Dalsze spory przerwało głośnie stukanie kijem od szczotki w podłogę.

- Proszę wstać! - obwieścił Marcin Serwacz. - Sąd idzie.

- Obwiniona Czarna Stopka! - zaczął groźnie przewodniczący Tymoteusz Jagodziak i zrobił najgroźniejszy wyraz twarzy, co przy jego dziko zmierzwionej czuprynie mogło przerazić nie tylko małego, dobrodusznego szczeniaka, ale nawet groźnego lwa. - Czy obwiniona przyznaje się do winy?

Zapadło milczenie. Wszystkie oczy skierowały się na puszyste, łaciate stworzenie obdarzone czarną łapą. Pies po wejściu na salę wyraźnie się speszył. Jego puszysty, a teraz oblepiony olejną farbą ogon poruszył się zupełnie wolno przy podłodze, kreśląc siłą nawyku dwa, trzy znikome półkola, natychmiast jednak znieruchomiał; wrodzone poczucie taktu nie pozwoliło psu łąścić się w sytuacji, kiedy naokoło groźnymi głosami zarzucano mu, że wina jego jest bezsporna. Oczy pełne niepokoju lekko przesunął od jednej do drugiej ludzkiej postaci i w ich marsowych pozach wyczytał odpowiedź potępiającą. Schylił więc głowę, nos przytknął do parkietu, chude łopatki sterzczały mu wyraźnie przez białawą na grzbiecie sierść i z tej pozycji spojrzenie jego było, niestety, spojrzeniem winowajcy.

- Powtarzam pytanie - zawołał Tymoteusz Jagodziak, siłąc się na basowe brzmienie głosu. - Czy obwiniona przyznaje się do winy?

Nikt nie ułatwił sprawy zawstydzonemu psu, nawet Czarne Stopy najmniejszym gestem nie okazały, że mu współczują. Trwała cisza.

Daleko, w śródmieściu, przejeżdżała karetka pogotowia, dając swój żałosny, wysoki, a potem znowu niski, zanikający sygnał. Jej głos ledwo był uchwytny, niewiele mocniejszy niż brzęczenie komara, psie uszy jednak reagują silniej. Czarna Stopka uniosła głowę możliwie najwyżej i zawyla żałośnie, z głębi zbolatego psiego serca. Pogotowie było już daleko, umilkło całkiem, ale pies, jak na wezwanie głosu stada wilków, ponawiał też swój lament, a miał przy tym pyszczek tak pożałowania godny i zarazem śmieszny, ściągnięty w kółko i uniesiony do góry, że na sali gimnastycznej wybuchł istny huragan śmiechu. Cała powaga sądu wzięła w łeb, śmiali się ławnicy zasiadający na niskich ławach, śmiały się Czarne Stopy i cały zespół sędziowski oprócz Tymoteusza Jagodziaka. Ten dał znak Marciniowi, Marcin stuknął trzy razy szczotką w podłogę.

- Spokój!! Tu jest sąd!

A Czarna Stopka jeszcze żałośnie i jeszcze bardziej minorowo, jak jesienny wiatr w kominie, powtarzała przez ułożone w kółko wargi swój skowyt pełen smutku i poczucia krzywdy.

Przewodniczący Tymoteusz Jagodziak parę razy chrząknął, wreszcie zapytał ochryplym, groźnym głosem:

- Czy sąd ma wyciągnąć z tego wniosek, że obwiniona przejawia skrucę?!

Doktor stojący w otwartych drzwiach sali z przekonaniem kiwnął głową.

- Tak wygląda - stwierdził.

- Sąd czeka na odpowiedź! - surowo zawołał Tymoteusz Jagodziak. - Obwiniona! Proszę się wypowiedzieć w sposób jednoznaczny!

Czarna Stopka jeszcze wyżej podniosła swój łebek i zawyla tak rozdzierająco,

że skruszyła tym surowość sądu, ławników, świadków, a zwłaszcza obecnego na rozprawie zastępu Czarne Stopy.

- Sąd udaje się na naradę! - wrzasnął Marcin waląc trzy razy szczotką w podłogę.

Narada sądu trwała krótko. Wrócili. Tymoteusz Jagodziak jeszcze chwilę pochchrząkał, obiema garściami zmierzwił sobie dodatkowo już i tak nastroszone włosy, potem oświadczył:

- Uznaje się psa nazwiskiem Czarna imieniem Stopka winnym zarzucanego mu czynu!

Maciek Osa oblał się rumieńcem w kolorze buraczkowego barszczu. Błyskawica wbiegł na drabinkę pod sam sufit i z tej wysokości przygotowywał się do rzucaenia trampkami w dostojnego przewodniczącego. Marek Osiński z hałasem uderzył się w kolano.

Felek wrzasnął:

- Masz babo placek!

Ale Marcin znowu stuknął szczotką wołając:

- Proszę o spokój! W przeciwnym razie będę zmuszony wyprowadzić z sali całą publiczność.

Ucichło trochę. Tymoteusz Jagodziak mówił dalej:

- Ale ze względu na to, że obwiniona jest stworzeniem o ograniczonej świadomości, ponadto jest ona młodociana, sąd oddaje ją pod opiekę zastępu Czarne Stopy, jednakże z warunkiem...

Podniosła się wrzawa nieopisana, wszyscy rzucili się do Czarnej Stopki, żeby pogratulować i uściśnąć łapę, a psiak od razu wczuł się w sytuację, zaczął skakać, oblizywać różowym jęzorem policzki, uszy, dłonie swoich gorących i wiernych przyjaciół.

- Jednakże z warunkiem - kontynuował przewodniczący Jagodziak natężając głos, żeby przekrzyknąć wrzawę - że zastęp Czarne Stopy roztoczy władzę rodzicielską nad swoim pieskiem i że w ciągu najbliższych paru godzin usunie wszelkie ślady działalności malarza ogonowego.

- Skąd on tak umie występować jako sędzia? - zdziwił się Marek Osiński.

Pytanie zawieszona w próżni dotarło jednak do pani psycholog. Uśmiechnęła się.

- Jagodziak? Bo sam tej wiosny przeszedł to i owo, miał kłopoty w szkole, poza szkołą, na terenie domu rodzinnego, wreszcie znalazł się w roli Czarnej Stopki. Wbiło mu się w pamięć, jak widać...

Maciek Osa sięgnął do kieszeni, wydobyl ogromną, kraciastą chustkę, ścierał nią pot z czoła, z nosa, z policzków i szyi.

- Ciężko być ojcem chuligana - westchnął sięgając wilgotną chusteczką za kark. - Od czego zaczynamy?

- Druhu zastępowy, mam plan, druh posłucha - wołał Marek Osiński nie dopuszczając nikogo innego do głosu i tytułem oficjalnym dając do zrozumienia, że

sprawa jest ważna.

Maciek Osa wsadził palce w uszy.

- Jeszcze ciężiej mieć w zastępie trąbę jerychońską.

- Słuchaj, Maciek. Pierwsze: Felek, Fobusz i Błyskawica biorą butelkę rozpuszczalnika, póki olejne ślady są świeże. Zatrzeć ar-tys-ty-cznie! Druh zastępowy będzie tu sobie tymczasem siedział, pot ocierał, i tylko dopilnuje, żeby Czarna Stopka znowu czegoś nie spociła. Najlepiej niech wejdzie pod stół.

- Ja?! - zawołał groźnie Maciek Osa.

- Skądże znowu, coś ty, chłopie? Ten kudłaty podstoli niech siedzi na swoim ogonie, czyli na pędzlu malarskim. A reszta zastępu spróbuje zbudować parę metrów nieprzetartego szlaku.

Brwi Maćka Osy dotknęły krótkich włosów. Znał już Marka dość długo i nie posądzał go o próbę wylamywania się z pracy, zwłaszcza w tak trudnej sytuacji, w jakiej znalazły się Czarne Stopy dzięki aktywności malarza ogonowego.

- Co ty pleciesz, pacanie?! - krzyknął zirytowany zastępowy. - Kpiny sobie robisz? Każesz mi pilnować psa, kiedy sam planujesz psie figle? Jaki znowu nieprzetarty szlak urodził się w twojej głowie?! Mów jasno, żeby można było zrozumieć.

Marek zaczął się jąkać, jak zwykle bywa, kiedy człowiek usiłuje gładko i najbardziej przystępnie wyrazić swoją myśl.

- Druh zastępowy raczy posłuchać. Nieprzetarty szlak to szerokie pojęcie; wszystko, co ich dotyczy, od kiedy są chorzy; długotrwałe kalectwo, kuracja w szpitalu, w sanatorium. Tylko ja myślę, że i w znaczeniu dosłownym: obserwowałem Tadka Pióro i wielu innych; oni z wyraźnym trudem idą po zwirze, po piasku, po nierównym kamienistym gruncie i wtedy sobie pomyślałem, że jeżeli nasze psisko narobiło tyle szkody, to może byśmy czymś wyrównali postępek Czarnej Stopki? Nieprzetarty szlak, to nazwa oficjalna. Lekarze też jej używają.

Nadszedł Franio Fobusz i wskazał palcem Marka Osińskiego.

- Zamiast gadać, bierz rozpuszczalnik i usuwaj plamy. W ten sposób wyrównasz postępek Czarnej Stopki. Bo ja nie zamierzam się do tego mieszać. Jak mój, a babcia kupi mi psa wysokiej rasy, to ja go tak wytresuję, że na pewno nie trzeba będzie później ścian oczyszczać.

Marek oświadczył z gniewem:

- Czarna Stopka też jest mądra, chociaż nierasowa. Słucha mnie, reaguje na każdy rozkaz. Podstoli, marsz pod stół!

Pies podkulił ogon i natychmiast wypełnił polecenie.

- Ale mojego rasowego psa nikt nie będzie musiał pilnować - upierał się Fobusz.

- Druhu! - zakpił Błyskawica. - Ten jego pies nie mógłby, choćby chciał, umalować ani jednej ściany, bo będzie miał zamiast ogona świński obwarzanek. Tylko prosiaki są czystej rasy bekonowej, reszta to mieszanina piorunująca. Tak już jest na świecie.

- Nieprzetarty szlak, mówisz? - zaczął znowu swoje rozmyślenia Maciek Osa.

- Tu powinna być taka długa, jak najbardziej urozmaicona droga w parku, na której mogliby trenować i ci o kulach, i ci z protezami, tacy, którzy robią pierwsze kroki, ale i tacy, którym się zdaje, że już umieją doskonale chodzić o własnych siłach, a na przykład jeszcze utykają. Igliwia można przynieść i mchu, żeby im stworzyć naturalne warunki, takie jak na polnej drodze, w lesie, na łące - tłumaczył Marek.

- Tak, moi drodzy, tylko nie wiem, kto miałby to robić? - zapytała kobieta w białym kitlu.

- No, jak to? Jak to? Czarne Stopy!!! Nikt inny - zawołał Marek Osiński. - Cały zastęp się zgłosi!

- Pamiętajcie, chłopcy, że lekarzy jest niewiele, a mamy tu sporą gromadę pacjentów pod opieką. Żebyście nam nie narobili kłopotów zamiast pomocy.

- Zgoda! - obiecał Marek Osiński. - Lekarzy jest mało, ale nas nie brakuje. Maciek, zgoda? ,

- Jasne! - wrzasnął Osa. Razem z nim odpowiedziały też inne Czarne Stopy, oprócz Franka Fobusza.

Praca przy ścieżce treningowej, nazywanej tak przez lekarkę, zajęła całemu zastępowi wzmocnionemu ochotnikami spomiędzy pacjentów, kilkanaście godzin, a jeszcze nie była skończona.

Pierwszy spróbował kuśtykać po żużlu, żwirze, mchu i wertepach Tadek Pióro. Wyglądał tak żałośnie ze zbiegającymi palcami ściskającymi nerwowo kule, z wystającymi łopatkami nad pochyloną nisko głową, że Maciek Osa nie mógł patrzeć na jego wysiłek.

- Im tu nie ścieżka tortur była potrzebna! Lepiej by ich wyleczyła jakaś waka-cyjna beczka śmiechu. Jakiś ubaw. Cyrk.

- Błąd w rozumowaniu - powiedział chirurg. - Oni muszą ćwiczyć wiele godzin dziennie dla poprawienia swojej kondycji i wasz pomysł zrobienia im ścieżki treningowej może tylko bardzo przyspieszyć zakończenie kuracji.

- Aha - Maciek Osa trochę się speszył - ale Tadek Pióro łazi tam jak zmęczone konisko w kieracie. Czy się aby nie przetrenuje?

Fobusz dodał:

- Moja babcia zawsze mówi, że śmiech to zdrowie, a Tadek prawie nigdy się nie śmieje, panie doktorze. Zawsze taki poważny.

Błyskawica przyznał ze smutkiem:

- On aż pojękuje na wertepach. A może pan doktor kazałby mu odpocząć? My tymczasem rozejrzemy się za dodatkowymi narzędziami do naszej inwestycji, bo to, co mamy, nie wystarcza.

- Narzędzia? - zawołał Tymoteusz Jagodziak. - Druhu doktorze, przepraszam, język mi się plącze, panie doktorze, na strychu, tam gdzie pulpity muzyczne, leży pełno różnych narzędzi. Czy mogę iść z chłopakami?

- Jasne. Weźcie, co wam potrzeba.

- Tam jest jedna skrzynka. Deska jej się obłuzowała.

Doktor zmarszczył brwi.

- Zupełnie sama się obłuzowała? Jesteś tego pewny?

Jagodziak trzasnął się pięścią w chudą klatkę piersiową.

- No... Nie całkiem była obłuzowana. Więc obruszałem trochę więcej, tyle, żeby można było zajrzeć, ale i tak nic nie zobaczyłem: na strychu ciemno.

Tu włączył się zastępowy, Maciek Osa, wołając tonem oficjalnym:

- Czarne Stopy! Uwaga! Tylko żeby mi tu wszystko wróciło na miejsce, czy-
ste i nie uszkodzone, bo inaczej pogada z wami groźny oboźny.

- Albo groźny drużynowy! - zawołał znajomy głos Andrzeja Wróbla, idącego właśnie od strony portierni w szumie rozwianej wiatrem peleryny. - Komu groźny oboźny pilnie potrzebny?

- Wręcz przeciwnie! - stwierdził Maciek Osa. - Poradzimy sobie i bez oboźnego. Druh nie ma pojęcia, co my tu mamy za świetny plan. A wymyślił... zgadnie druh, kto?

- Jeżeli was dobrze znam, to powiedziałbym, że...

- Wszyscy razem wymyślili! - zapewnił drużynowego Marek Osiński. - Wi-
dzimy potrzeby, to kto by nie pomógł, druhu? Pierwsza harcerska zasada, prawda?

- Więc idziemy na strych - oświadczył Maciek Osa - pan doktor się zgodził.

Zatupotały pięty po schodach budynku, później na długo zapadła cisza. Tupot następny przypominał pękanie lodów Antarktydy, lawinę, trzęsienie ziemi, nadejście tajfunu.

Andrzej Wróbel chrząknął:

- No i puścić tu takich dzikusów samopas, od razu galopują jak antylopy. Mówiłem. Upominałem tyle razy. Nadmiar energii.

Lekarz patrzył zaciekawiony w stronę budynku.

- Na szczęście nie jest to pora ciszy poobiedniej. Ale tu nieczęsto słyszymy taki rytmiczny tętent zdrowych nóg.

Maciek Osa wyskoczył pierwszy. Rwał do przodu, machał ramionami, wyla-
tywał w powietrze systemem kangura i zawisał na chwilę, na ułamki sekund, lekcewa-
żąc prawo ciężenia, z jego ust wydobywały się nieartykułowane dźwięki, zaledwie
przypominające ludzką mowę. Za nim gnały Czarne Stopy ze straszliwym wrzaskiem,
prześcigając się w najdzikszych susach.

Andrzej Wróbel znał swoich dryblasów na wylot, po ich minach odgadł, jak
energia promieniuje z nich wszystkich i że za chwilę może się wyładować jako bez-
sensowne wygłupianie albo jako znakomita decyzja. Przytrzymał Maćka Osę.

- Rób zbiórkę zastępu. Co to wszystko znaczy?

Dziwne. Mimo gwizdka chłopcy, nie wyłączając Maćka, wielkimi susami
biegali w koło, zamiast ustawić się na swoich miejscach. Najciekawsze, że i Tymote-
usz Jagodziak, chociaż ułomny, w miarę możliwości starał się nadążyć za harcerzami
podskakując, ile się dało, na swojej zdrowej nodze.

Lekarz obserwował tę zgraję, wreszcie postawił diagnozę:

- Musiały ich zaatakować osy. Tam kiedyś było gniazdo.

Maciek Osa spojrział na lekarza wilkiem, ale nie powiedział ani słowa. Cały

zastęp związał się ze śmiechu.

Andrzej Wróbel zapytał surowo:

- Gdzie narzędzia?

Podniósł się krzyk.

- Odkrycie!

- Znalezisko!

- Skarb! Osa nie siada! Mucha nie siada!

- Wiwat!

- Cała skrzynia pełna skarbów!

Andrzej uniósł dłoń. Zamilkli natychmiast.

- Zastępowy! Meldować! Gdzie narzędzia?

Maciek Osa wyprężył swoją pękatą postać.

- Druhu drużynowy, zastęp Czarne Stopy zgłasza stan odkrycia, jakiego dokonaliśmy na strychu: łopat jest pięć, są grabie, nożyce do strzyżenia trawy, znaleźliśmy też całą skrzynię gwoździ. A przy tej okazji wpadł nam w ręce skarb!

Drużynowy przerwał Maćkowi.

- Chciałbym wiedzieć, po co wam gwoździe? Żarty może zostawicie na później.

- Druhu drużynowy! Przy budowie pasa treningowego dla pacjentów będą konieczne gwoździe, pan doktor zaakceptował już wcześniej nasz plan. Ale nie zdążyliśmy z druhem uzgodnić, bośmy najpierw chcieli zgromadzić narzędzia. I właśnie wtedy spostrzeżliśmy jeszcze jedną skrzynkę.

- Z naderwaną deską - uzupełnił Tymoteusz Jagodziak, przerywając Osie jego sprawozdanie.

- No tak! Oczywiście! - lekarz kiwnął głową. - Tymoteusz, widzę, że jesteś zdrowszy, niż mi się dotychczas wydawało.

- Zajrzeliśmy do środka - mówił dalej Maciek. - No i tam druhu. Bomba!

- Co?!

- Chciałem się wyrazić: odkrycie bombowe. Jeżeli druh pozwoli, może byłoby najlepiej, żeby druh z panem doktorem tam poszli. Albo my sami przyniesiemy od razu tę skrzynkę?

- Z bombą? - pytał Andrzej Wróbel, uśmiechając się nieznacznie.

- Z czymś jeszcze lepszym, niż bomba - wrzasnął Osa i zakomenderował: - Na strych!!!

Tym razem Czarna Stopka wystartowała najwcześniej i wpadając do budynku przeskoczyła próg pięknym łukiem, a za nią biegł cały zastęp. Tupot kroków zdawał się zwiastować naprawdę coś niezwykłego. Potem wszystko ucichło na dłuższy czas i drużynowy razem z lekarzem obserwowali wejście na klatkę schodową.

Nagle wytoczył się tyłem Osa, wspierany przez Błyskawicę i Fobusza, dzwignając ostrożnie spory przedmiot, którego nie było widać zza pleców i głów, bo inni pomagali, jak mogli, płacząc nogi, potykając się i biegnąc.

- Cóż oni tam znaleźli? - zaniepokoił się lekarz. - A może naprawdę jakiś po-

cisk?

Andrzej Wróbel zaprzeczył ruchem głowy.

- Znam dobrze naszych druhów. O noszeniu starych pocisków nie ma mowy.

To na pewno nowy głupi kawał moich patałachów.

- Ostrożnie! Ostrożnie! - nawoływał Tymoteusz Jagodziak. - Ostrożnie. Znaleźliśmy bombę.

- Ostrożnie! - powtarzali druhowie.

- Heeej! Up!

- Ostrożnie!

Tadeusz Pióro przerwał swój trening, stanął i przyglądał się, a wreszcie ruszył energicznie na przelaj przez trawę w kierunku skrzyni. Maciek Osa wydawał rozkazy:

- Tu. Razem, chłopcy. Stawiajcie! Musieliśmy, panie doktorze, jeszcze trochę podważyć deskę, przedtem wystawała tylko ręka.

Drużynowy i lekarz pochylili się nad skrzynką.

- Zapaszek nie najlepszy - stwierdził Andrzej Wróbel. - Okropny fetor!

- A, bo to szczury - wyjaśnił Tymoteusz Jagodziak - ogryzły kilka palców i gdybyśmy nie przyszli, na pewno by jeszcze więcej zeżarły.

Portier nadbiegał od strony bramy wytrzeszczając oczy.

- Ręka? Czyja ręka?

- Bomba - uspokoił go Jagodziak.

- Petarda - uzupełnił Błyskawica.

- Jak to?! Niewypał?! To na milicję trzeba dzwonić!

Zamiast odpowiedzi Maciek Osa szarpnął deskę, wydobył ze skrzyni szary, zmięty kłębek, uniósł wysoko dłoń i nagle zobaczyli przed sobą kiwającą się głowę misia - błyszczące ślepie, łapkę przecierającą nos, drugą łapkę kiwającą jakby na „do widzenia”, „pa-pa” czy na „dzień dobry”.

Zastępowy promieniał, a kukielka na jego ręce przytakiwała każdemu słowu.

- Teraz, panie doktorze, postępek naszego malarza ogonowego zostanie całkowicie okupiony. Będziemy robili tylko to, co nam pan pozwoli. Kilka godzin pracy przy treningowym pasie, a później odpoczynek. Ale jaki? Bombę śmiechu przedstawimy w najbliższą niedzielę. Wszystko jest.

- Ogryzione - szepnął Tymoteusz Jagodziak. - Szczury uszkodziły hełm królewicza, zjadły ucho królowej, rękę i nos Baby Jagi. Tylko zwierząt jakoś nie ruszały.

Maciek Osa tymczasem wciągnął na lewą dłoń kukielkę żółtego lisa z długim plastikowym ogonem i rozpoczął się mimiczny dialog pomiędzy dwoma zwierzętami.

Portier uniósł palec.

- Aaaa! Teraz pamiętam. Odbywał się kurs teatrów kukielkowych, a po kursie tę jedną skrzynię spisali na straty, że to szczury już napoczęły.

- Panie doktorze - nieśmiało zaczął Tadek Pióro, ledwo poruszając bladymi wargami. - Można by zrobić operację plastyczną tym ogryzionym kukielkom? Ucho przyprawić, to jedna chwila, tak samo nos albo rękę. Ja pomogę. Lubilem siedzieć w sali opatrunkowej, a co to jest? Kukły. Dorobimy wszystko sami.

- Z czego? - dziwił się portier.

- Najlepiej z plasteliny! - krzyknął Jagodziak potężnym głosem, jakby ludzie nagle utracili słuch. - Albo z kartofla. Takiego na przykład Kaczora Donalda nawet i z kładzionej kluski można by zrobić. Zwłaszcza jego dziób.

- A Czarna Stopka bardzo lubi kluchy, tylko jej dać! - objaśnił Felek i jego uszy nabrały malinowej barwy jak zawsze, kiedy doznawał emocji. - Ja myślę, że póki mamy lato, można uzupełnić kukielki na przykład ogórkiem albo szparagiem czy rzodkiewką.

- Świetny pomysł! - Fobusz uderzył Felka rozwartą dłonią w plecy - występuje nasz aktor i jedzie konno, co podskoczy, to zgubi nos, ucho, brodę, rękę. Feluś, wymyśliłeś! Aż jaśniej się zrobiło, taki nastąpił błysk inteligencji.

Zaczęli się sprzeczać. Ogórek lepszy czy kluska?

- Ludzie! - wołał Maciek Osa wyciągając łapki lisicy i misia gestami dramatycznymi. - Ludzie! Po co te kłótnie? Znane są przecież teatry jednego aktora, prawda? My w skrzyni mamy całą chmarę świetnych, utalentowanych gwiazd. I co? Dajcie im tylko teksty. Zobaczycie, jakie widowisko będzie tu w najbliższą niedzielę! Nowa beczka śmiechu.

Kucharz wznosił ramiona do góry, a chociaż nie trzymał warząchw w prawicy, zdawało się, że dzierży to drewniane berło swojego królestwa.

- Pisarze! Gryzypiórki! Długopisomazy! Ołówkołamki! Do kielni! Do młota! Do tworzenia tekstów dla naszego teatru. My tymczasem za pomocą plasteliny, makówek, rzodkiewek, marchwi, buraka ćwikłowego cudów dokonamy!!!

14. „Kochane Leśne Oko!”

Kochane Leśne Oko! Minęło już tyle dni, od kiedy przyjechaliśmy z obozu nad Lubrzanką do naszego miasta i zdawało nam się w pierwszej chwili, że nie zmienił się tu ani jeden kamień, ani jeden płot. A to przecież omyłka. Wszystko jest inne, może dlatego, że my wróciliśmy stamtąd odmienieni. Więc chociaż domy stoją na swoich miejscach i drzewa za miastem szumią po dawnemu, coś jest inaczej, niż było. Zdarzył się taki drobiazg: przyszedł nowy chłopak do naszej drużyny, przyjęliśmy go do zastępu i Czarnych Stóp i żałujemy, że Ty, Leśne Oko, nie możesz go poznać. Opisać wszystkiego w żaden sposób się nie da, więc posyłamy wycinek z gazety. Przeczytaj i pomyśl. Znajdziesz tam początek nieszczęścia Tadka Pióro. Wszystko zrozumiesz. Ale na tym nie koniec. On jest inny niż my wszyscy, początkowo nie mogliśmy przywyknąć do „nowego”, ale dziś już brakowałoby go w naszym zastępie.

Marek Osiński zamyślił się, dłuższy czas patrzył w okno. Potem znowu schylił głowę nad papierem i szybko, szybko długopis przebiegał krzywymi trasami, próbując nadażyć za myślą chłopca. Już trzy strony były pełne harcerskich nowin, a jeszcze daleko do końca tego, co chciałoby się opowiedzieć. Marek ani się spostrzegł, że pisanie listu do partyzanta Leśne Oko zabrało mu tyle czasu. Nagle zegar zgrzytnął, zachrobotał metalowymi częściami, wreszcie zaczął wydzwaniać.

- O! To już północ? - Marek uśmiechał się sam do siebie. - Teraz powinienem zrobić chłopakom jakiegoś psikusa. Wyleczyłbym Tadka raz dwa z tych strachów.

Ale zamiast szukać swoich uszytych przed wakacjami rogów i ogona, zamiast wypychać sweter piłką, zamiast zaczynać psoty, Marek cicho zgasił światło i najostrożniej posuwał się w ciemnościach do sypialni. Podłoga skrzypiała. Pocięczał się jednak, że koledzy, skoro już usnęli, nie obudzą się przez lada stuknięcie.

Był wreszcie przy swoim łóżku, zdjął ubranie, po omacku rozłożył pościel i zaczął wciągać piżamę, kiedy usłyszał taki sam jak wczoraj ni to szloch, ni to szept:

- Bo-ję się! Bo-ję się!

Struchlał. W głosie Tadka Pióro brzmiała prawdziwa groza. Trzeba było jednak porozumieć się z druhem Andrzejem Wróblem albo zapytać psychologa. Zbagatelizował to. Przy pierwszych obserwacjach wydało mu się to czymś przejściowym. Dzień, optymistycznie wesoły i słoneczny, program zajęć pełen śmiechu spowodował, że nocny szept kolegi wydawał mu się złudą. Niczym więcej, tylko złudą.

Marek tak samo jak wczoraj zbliżył się do Tadka, ujął jego dłoń chłodną i rozdygotaną, uściśnął i powiedział cicho, ale bardzo stanowczo:

- No? Stary, co ci jest?

Milczenie.

- Słuchaj, Tadek. Ufasz mi? No, to wal całą prawdę. Przecież inaczej sam diabeł nie zgadnie, co cię gnębi.

Chłopak poruszył się na łóżku, trochę przysunął się do kolegi, jednak w dalszym ciągu nic nie powiedział. I bądź tu człowieku mądry! Nie, ta pierwsza myśl, jaka nasunęła mu się wczorajszej nocy, była zbyt nieprawdopodobna. Stanowczo ją dziś odrzucił i szukał innych, realnych przyczyn.

- O te buty się boisz? O to, że nie będziesz mógł swobodnie chodzić bez pomocy kul?

W ciszy Marek usłyszał wyraźny szept:

- Żeby to!

- Co?! Więc nie o te buty zamartwiasz się nocami? Nie?! No, więc o co? Mów!

Drżenie ręki Tadka wzmogło się. Jakieś wymawiane szybko słowa leciały w ciszy, Marek próbował coś zrozumieć, ale słyszał tylko bełkot przerażonego chłopaka. Dziwne. Koniecznie trzeba rano porozumieć się z druhem Andrzejem. Coś tu jest nie w porządku. Tu się dzieje coś zastanawiającego. Może nawet groźnego. Niebezpiecznego.

- Tadek. Tadek, posłuchaj. Nasza drużyna, cały zastęp i nawet woźni. My wszyscy...

Głos mu się łamał i coś ostrego, jak nagła chryпка, wyciszało słowa. Jednak postanowił uspokoić Tadka tak jak poprzedniej nocy. Trwało to dłużej. Opowiadał monotonię, zdawał sobie sprawę, że wplata sprawę szkoły w zdarzenia z biwaków, ale mówił, mówił coraz ciszej i równocześnie czekał, kiedy zaciśnięte palce chłopca zwiotczają, co będzie zwiastowało sen. Wreszcie podciągnął koldrę delikatnie, żeby

nie zbudzić oddychającego spokojnie chorego, czekał jeszcze chwilę, potem cicho wsunął się do swojego łóżka.

Głowa puchła mu od domysłów. Albo Fobusz powiedział Tadekowi „kuternoga” czy coś w tym rodzaju, albo groźny oboźny potraktował go surowo zgodnie z własnym stylem, do którego trzeba było przywyknąć, albo może Jan II Twardy wyrwał się z jakimś kategoriycznym rozkazem? A może pani doktor zmartwiła go wiadomościami na temat kuracji?

Tadek jest bardzo wrażliwy po swoich przeżyciach, wystarczy zaobserwować usta, jak bledną i ściągają się w małą kreskę. Zaszła jakaś głęboka zmiana. Początkowo zachwycał się internatem, a teraz coś go tu przeraża. A przecież panuje cisza, spokój. Za oknami zieleń i rozproszone światło latarni, drzwi zaryglowane, pełno chłopaków, więc czego się tu bać? Chyba Tadek nie wierzy w jakieś zabobony!

Z wolna, z wolna myśli zaczęły się Markowi ściemniać, ujrzał nagle Łysicę i stado czarownic na miotłach, jedno w skoku, inne w tańcu, w biegu, naokoło pnia, gdzie siedział skulony Tadek Pióro z wytrzeszczonymi oczami szepcząc: „Boję się. Boję się”.

15. Fobusz odszczekał pod ławą

- Druhu! To jak? On też ma być na zbiórce czy jeszcze nie? - pytał Marek Osiński trzymając dłoń na kłame. - Bo jakby miał być, to polecę go poszukać i zawołam. On wcale nie wie, że drużyna zbiera się w harcówce. To jak? Lecieć?

Andrzej Wróbel przyglądał się w zamyśleniu Markowi, który już uchylił drzwi, nogę wysunął za próg dla szybszego startu, a wyrazem twarzy przypominającym ogromny wykrzyknik albo znak zapytania próbował uzyskać szybszą decyzję drużynowego.

- Właśnie myślę, jak będzie lepiej. Formalnie przyjęliśmy go do drużyny.

- To lecę!!!

- Stój, utrapiona rakieto kosmiczna! Pozwól się zastanowić.

- On bardzo by się cieszył, druhu.

- Ja też. Ale chciałbym omówić z całą drużyną kilka problemów i wolałbym, żeby Tadek nie był przy tym obecny.

Fobusz wysunął się przed Andrzeja Wróbla, mówił z ogromnym przejęciem:

- Druhu, jeżeli to przeze mnie... Ja już nigdy.

- Widzicie, chłopcy, musimy wspólnie coś przemyśleć - powiedział Andrzej Wróbel i usiadł na swoim ulubionym kloku, pod oknem, z czego wynioskowali natychmiast, że zbiórka dzisiejsza będzie najmiłszy charakter, bez oficjalności, ustawiania się zastępami, liczenia, meldowania. Po prostu - gawęda. Dziwne, że gawędy Andrzeja Wróbla nigdy im się nie nudziły, przeciwnie, żalowali, że zbyt rzadko naradza się z nimi w ten sposób, jakby siedział przed ogniskiem i rozmawiał z własnymi myślami. Pochylał się wtedy, mówił niezbyt głośno, chwilami zupełnie cicho, tak że w izbie harcerskiej robiło się jak makiem zasiał, a chociaż nie było przed nim

ruchliwych płomieni, rysy jego młodej, ale poważnej twarzy ulegały dziwnym zmianom; raz ogarniał Andrzeja Wróbla głęboki cień, to znowu rozjaśniało się w nim ukryte światło.

- Formalnie Tadek Pióro został przyjęty do naszej drużyny, boję się tylko, czy znajdzie pomiędzy wami przyjaźń, ale taką przyjaźń, na jaką chłopiec w jego sytuacji zasługuje. Wielką przyjaźń. Braterstwo.

Marek Osiński słyszał, jak Fobusz głośno przełknął ślinę.

- Chciałbym, żebyście mnie dobrze zrozumieli - mówił dalej drużynowy. - Są dwa problemy, które nas interesują i to nie w jednakowym stopniu. Pierwsza sprawa: ukaranie winnego. Prasa podała, że Tadek ojczym został skazany na trzy lata więzienia.

- Mało! - szepnął ktoś w gniewie.

- Sprawa druga, znacznie bardziej istotna, dotyczy losu chłopca.

- Druhu! - zawołał Dąbrowski. - Jak zwiedzaliśmy Warszawę, to na placu Konstytucji widziałem ogromne kandelabry. Wszyscyśmy je oglądali. Ja bym takiego, jak ojczym Tadek, na postumencie postawił i tablicę z napisem bym dał, że on jest winien kalectwa chłopaka!

- Nie przerywaj - oboźny spojrział na Dąbrowskiego ze zmarszczonymi brwiami.

- Los Tadek Pióro musi teraz interesować nas wszystkich - mówił dalej drużynowy. - Czy zdajecie sobie sprawę, że ten chłopak może przeżyć godziny ciężkich rozmyślań i smutku?

- No! - szepnął ktoś cicho, jego westchnienie przebiegło po izbie harcerskiej. A Marek Osiński słuchał tak, jakby miał sto uszu. Przecież to były jego własne myśli!

- Nas interesuje najbardziej nie ten wyrodny człowiek i jego żona - kontynuował Andrzej Wróbel - chociaż nie zdziwiłbym się, gdyby kiedyś odnaleźli Tadek, domagając się od niego uczuć rodzinnych, upominając się o miłość synowską.

Maciek Osa głośno sapnął, gotów przypomnieć druhom o swej opiekuńczej roli zastępowego, pod którego skrzydłami ulokowano Tadek Pióro.

- Najistotniejszym problemem, ważnym dla wszystkich zastępów, będzie obecność pomiędzy nimi chłopca, w stosunku do którego dopuszczono się wielkiego bezprawia. Rzecz jasna, nikt z nas nie zacznie mu okazywać na każdym kroku współczucia, bo to byłoby bez sensu.

- No peeeewno! - dziwnym tonem zabecezał Zenek, usiłując podkreślić wyjątkową znajomość tych problemów. - On by się czuł kaleką, tymczasem tata mi mówił, że Ośrodek do tego właśnie dąży, żeby każdy pacjent żył tam zwyczajnie, żeby zupełnie zapomniał o swoim nieszczęściu.

- Więc to jest istota problemu - podjął drużynowy. - Bardzo konkretny cel: odwracać uwagę. Stawiać przed nim takie cele, które może osiągnąć.

- Kółko fotograficzne!

- Kronika drużyny! - posypały się propozycje.

- Ciekawe, czy on się będzie nadawał do teatru kukielkowego? Nie wiadomo,

jakie ma zdolności - rozmyślał głośno Marek marszcząc po ojcowsku czoło.

- Mój tata przyniósł dziś z Ośrodka do domu - zaczął Zenek wstydliwie i sięgnął do tylnej kieszeni spodni, skąd wydobył złożony w kilkoro plik zadrukowanego papieru - taką broszurkę.

- Co to jest? - pytali zaciekawieni bardziej miną Zenka, niż samą kartką.

- To się nazywa Deklaracja Praw Dziecka. Jasne, że Tadek Pióro to już nie maluch, ale jeszcze nie dorosły. Tu jest wypisane, zaraz, tata mi założył kartką, że Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych jednogłośnie przyjęło tę deklarację. Jest w niej parę rzeczy ciekawych, na przykład, o, posłuchajcie... wzywa się rodziców i wszystkich ludzi, a także organizacje społeczne...

- Więc i nas - odezwał się Błyskawica z entuzjazmem.

- .. oraz władze państwowe i lokalne, aby uznali jego prawa i walczyli o zapewnienie ich przestrzegania na drodze sądowej i innej...

Zenek szybko złożył kartkę, chował ją już do kieszeni, kiedy oboźny wziął ją od niego na chwilę.

- O, tu jeszcze jest, żeby wychowywać w duchu tolerancji, przyjaźni, braterstwa oraz w pełnej świadomości, że jego siły i uzdolnienia powinny służyć bliźnim.

- No tak. - Maciek rozłożył ręce - łatwiej uchwalić jednogłośnie taką deklarację, niż ją wprowadzić w życie. Organizacja Narodów Zjednoczonych to bardzo mądra instytucja, tylko co robić, żeby ludzie chcieli jej słuchać? Jak zafundować rozum wszystkim, starym i młodym?!

- Ale wiemy przynajmniej, że za nami stoi prawo - zawołał Patelnia. - I jak na drugi raz jakiś Fobusz albo inny żółtodziób ośmieli się coś powiedzieć na Tadka, to ja żółtodzioba raz dwa, bez dyskusji chwytem dzudo kładę na obu łopatkach i będę w ten sposób realizował wolę Organizacji Narodów Zjednoczonych. A Zenek i tata Zenka, i cała drużyna razem z druhem drużynowym i druhem oboźnym, poświadczą na pewno, że miałem rację.

Ruda głowa Fobusza wysunęła się spomiędzy głów szarych, płowych i burych.

- Druhu! Patelnia zaczyna. Czarne Stopy najlepiej wiedzą, że ja już nigdy... - jęknął zgnębiony głos. - Odszczekałem przy świadkach.

- I dobrze - zgodził się Patelnia. - Ja cię przecież nie posądzam, ale teoretycznie chcę mieć jasną sytuację, w razie czego.

- Żarty żartami - powiedział Andrzej Wróbel. - Musimy jednak pamiętać: ani się obejrzymy, jak przeleci sierpień i już mamy rok szkolny za pasem. Od razu trzeba zwrócić uwagę, żeby Tadka nie spotkały jakieś przykrości w szkole czy w internacie.

- Wiem! - krzyknął Marek Osiński głośno, jakby nawoływał z namiotu nad Lubrzanką. - Tadek Pióro powinien zostać dyrektorem naczelnym teatru kukiełkowego.

Maciek Osa miał poważne wątpliwości.

- Czy on się na tym zna?

- Teatr to nie kuchnia - zaperzył się Marek. - On będzie do rozkazywania, my

od roboty, a cała sława spłynie, rzecz prosta, na niego.

- No, więc dobrze - włączył się Bochenek. - My już mamy spore doświadczenie, przypomnijcie sobie nasze kukły. Naszą Radę Drużyny wypchaną kocami.

- Wiadomo! - krzyknął entuzjastycznie Korek, wstając i prostując się. - Rada Drużyny wykonana z koców na naszej pierwszej warcie, to było coś! Umiemy się do tego zabrać, jak nikt inny. Pamiętajcie, jak nam wyszły te maskary?!

Głębokie chrząknięcie przerwało dalsze słowa Korka.

- Korek! Nie bądź taki ważny! - zawołał Marek Osiński.

Bochenek poparł Osińskiego:

- Pewno! Wtedy, na Kamieniu, chciałeś być ważniak, wysyłałeś Marka spać, a teraz „umiemy się do tego zabrać”.

Oboźny kręcił się dziwnie pod rozbawionymi spojrzeciami harcerzy, wreszcie machnął ręką.

- Najważniejsze, druhowie, że wasze kukły były w programie telewizyjnym, a później na filmie, w kronice filmowej. Moja ciocia je widziała, Jan I Miękki widział i podobno wypadły jak żywe. Niewątpliwie nabraliście sporo doświadczenia.

- Yhy! - zawołał w oddali na korytarzu stłumiony głos woźnego, zajętego pielęgnowaniem szczeniąt. - Zwłaszcza pan druh oboźny to już wypisz, wymaluj, ten sam, jak żywy. Zgadłem od razu. Po nosie zem poznał. Ogórek to był czy marchew?

- A więc, postanowione - surowym tonem oświadczył groźny oboźny, daremnie próbując osłabić efekt słów Jana I Mięckiego. - Postanowione! Tadek Pióro na czele teatru kukielek. I jeszcze jedno: zarządzam konkurs psów. Umyte, wyszczotkowane szczenięta, które przywieźliśmy z Gór Świętokrzyskich, porównamy z waszymi domowymi Azorami, Pikusiami, Burusiami czy Łatkami. Mam nadzieję, że pacjentom impreza ta sprawi radość.

- Hurra!

- Druh groźny oboźny niech żyje sto lat!

- Wcale nie groźny jest nasz oboźny, tylko morowy, chociaż surowy - krzyczeli zachwyceni nowym programem zajęć drużyny.

16. Po rozum do głowy

Felek i Błyskawica niosą długą, niską ławę. Różnica wzrostu powoduje, że potykają się, objijają sobie nogi, nie mówiąc o pomrukach w rodzaju:

- Tyko chmielowa...

- Nietoperz-uszatek.

Felek zdenerwował się nagle, postawił na ścieżce ławę, zatrząsł gniewnie rękami.

- Przecież uszami nie dźwigam, odczep się, tyko chmielowa! Teraz będziesz nosił sam!

Zaperzeni, nawet nie spostrzegli, że ich niezbyt skoordynowane wysiłki obserwuje druh Andrzej Wróbel, dopiero głos odzywający się tuż obok podrzucił ich.

- Usiądźmy więc we trzech na tej ławie, skoro już ją postawiliście i zaczniemy od pójścia...

Zdębieli. Reszta słów umknęła im, bo druh Wróbel wymówił je szeptem. Felek zdążył mrugnąć lewym okiem, co powodowało zawsze skrzywienie połowy jego twarzy i podjeżdżanie policzka do góry; chciał jednak ostrzec Błyskawicę, że ani chybi teraz obaj padną ofiarą jakiegoś konceptu Andrzeja Wróbla. Błyskawica podzielał ten pogląd i chociaż był jeszcze wściekły na Felka, dał mu znak ustami wygiętymi w smutną podkówkę, że myśli podobnie.

Drużynowy usiadł, wskazał miejsce obok siebie i usłyszał znowu ten dziwny, zagadkowy, pierwszy raz obserwowany sposób mówienia. Co to znaczy?!

- Kłapnijcie no tu sobie obaj, bo widzę, że zapomnieliście iść psz, psz, psz.

Spojrzeni na siebie twarzą w twarz, Felek uniósł głowę. Błyskawica przygarbił się i równocześnie zrobili straszliwego zeza, co jednak w najmniejszym stopniu nie rozjaśniło ich myśli.

- Widzę - mówił Andrzej Wróbel, patrząc po gałęziach drzew z tym niby uśmiechem tak dla niego charakterystycznym - widzę, że zastępowy Maciek Osa lekceważy swoje obowiązki.

Teraz już i zezować im się odechciało: skoro drużynowy z ich powodu wytacza zarzuty pod adresem ulubionego zastępowego, Maćka Osy, to błydy strach zajrzał im w oczy. A drużynowy nic. Milczy. Głowę kiwa z ubolewaniem. Felek pierwszy odzyskał nędzne szczątki równowagi.

- Druhu! Myśmy nic nie zrobili. Naprawdę!

- Nic a nic - poparł go Błyskawica.

- No właśnie! - krzyknął z gniewem drużynowy. - Tymczasem zastępowy powinien był was pouczyć, że zanim się człowiek weźmie do pracy, musi przedtem usiąść i pójść psz, psz, psz.

Olśnienie spadło na nich równocześnie.

- I pójść po rozum do głowy! - krzyknęli chórem, zrywając się z ławki, jakby zamierzali gnać stumetrówkę. Wyrzewający się w słońcu kot umknął w popłochu.

- Siadajcie więc i powiedzcie. Jeżeli dwaj ludzie mają zamiar coś nieść, to czy sprawa ich wzrostu jest bez znaczenia? Pomyślcie.

Spojrzeni na siebie z niechęcią.

- Bo druhu drużynowy - zaczął Felek ponuro i zazdrośnie - Błyskawica tak urósł w Górach Świętokrzyskich, tak się wyciągnął, jakby chciał zobaczyć co tam jest po drugiej stronie za Radostową.

- Dobraliście się jak dwa Michały, jeden duży, drugi mały. Daleko tej ławy nie doniesiecie.

- Tak. Objęła mi się po nogach - przyznał Błyskawica. - Tylko że to bardzo potrzebna ława. Na teatr.

Andrzej Wróbel poruszył wysoko zarysowanymi brwiami.

- Widownia?

- Teatr, druhu. Ustaliliśmy razem, na ostatniej zbiórce - przypomniał cierpli-

wie Felek. - O, widzi druh, tu po wierzchu będą się kukielki poruszały.

Drużynowy zagwizdał. I bardzo uważnie przyjrzał się najpierw Błyskawicy, później Felkowi.

- To ja widzę, że cały zastęp razem z Maćkiem Osą zapomniał skoczyć po rozum do głowy. Dziwne.

Felkowi uszy czerwieniały szybko, wreszcie osiągnęły barwę ćwikłowych buraków.

- To Fobusz nas wysłał. Bo teraz, od kiedy na zbiórce ustaliliśmy, że Tadek Pióro ma być dyrektorem naczelnym teatru kukielkowego, a Fobusz trąlował bez przerwy, że ma w domu książkę o teatrach kukielkowych, tak nas wszystkich zagadał, że Maciek Osa mianował go zastępcą Tadka.

- Nareszcie wszystko się wyjaśnia - zaczął mówić Andrzej Wróbel, ale nie miał okazji skończyć, bo za drzewami rozległ się przeraźliwy krzyk Fobusza:

- Lenie! Maruderzy! Posiadaliście na ławce, zamiast się spieszyć? Błyskawica! Felek! Ruszcie się, ciężkie łamagi! Co tam jeszcze za patałach z wami siedzi?

- We własnej osobie - przedstawił się Andrzej Wróbel i wstał, a jego peleryna jak żagiel napięła się pod uderzeniem wiatru i Fobusz poznał drużynowego.

- Druhu... melduję... przepraszam... - bełkotał speszony rudzielec. - Ale druh sam używa czasem słowa „patałach”. I ja tylko do nich tak...

- A łopaty macie? I zgodę na wykopki tu, w Ośrodku Rehabilitacyjnym?

Fobusz pozieleniał nagle, co przy jego żółtorudych włosach wyglądało niesamowicie.

- Łopaty, powiedział druh? I wykop? Ale na co?

- Więc jak inaczej urządzić teatr kukielkowy na tej niskiej ławce?

Pięgi Fobusza odzyskały naturalny rdzawy kolor. Uśmiechnął się radośnie. Zaczął wyjaśniać.

- Urządzimy to byczo! Chciałem powiedzieć: w dechę. Po tej ławce będą się suwały kukielki, widzi druh, o, ławka wyslizgana, gładka, nadaje się pierwszorzędnie.

- Hm, hm, hm... A cały zespół artystów gdzie będzie? Powiedz, jak sobie to wyobrażasz.

- Bardzo prosto! Mam w domu taką grubachną księgę o teatrach kukielkowych i wszystko zorganizujemy słowo w słowo.

- Hm, hm... Oczytany jesteś, jak widzę. Przewertowałeś całe dzieło?

Policzki Fobusza znów oblał rumieniec.

- Eee... jeszcze nie. Dopiero jestem w połowie lektury. To znaczy, chciałem powiedzieć, że tylko powierzchownie przejrzałem, od jutra mam zamiar wziąć się do solidnego studiowania razem z całą grupą teatralną. Chwilowo przeglądałem obrazki... Bardzo ciekawe! Naprawdę!

- Więc nie poszedłeś jeszcze po rozum do głowy ani po rozum do książki?

Fobusz milczał.

- Włóż którąś kukielkę na dłoń i ukryty za tą płaską ławką spróbuj dać mały występ. Czy będziesz miał swobodę ruchów? A głos? Jak wydobędziesz głos, leżąc

plackiem na ziemi? No?

Piegi Fobusza znów nabiegły krwią.

- Z tą ławką to bez sensu - mruknął. - Chyba musi być wyżej.

- Ustawcie ławkę na widowni, tu będą potrzebne miejsca siedzące, trzeba przynieść więcej ławek. Ale pomyślcie też o krzesłach, bo nie wszyscy chorzy z Ośrodka mogą siedzieć w jednakowych pozycjach, prawda?

Oczy Fobusza rozbłysły zdziwieniem.

- A druh tę książkę zna?

- Nie znam. Ale jestem pewny, że trudno byłoby wam zmieścić się pod ławą.

Chyba że jako artystów zamierzacie zaangażować grupę krasnoludków. Albo myszy...

Przygotowania szły pełną parą. Lekarz uśmiechał się do harcerzy mijając ich.

- Co tam słyhać u kukielek? Uczą się ról?

Odpowiadali jeden przez drugiego.

- No! Kują na blachę. Dzięki! Umie swoją rolę najlepiej, można go w nocy obudzić i nawet się nie zająknie. Stuka jak najęty!

- A lisica taka chytra, chce być lisem, zajęcem i wilkiem. Wszystkim od razu.

- Brakuje harcerza - powiedział Maciek Osa - nie wiem, skąd by wytrasnąć ładną kukielekę.

- Mam pomysł - Fobusz otworzył skrzynię, w której leżał cały „zespół aktor-ski”. - Tu są trzy małpki. Weźmiemy tę najładniejszą; jak jej naciągniemy czapkę harcerską na oczy i zawiążemy chustę pod brodę, to...

- Będzie kukła Fobusza! - zawołał Bochenek.

17. Konkurs inteligencji psów

- Zauważyłem - powiedział Andrzej Wróbel - że oni tak jak wy bardzo lubią zwierzęta. Może nawet bardziej. I w związku z tym zastanawiam się, czy nie zrealizować naprawdę pomysłu druha oboźnego. Zrobić w Ośrodku małe spotkanie, może nawet konkurs piękności naszych ulubionych psów.

- Konkurs inteligencji naszych psów! - uzupełnił Marek Osiński. - Bo, druhu, piękna może być każda wychuchana psia lala, pudełek ondulowany, tymczasem inteligencja to już inna para kaloszy. Nie każdy pies ma dosyć oleju w głowie, żeby rozumieć dążenia człowieka, znać jego mowę, zgadywać myśli.

Fobusz rozindyczył się nagle.

- Moje pudełki mógłbyś zostawić w spokoju! Co ty sobie myślisz? Olej w głowie! Żebym ja ci nie powiedział o Czarnej Stopce, gdzie ona ma ten swój olej! A do moich pudełków się nie wtrącaj, bo to są babci pieski. Bardzo mądre. Z rodowodami. Właśnie kupione parę dni temu.

- No, to świetnie się składa - rozstrzygnął Maciek Osa. - Jeżeli przyjdą same psy mądrale, konkurs wypadnie tym ciekawiej. Ubaw na medal.

- A pewno! A pewno! Moje pudle nie tylko umieją służyć, ale znają świetne numery: połóż każdemu z nich na nosie sucharek; utrzymują dobre parę minut.

- Bujasz! - Felek mówił to mrugając porozumiewawczo do Maćka

Fobusz rozwścieczony ciągle, nie spostrzegł żartu.

- Druhu! - zawołał. - Zróbmy ten konkurs od razu, jak najprędzej. On mówi, że bujam, a ja tego nie ścierpię. Zakład, o co chcesz!

Wyciągnął rękę do Felka.

- Dostałem od babci sto złotych za piątkę ze sprawowania, mogę wszystkim psom ufundować nagrody. Daj grabę. Przecinajcie.

Błyskawica zapytał uprzejmie i na pozór obojętnie:

- Chyba nie zamierzasz ufundować psom złotych medali?

- Nnnno, nie... Mogłoby mi forsę zabraknąć. Ale, na przykład chętnie postawię pół kilo serdelków wyróżnionym zawodnikom.

Andrzej Wróbel zawołał:

- Zgoda! Przyjmujemy twoją wspaniałomyślną propozycję. Teraz, jeżeli tylko pan doktor zgodzi się na ten konkurs...

- A dlaczego miałbym się nie zgodzić? - zapytał pan w białym kitlu, wychylony z okna gabinetu, pod którym toczyła się głośna rozmowa. - Przecież tu nie szpital ani sanatorium. To jest ośrodek wakacyjny, nic więcej, a oni wszyscy nie są trzymani w szklanym słoju. Tylko warunek: psy szczepione, z numerkami. Wpuścimy wyłącznie czyste i zdrowe.

Tu harcerzom, opiekunom szczeniąt przywiezionych znad Lubrzanki, miny zrzędy, uśmiechy poznikały, nosy opuściły się ponuro: nikt z nich nawet jeszcze nie pomyślał o zaszczepieniu małych wyźłów.

- Proponowałbym też odbyć konkurs jutro po południu, bo dzisiejszy dzień mamy już wypełniony po brzegi.

- To nawet lepiej! - zawołał Fobusz.

Andrzej Wróbel dodał:

- Zdążycie wykąpać nasze psiaki. Na pewno każdy dobry opiekun przygotowuje swojego zawodnika pod każdym względem.

- A Fobusz - mówił donośnym szeptem Felek - będzie miał czas poprawić ondulację pudełków.

- Idziemy? - zapytał Fobusz udając, że nie słyszy tych złośliwości.

Jeszcze tego samego dnia zakotłowało się w wielu domach. Poszła w ruch woda z mydłem, ba, nawet z szamponem, pachnącym kwiatowymi olejkami, podkradzionym starszej siostrze albo mamie, potem czesano i szczotkowano swoje czworonogi, jakie kto miał; pośpiesznie sprawdzano stan ich umysłów: znajomość uciesznych sztuczek. Poszukiwano też w szufladach i za tapczanami psych obroży, a zwłaszcza zarzuconych numerków.

Ledwo tata Zenka wrócił z pracy, syn objaśnił go, że psy „świętokrzyskie” muszą być poddane lekarskim oględzinom i natychmiastowemu szczepieniu.

Kierowca zaniepokoił się.

- Są może objawy nosówki?

- Gorzej! - przyznał się Zenek. - Jutro mamy konkurs w Ośrodku i Czarna

Stopka, nasz najlepiej wykształcony piesek, musi mieć okazję złożenia dowodów swojej mądrości.

Tata zasłonił się gazetą, ziewnął.

- A co ja mam z tym wspólnego? Zmęczony jestem, synu. Ludzie jak muchy łażą po ulicach, a ja zwożę dla nich opatrunki, materace, protezy, gorsety ortopedyczne.

- Nie wiemy, gdzie jest lekarz od psów.

- I ja nie wiem. Ale harcerz potrafi wszystko wytropić, prawda? No więc?

Przed białymi drzwiami lecznicy dla psów spotkało się pięć szczeniaków Diany. Chłopcy patrzyli na siebie bez entuzjazmu, czekając na porę wejścia do gabinetu weterynarza. Czarna Stopka obwąchiwała rodzeństwo. Puchatek powędrował zwiedzać okolicę, Pihmek zaczął od niezawodnych opadów ciągłych, Żuraw obojętnie i sztywno stał na trzech łapach, swoim zwyczajem trzymając ugiętą czwartą, Biała Foka skoczyła na resztki miału węglowego, rozsypane pod murem i zapamiętała tarzała się, wzbijając do góry tumany czarnego pyłu.

Bochenek złapał się za głowę.

- Zgońcie ją! Ona swoje platynowe futerko zmienia naprawdę w bure, focze!

Tego popołudnia wszystkie szczeniaki Diany paradowały dumnie w nowych obrozach z połyskującymi jak szczerze złoto, cicho dzwoniącymi numerkami. A następnego dnia!...

Pudle Fobusza wydawały się bezkonkurencyjne. Te loki! Te pozy! Te ruchy! Te powieki opuszczane wolno i później ciężko podnoszone do góry przy powłóczystych, długich spojrzaniach!

- Ale Fobusz to nie babcia - próbował zepsuć uroczystą chwilę Patelnia. - To jest konkurs naszych psów, a nie psów naszych babć.

Fobusz wykrzywił usta.

- Fundatora chcesz obrazić?! Dobrze! Mogę sobie natychmiast iść. Oddajcie moje serdelki, sami kupicie psom nagrody.

- Przyniosłeś? Aż pół kilo? Świeżutkich? Dawaj.

- Ale gdzie one mogą być? Chwileczkę. Położyłem je na estradzie. Taka zielona siatka, szary papier w środku... Zniknęły, czy co? Zupełnie jak na zbocz Diabelskiego Kamienia podczas nocnej warty.

- Chłopaki - wrzasnął dziko Felek, aż jego uszy z przejścia zapłonęły czerwienią. - Patrzcie, tam w krzakach. Najinteligentniejszy pies odniósł właśnie zwycięstwo!

- Ha! Obwiesiu! - wrzasnął Marek i popędził w głąb ogrodu.

Wąską alejką pomiędzy rozkrzewionymi bujnie różami leciała papierowa torba owinięta siatką, znikła w cieniu, pojawiała się na słonecznych przestrzeniach, ginęła w zielonym gąszczu płonącego gdzieś czerwienią kwiatów.

- Ale który to taki złodziej? - zadziwił się groźny oboźny.

Wróbel pokiwał głową, mówiąc ponuro:

- Fatalne skutki złego wychowania czy obciążenie dziedziczne? W każdym

razie - szkołą mamy wyzlicy. Ten sam apetyt na serdelki miała Diana.

Oboźny dopiero teraz ocknął się z zapatrzenia.

- Czarna Stopka? Czy to jest wasza Czarna Stopka? Nie wierzę!

Zaczął gwizdać, cmokać, rozglądać się dookoła swoich nóg. Oblawa tymczasem ruszyła wielkim łukiem, żeby odciąć drogę zmykającym ścieżkami serdelkom. Na próżno! Siatka znikła i pojawiała się znowu, kluczyła, biegła zygzakiem, ginęła w krzakach, ukazywała się na chwilę w gąszczu zieleni.

Kucharz kołysał głową, zdumiony.

- Nie mogłem uwierzyć tam, na zbocz Diabelskiego Kamienia, żeby psy tak się potrafiły aprowizować. Myślałem: diabelska siła w tym jest. A teraz widzę. Widzę! Chociaż oczom nie wierzę. To ci pies! Nie w ciemną bity! Ludzie gadu, gadu, a tymczasem najmądrzejszy kundel chap nagrodę i w nogi! Głosuję za tym szczeniakiem. On jest inteligentny. Realista. Po prostu zaopatrzeniowiec.

Zastępowy Osa poprawił chustę, dumny jak rodzic, kiedy chwala jego dziecię.

- To nasza Czarna Stopka wykazała taki refleks. Inteligencja na medal. Co tam komu z loków i z drzewa genealogicznego! Nic. A nasza dzielna psina, jak to wystartowała genialnie. Zdolny wyżeł!

- I zasuwaj! - dodał Błyskawica. - W mig oceniła, gdzie leży laur olimpijski; cap go w zęby i chodu do ogrodu.

Hindus uderzył się w udo.

- Co za niezwykły pies! Najinteligentniejszy ze wszystkich. Rozegrał zawody.

- Ja protestuję - wołał Fobusz. - To nie jest chyba sportowy styl! Składam protest. On ukradł. Bezczelny złodziej.

- A jak zmyłkowo, bestia, szoruje. Żadna oblawa nie dogoni serdelków - zachwycał się kucharz.

W tej chwili spomiędzy krzaków róż wyszła drobna postać. Od razu poznali Tacka Pióro. Widzieli go dokładnie, stojąc na środku alejki. Chłopak zatrzymał się, wyciągnął rękę. Czarna Stopka przywarowała; pełzła na brzuchu, wlokąc aż do nóg Tacka swój skarb.

- Oddała mu torbę! - zadziwił się kucharz. - A teraz merda tym swoim czarno-białym ogonko-serdelkiem i prosi, żeby ją poczęstować. Górą Czarna Stopka! Sztuki mogą tu być, dlatego nie? Co do mnie, będę głosował tylko na Czarną Stopkę. Nie ukradła. Oddaje torbę.

- Tak, tak?! - drżącym falsetem zaczął Fobusz. - Ale słyszałem, że Czarna Stopka ma zamieszkać w internacie. Możecie sobie wyobrazić, ile kłopotów narobi takie złodziejskie psisko? Będzie kraść jak wyzlica Diana, jego mama.

- No, no! Tylko się nie gorączkuj - upomniał Marek Osiński. - To był wy czyn, żart, nic więcej. Oddała, prawda?

Groźny oboźny poparł Fobusza:

- Podobne żarty i wyczyny w internacie byłyby jednak nie do pomyślenia. Radzę zapamiętać moje słowa!

Marek Osiński już teraz nie bał się tak oboźnego, jak w pierwszych dniach na zboczu Diabelskiego Kamienia.

- Druhu! - zawołał z przekonaniem. - U nas, w internacie, pies będzie miał najlepiej. Tyłu opiekunów! I gospodyni już go zna. Stoły do pracy mamy wielkie, położymy pod stołem kawałek starego chodnika. Ja bym nawet miał od razu tytuł związany z tradycją kraju. Na lekcji historii słyszałem nieraz o różnych kasztelanach, wojewodach, podczaszych. A my w internacie będziemy mieli podstolego. Czarna Stopko! Czy przyjmujesz z moich rąk tę zaszczytną nominację?

Zziajany szczeniak nadbiegał właśnie w radosnych podskokach, wyprzedzając Tadka, to znowu oglądając się i wracając parę kroków, żeby z lubością wciągać zapach serdelków, który najwyraźniej wydobywał się z torby. Teraz, ledwo usłyszał swoje imię, runął obiema łapami na brzuch Marka Osińskiego, wywijając ogonem tak mocno, że cały jego kręgosłup ze szczególnym uwzględnieniem tylnej części przypominał wahadło zegarowe.

- Przyjmuje nominację! Hurrra! Mamy więc podstolego! - wykrzyknął kucharz. - Ode mnie pan podstoli dostanie zawsze solidny gnat rosółowy, bo to jest nasze psisko, wychowane w obozie harcerskim od szczeniaka. Mleko chłopcy odejmowali sobie od ust, choć im broniłem, nieśli, dawali, żeby nam osierocone wyżełki zdrowo rosły, dokarmiali, jak mogli. No i proszę. Czarna Stopka robi wrażenie mądrego psa. Na schwał! Nad podziw!

Zjawił się lekarz. Franio Fobusz usiłował ratować sytuację:

- Panie doktorze - mówił opanowując wzburzenie. - Proszę, tu są nagrody na serdelki, to znaczy, chciałem powiedzieć, tu w tej siatce mam psy na nagrody... Tfu! Przepraszam! Język mi się poplątał z tego wszystkiego.

Kucharz dobrodusznie pomógł mu:

- Powiedz od razu, że tu są psy na serdelki. Tylko nie wiem, kto się weźmie do tej produkcji? Bo ja - wykluczone! Proszę nie liczyć na moją pomoc w zbrodni. Szukajcie sobie pszożery.

Fobusz obrzucił kucharza złym spojrzeniem, później wyciągnął przed siebie stłamszoną paczkę w zielonej siatce.

- Komitet organizacyjny prosi pana doktora, żeby był uprzejmy wziąć udział w konkursie psów i w sędzię konkursowym. Żeby pan doktor własnoręcznie, sprawiedliwie rozdzielił nagrody psom, wykazującym najwięcej umiejętności.

- Nagrody w naturze, jak sądzę? - stwierdził lekarz, obmacując zieloną siatkę.

- Tak. W serdelkach! - uradowany Fobusz uśmiechnął się z ulgą, zadowolony, że nareszcie jego przemówienie zostało wygłoszone poprawnie i dobrze zrozumiane.

Groźny oboźny wyjaśnił rzeczowo:

- Franek jest fundatorem tej nagrody.

Fobusz uzupełnił:

- Za własne pieniądze wyjęte spod serca, to jest, chciałem powiedzieć z PKO, kupiłem serdelki, żebyśmy mieli co przyznawać najwybitniejszym psom.

- A sam przyprowadził takie ufryzowane białe pudle - kpił Felek - jakby mia-

ły ondulację. Loków im nakręcił wieczorem i teraz, o, jak paradnie wyglądają.

Franio Fobusz z godnością podniósł głowę i powiedział dobitnie, tonem oficjalnym:

- A właśnie, że nie. To pudle mojej babuni. Mój pies będzie tu również, ale to jest czarny pudel najwyższej rasy. Przyprowadzi go mój młodszy brat. Jeszcze go szcztokuje.

- Fiu! fiu! fiu! - zagwizdano z podziwem, ale Fobusz nie zdążył obejrzeć się i stwierdzić, kto to śmie kpinami podważać jego słowa. Mówił tylko do lekarza:

- Brat przyniesie też rodowód psa. Drzewo genealogiczne. Zobacz pan doktor, jakie to wspaniałe pochodzenie.

Lekarz poruszył brwiami, starał się policzyć serdelki bez wyjmowania ich z siatki, ale to nie było takie łatwe; tyle tylko, że pozwalało mu schylić głowę i ukryć drganie ust, skłonnych do śmiechu.

Felek aż poczerwieniał, jego uszy zdawały się powiększać i promieniować różowym blaskiem.

- Ale heca! Wyjął oszczędności ze skarpetki? Serdelków kupił? I co z tego? Nie będzie można wręczać, psy nie mają rąk!

- To może pan doktor usiądzie tu na podium - powiedział Fobusz. - O, tam, razem z naszym drużynowym. Druh oboźny też wkrótce będzie. Kółko fotograficzne zrobi serię zdjęć i wywoła na poczekaniu. Zapewniliśmy sobie współpracę fotoreporterów.

Nagle w alejce wiodącej od głównej bramy pojawił się najmłodszy Fobusz, identycznie jak Franek obsypany rudymi piegami, z rudą czupryną rozwichrzoną na wszystkie strony świata. Przed nim biegł na smyczy nieduży, puszysty pies, lekki i miękki jak czarny kłębek. Od razu poznawało się psią młodość.

- Uparciuch, ten mój Czarek. Jak to ciągnie - powiedział zmartwiony Franek. - Antoś, przywołaj go do porządku, powinien iść grzecznie.

- Bo nieposłuszny - wyjaśnił Marek Osiński z akcentem triumfu w głosie.

- Mój pies? On jest u-ło-žo-ny doskonale - wyjaśnił Franio.

- Hm... - Marek potarł swędzące go z emocji ucho - Czarna Stopka też będzie u-ło-żona. Pod stołem. Na poduszce. Chyba słyszałeś, prawda? Została podstolim.

- Pies u-ło-žo-ny - tłumaczył cierpliwie Fobusz - to taki, który spełnia polecenia. Daje łapę. Aportuje gazetę. Wraca na wezwanie „do nogi”. Słucha swojego pana we wszystkim, ale to we wszystkim. Idzie na miejsce. Nawet go można przyzwycząić, żeby ładnie jadł. Sam sobie poszuka smyczy przed wyjściem na spacer.

Jakby dla zilustrowania słów Franka, puszysta, czarna kulka jednym susem wyrwała się z rąk trzymającego smycz chłopca i pognała prosto na kropiastą perliczkę, spacerującą sobie w ciepłe słońca brzegiem basenu wypełnionego wodą. Ledwie zdążyli szczeniaka chwycić, ale nie przestawał protestować, szarpał smyczą, stawał na dwóch łapach, gwizdał nosem, skomlał rozpaczliwie; mały Antoś Fobusz wziął go czule na ręce, tulił i przemawiał do niego. Właśnie nadeszło kółko fotograficzne z druhem Hindusem na czele.

- To jest obiekt, jakiego szukamy!

- Piękność!

- Mister psister.

- Antoś, ustaw się z nim tu, na tle białych dali. Albo w daliach pośrodku.

Bardzo ładnie. Powtórzymy jeszcze raz. Uwaga! Cyk. Jeszcze nie koniec. Chwilęczkę! Przyjemny wyraz twarzy. Dziękuję!

Kucharz poprosił:

- Zróbcie i mnie ze trzy fotosy. Będę mu podawał czekoladę.

- Teraz może z panem doktorem?

- Bardzo chętnie. Na tle mojego białego fartucha psi brunet wyjdzie jak żywy.

Franio Fobusz wzdychał ciężko, wreszcie nie wytrzymał:

- A ja?! Może i mnie poświęcilibyście z jedno zdjęcie?

Chwycił psa, przyłożył twarz do kudłatej głowy Czarka.

- Uwaga! Cykam! - oznajmił fotografik. - Dziękuję, zrobimy jeszcze raz.

Ale już nie zrobili, bo nagle rasowy pudel znowu dostrzegł perliczkę. Wyrwał się Frankowi, skoczył długim susem z jego ramion i rozpoczął jeszcze bardziej zajadły pościg, tym razem najwyraźniej postanawiając gonić aż do skutku.

- Czarek! Wróć! Czarek! Do nogi! Do nogi!

Rozpaczliwe krzyki obu braci Fobuszów ginęły w piekielnym szczekaniu pędzącego psa i jeszcze piekielniejszych przekleństwach rozszoszczonej perliczki.

- Czarek! Do nogi! Ja tu jestem i rozkazuję ci: wracaj! Czarek!

- A tymczasem - szepnęła Felek - psu wszystko się pokiełbało, piegowata perliczka z piegowatym Frankiem. I bądź tu, pudlu, mądry!

Sprzątaczką wybiegła na ganek, unosząc ramiona i wołając:

- Udusi perliczkę naszego dozorca!! Na śmierć udusi! Co to będzie? Cały Ośrodek wyrzucą na cztery wiatry stąd, jak się coś paskudnego stanie. Widzicie? Już ją ma!!!

Rzeczywiście, pies gnał z siłą rakiety międzyplanetarnej, był coraz bliżej ptaka, bijącego skrzydłami powietrze. Nagle stała się rzecz zdumiewająca. Gwałtowne: „Frrrr” i wszyscy poderwali głowy. Perliczka jak jaskółka pięknym ślizgiem wystartowała w powietrze, wyżej, wyżej, wyżej, nad klomby, nad powierzchnię basenu i leciała w głośnym furkocie skrzydeł.

- Spadnie! Utopi się! - przewidywała sprzątaczką. - Już po naszej perliczce! Katastrofa! Dozorca tego nie daruje. To przychówek jego żony.

Ptak w łopocie skrzydeł, z jazgotliwym krzykiem wpadł między konary starej gruszy, po drugiej stronie basenu. Czarek zgłupiał, ale tylko na mały ułamek sekundy zatrzymał się nad brzegiem, a potem bohatersko runął naprzód, postanawiając zdobyć przyszkodę wpław. Nie spuszczał oczu z rozkołysanego jeszcze na gałęzi ptaka, płynął równo, przebierał rytmicznie łapami, trzymał błyszczący, czarny nos wysoko, jak busole.

- Nic jej nie zrobi! - uradowała się sprzątaczką. - Tam jest bezpieczna. Jak ładnie fruwała! Siadła sobie na drzewie! Na samym czubku.

Franek okrążył basen, zabiegł psu drogę, stanął groźny, rozgniewany.

- Czarek! Do nogi! Marsz!

Pies usiłował zmienić kurs, ale w końcu przyplął do Fobusza i natychmiast przyjął pozę pełną głębokiej skruchy; spuścił puszysty łeb, z rzadka tylko zerkał do góry, jakby chciał zbadać, czy gromowładny harcerz jeszcze nie wyparował z siebie gniewu.

- Bandyto! Chuliganie! - mówił Franek basem, a głowa psa pochylała się niżej i niżej, w miarę jak wstyd ogarniał to szlachetne stworzenie.

Fobusz patrzył na psa z góry, na jego zupełnie suchy łeb i kudłate plecy. Inni jeszcze nie zdążyli niczego dostrzec, ale młodszy brat Franka zaczął nagle pytać szepem pełnym przerażenia:

- I co ten pies? Jakie on ma nogi? Był zupełnie czysty, a teraz? Jak on pójdzie na konkurs?! Po co ja go tyle godzin szczotkowałem?

Oczy całej gromady harcerzy, pacjentów, pielęgniarek i lekarzy zwróciły się na ociekającego wodą rasowego pudla. Jeszcze nie rozumieli, na czym polega zmiana, coś tu jednak było bardzo dziwnego: mokra sierść na łapach, bokach i brzuchu gwałtownie zjaśniała, tylko grzbiet i głowa pozostały zupełnie czarne. Wysypana piaskiem ścieżka, na której stał pies udając wielki żal i skruchę, pokryła się brudnymi plamami.

Perliczka widocznie na moment straciła równowagę, załopotaly skrzydła, Czarek zaczął skakać do góry. Wtedy już nawet i Franek zobaczył ze zgrozą, że brzuch, ogon, łapy i boki psa szybko schną w ciepłym powietrzu i że są jasnopopielate z kępkami białych, niebieskawych, to znowu niemal czarnych włosów.

- Antek! - zawołał Fobusz młodszego brata. - Przyniosłeś ten rodowód naszego pudla?

- Rodowód! - Antek wykrzywił usta. - Dziadzio szukał tego pana, co szczeniaki przy Domu Towarowym sprzedawał, ale jakoś dotąd nie mógł go znaleźć.

- Ani rodowodu, ani sprzedawcy? - jęknął Franek.

Czarek otrząsnął swoje futro z wilgoci, fontanna skropiła Fobusza, który zaczął sobie wycierać twarz i pytał ze zgrozą:

- Co? Ten pies? Przy Domu Towarowym? Dziadzio kupił go od przygodnego sprzedawcy? Skąd?! Ależ to jakieś straszliwe nieporozumienie! Coś ci się pomyliło! To przecież wysokiej klasy czarny pudel. Spójrzcie. Sami widzicie. Panie doktorze! Pan się zna trochę na psach, czy tylko na ludziach? To czarny pudel, prawda? Druhu oboźny! Druhu drużynowy! Powiedzcie im, żeby przestali się nabijać. To jest naprawdę pudel szlachetnej rasy.

Kucharz odsunął sobie czapkę na tył głowy.

- Zgodzę się z tobą, że to rasowy kundel nad kundle. Zresztą wyjątkowo sympatyczna psina. Chodź. Chodź. Poproś pana doktora, żeby ci dał kawałek serdelka.

Franek Fobusz oglądał Czarka ze wszystkich stron, odwracał dłonią wilgotne psie kudły, dmuchał w nie podobnie, jak jego babcia dmuchała w pióra gęsi czy kaczki, zanim zdecydowała się ją kupić.

- Ależ tu jest jakaś paskudna biaława glinka w tym basenie - zawołał Fobusz

wreszcie z ogromną ulgą. - Pudel umazał się tylko, więcej nic. Umyjemy go raz dwa, przy pompie, bo nie wiadomo, jakie tam były składniki.

- A kąpałeś go przed konkursem? - spytał lekarz. - Bo tu jest kolonia lecznicza. Psy na konkurs miały przyjść wyszorowane, czyste. Zgodziliśmy się na waszą propozycję pod pewnymi warunkami, prawda?

- Ten pan, co dziadziusiowi sprzedał Czarka, radził, żeby go jak najrzadziej moczyć, bo to rasowy pudel i jeszcze by zachorował. Ale teraz trudno, muszę.

Ruszyli cwałem. Na co, jak na co, ale na ciastka z kremem i na kąpiel psa każdy z nich miał ochotę. Zawsze.

- Ty trzymaj za pysk, a ja za ogon - poradził starszemu bratu Antoś Fobusz i zaczerwienił się pod piegami z wysiłku, bo na próżno usiłował chwycić mokrą kity, falując radośnie pomiędzy dłońmi chłopca.

- Ja pompuję! - zgłosił swój udział kucharz. - Ale wy musicie go namydlić, bo inaczej takie mycie do niczego. Higiena przede wszystkim. I ta glinka nie zejdzie sama. Trzeba mydlić. Mydlić.

- O! - zawołał Felek. - Mam przy sobie mydło „Siedem kwiatów”. Umyjemy psinę siedmioma kwiatami, psina znowu będzie ładna.

Mnóstwo rąk tarło, masowało, prało, mydliło psie kudły, kucharz pompował i przerywał w miarę, jak mu dawali polecenia.

- Woda!

- Wyłączyć!

- Mydło! Tylko nie w oczy.

- Przerwa!

- Pompować!

- Stop!

- Kapka wody!

- Jakieś przeklęte bagno! - dyszał Franek Fobusz. - Dobre psisko, dobre! Stój, stój! Błoto jak noc, a psa ubieliło. Zagadka!

- Bo to pewno po wyschnięciu bieleje - wyjaśnił Felek, na ogół mocny w chemii.

- Więc jeszcze trochę mydła - prosił Franek.

- I kroplę wody. Pies dopiero wtedy będzie ładny, kiedy zrobimy białą, gęstą pianę na jego sierści. Zobaczycie, jaki to da połysk - entuzjazmował się Marek.

Uwierzyli. Tarli, tarli, tarli. Piana z mydła rzeczywiście wkrótce pokryła całego psa razem z głową, uszami, z ogonem. Tylko ślepia połyskiwały niespokojnie, a w pewnej chwili z pyska wysunął się różowy ozorek i zlizął sporą porcję mydlin.

- Och! - jęknął Antek Fobusz. - On jest głodny, biedaczysko. Tego się nie je, Czarusiu, to może cię zemdleć.

- On pewno ma pragnienie - dodał zatroskany Franio. - Dobre psisko. Dostanie nagrodę.

- Może już dosyć? - zapytał kucharz.

Felek odsunął się dwa kroki.

- Jak ładnie wygląda! Był czarny pudelek, a teraz jest biały pudelek. I znów, jak opłuczemy go wodą, będzie czarny pudelek.

- No! Płuczemy już ostatni raz! Na pewno jest umyty - zdecydował starszy Fobusz.

Kucharz nadał się, splótł obie dłonie na kółku pompy, zginał grzbiet i prostował, mocno, szybko, a woda ciekła strumieniami na parsającego, próbującego się wyrwać, skomlącego zwierzaka.

- Dobry Czarek! Umyliśmy brudaska - cieszył się Felek i pracowicie przepłukiwał każdy zwój psiego uwłosienia.

Sprzątaczką podsunęła sporą szmatę:

- Tu jest niepotrzebny stary fartuch.

Pies opatulony po czubek nosa wyglądał bardzo zabawnie i wzruszająco.

- Dajcie mu pić. Dajcie mu serdelka - poradził kucharz, ledwo przestał pompować wodę. - Serdelki mają już bogatą tradycję w naszej drużynie.

Przynosili Czarkowi na wyścigi, co kto miał: herbatniki, bułkę z masłem, plaster salcesonu, wodę, serdelki.

- Wcina! - cieszyli się, jakby to kudłate zwierzę było tylko pluszową zabawką, której apetyt mógł ich zdumiewać.

- Jak skończy jeść, ułożymy go w słońcu - postanowił Antoś Fobusz - niech ładnie wyschnie. Ja go rozczeszę.

Pies jednak wyzwolił się wcześniej. Rzeczywiście, chciało mu się pić i ledwo zobaczył blaszane pudełko z wodą w rękach Franka Fobusza, wstał gwałtownie, otrząsnął się mocno. Prysznic zimnych kropelek lecących z psiej sierści dosięgnął ich i odwrócił uwagę, ale już po chwili spostrzegli, że stary fartuch opadł, a przed nimi stał niezmiernie chudziutki, mokry, ciemnopopielaty zwierzak, dziwnie podobny do wielkiej myszy.

- Czy to pies? Czy to bies? - wesoło zapytał Marek.

Felek dodał:

- A może nowe skrzyżowanie! Myszopies.

Fobusza jakoś ubodło podobne żartobliwe ujęcie sprawy.

- No, co? Przecież on jest mokry. Jak wyschnie, wróci do właściwej barwy.

- Będzie czaaarny? - z niedowierzaniem pytał Antek.

Kucharz obejrzał Czarka z lewej strony, z prawej strony, wsadził ręce w kieszenie, zagwizdał.

- O! Tak! On będzie czarny jak kominiarz; ale kominiarz... umyty!!!

- Bo to jest kolor ochronny! - uzupełnił Felek.

Obaj Fobusze zbledli. Jakoś omijał psa wzrokiem, obserwując tylko zdumione, pełne zaciekawienia, jeszcze nawet nie rozbawione twarze kolegów.

- Wyschnie, to zobaczycie, pacany! - zdenerwował się Franek.

Słońce grzało mocno. Loczki psa, lśniące, srebrzyste, miejscami aż białawe, powiewały sobie z podmuchami lekkiego wiatru, coraz jaśniejsze, na urągowisko Frankowi.

Kucharz pokiwał głową.

- Są dwa rozwiązania zagadki. Pierwsze: sprzedawca, który koło Domu Towarowego szczenięta za niezły grosz opyla, musiał ufarbować kundla na jaśnie pana pudła.

- Czym?! Czym umalował? - jęknął Fobusz, blednąc jeszcze bardziej.

- Ba! - kucharz rozłożył ręce. - Ja przy tym nie byłem obecny.

- To wykluczone! Słyszysz druh?! - Fobusz aż dławił się z gniewu.

- Weźmy drugie rozwiązanie zagadki: pies osiwił, kiedy zobaczył swój odfruwający w górę obiad, czyli perliczkę lecącą nad basenem, podczas gdy on nie miał i nadal nie ma skrzydeł. Widziałem kiedyś na filmie, że człowiek osiwił ze strachu, w chwili katastrofy.

Błyskawica chwiał głową z powątpiewaniem.

- Człowiek! Rozumiem. Ale zwierzę?!

Kucharz pochylił głowę nad popielatym, puszystym, rozkołysanym ogonem Czarka.

- Na świecie wszystko się może zdarzyć. Życia jeszcze nie znacie. Zwłaszcza, jeżeli farba sprzedawcy psów była podłej marki...

Franio Fobusz uciekł. Początkowo szedł wolno, potem coraz szybciej, wreszcie biegiem, a kiedy wpadł pomiędzy krzaki nad sadzawką, podniósł się krzyk. Wszyscy chcieli go powstrzymać.

- Franek!

- Tam staw. Uważaj!

- Ty nie jesteś perliczka, nie przefruniesz!

- Utopił byś się...

- Chociaż piegowaty, ale na pewno nie jesteś perliczka.

- Daj spokój, po co ci fruwać na drzewo?!

Stanął. Jego plecy trzęsły się mocno, mogliby sądzić, że to gwałtowny śmiech. Ale zrozumieli. Fobusz był bliski płaczu. Podbiegli. Zagadywali go, ciągnęli za ramiona, za kurtkę; na próżno! Milczał. Odwrócił głowę.

Dopiero kiedy z rozpędu pacnęły go w brzuch dwie miękkie łapy i szybkie sapanie zwiastowało próbę rozszyfrowania humoru Franka, chłopiec westchnął. Kosmata, szarobura mordka z mokrym, okazałych rozmiarów czarnym nosem i z odstającymi kitkami białawych uszu była tuż blisko, na wprost jego brody, ożywiona wyrazem zatroskania i życzliwości. Lekkie podrzuty psiej głowy miały zdaje się oznaczać zachętę: pobiegaj ze mną, to ci dobrze zrobi, chodź na spacerek.

Słaby uśmiech Fobusza wywołał natychmiast entuzjastyczne wyszczerzenie psich zębów, po którym, wskutek ukłucia czarnego nosa jakimś pojedynczym wąsem, nastąpiła seria głośniejszych i bardzo dziwnych kichnięć.

- Kamień by się roześmiał! - krzyknął kucharz chwytając oburącz swój okazały brzuch. - A Fobusz ani spojrzy na psinę. I dlaczego? Że psinie brak jakichś papierów? Rodowodu? Tfu! Rasista!

Pies kichał dalej, a po każdej eksplozji wracał wytrwale do rozciągania czar-

nych warg i gorliwego szczerzenia zębów.

- On się śmieje! - krzyknął uradowany Antoś Fobusz.

Kucharz splunął znowu.

- Tfu! Psina śmieje się z takich zacofanych facetów, którym hrabiowskie papiery trzeba pokazywać, żeby mu rękę podali. Ja tego Czarka mogę wziąć, o ile nikomu nie jest potrzebny. Dlaczego? Nie jestem rasistą! Chodź tu, sierotko, chudzino moja! W naszym ogrodzie przy internacie zarobisz na wyżywienie.

- Wolnego! - powstrzymał go Fobusz. - A kto powiedział, że Czarek jest bezdomny? Chodź, biedaku, chodź. Ja też wcale nie jestem rasista. W popielatym kolorze podobasz mi się jeszcze bardziej.

Antoś włączył się z wielkim entuzjazmem:

- No! Jest mu do twarzy w popielatym. I przypomina mi teraz naszą babunię. Babunia ma włosy tak samo siwe jak Czarek, więc będzie pomiędzy nimi rodzinne podobieństwo. Co się śmiejecie? Babunia ma poczucie humoru, nie obrazi się, kiedy jej to powiem.

Od strony budynków nadbiegali chłopcy z kółka fotograficznego wywijając ramionami.

- Gdzie ten czarny pudel, cośmy mu zrobili serię zdjęć? Odbędzie się uroczyste wręczenie pięciu kawałków salcesonu za to, że tak świetnie pozował.

Odpowiedziało im ponure milczenie.

- No?! Co to znaczy? Udały się wszystkie, dopiero co wywołaliśmy; negatyw jest bez pudła. Niech tylko taśma wyschnie, zaraz trzaskamy odbitki. Więc gdzie ten pies? Bo jeszcze ze trzy pozy muszą dodatkowo zrobić. Redakcja gazetki wakacyjnej zamówiła dużą serię tego psa czarnego jak diabeł.

Ani pary z ust.

- Co wy? Statyści ze „Śpiącej królowy”? Może wam kto pudła zwędził? Albo zabił? I na kotlety schabowe przerobił?

Antoś nie wytrzymał napięcia. Głos mu się załamał przy prostych słowach:

- Mieliśmy czarnego pudła!

- Jak to? Zdechł?!

- Gorzej!

- Gooorzej?! A cóż może być gorszego?

Franio Fobusz odsunął się, ukazując przykucniętego za krzakiem porzeczek, wilgotnego jeszcze psa, liżącego sobie sierść szarą, coraz jaśniejszą w miarę wysychania, gołębią, aż niebieską.

- Puszku! To ty? Jaki jesteś uroczy - zawołał fotograf. - Jesteś inny. Zupełnie niepodobny do czarnego pudła. Ty jesteś teraz optymistyczny!

Antoś utworzył usta ze zdziwienia.

- Nasz pies optymistyczny?! Czarek optymistyczny?! Chociaż rasa niezbyt czysta, ale to pies-optymista!

Starszy brat fuknął gniewnie stłumionym szeptem:

- Czego się wygłupiasz, Antek! On chyba jest rasowy, zdaje się, że to po pro-

stu bluterier. Szarobłękitny. Zaszło jakieś nieporozumienie.

Kucharz trzepnął się dłońmi po kolanach.

- Ależ uparciuch! Rasowy i rasowy! No niech będzie, każdy widzi, że to naj-
prawdziwszy pudel czystej krwi.

Franio Fobusz nie wierzył własnym uszom.

- Prawdziwy pudel, prawda?

Kucharz dał znak obożnemu, który chrząknął i poważnie oświadczył:

- Najprawdziwszy kudel.

- Pudel! - odpowiedział kucharz.

- Kudel! - powtarzał obożny.

- Pudel!

- Kudel!

Błyskawica zawołał:

- To malarz ogonowy, pundelek rasowy.

Pies orientował się, że mówią o nim i przyjmował to z entuzjazmem, biegał,
wywijał ogonem, łasił się do wszystkich. Natomiast Franio Fobusz powtarzał, ledwo
poruszając wargami:

- Przyłapać takiego draba, zapytać o drzewo genealogiczne Czarka. Powie-
dzieć: oddawaj pan pieniądze, ja nie chcę psa bez rodowodu.

„Pudel” oparł puszyste łapy na piersiach Fobusza, przekrzywił głowę i słu-
chał z ogromnym zaciekawieniem. Fobusz chciał już odpędzić wstrętnego burego
zwierzaka, wyciągnął rękę zdecydowanym gestem, a wtem psisko liznęło różowym
jęzorem dłoń swojego pana, zamieniając równocześnie ogon w śmigło wiatraka.

Antoś Fobusz objął Czarka za szyję.

- On będzie mój!

- Nasz wspólny - poprawił go szeptem Franek.

Idąca przez park pielęgniarka niosła w dłoni strzykawkę.

- No, chłopcy, mówcie, kto jeszcze nie był ze swoim pupilem na szczepieniu.

Możemy to załatwić, właśnie zrobiłam zastrzyk psu nocnego dozorca.

- Mój był szczepiony.

- Mój dawno! Jeszcze na wiosnę - informowali chłopcy.

- Nasze wyżełki ze zbocza Diabelskiego Kamienia zaszczepił wczoraj wete-
rynarz.

Pielęgniarka zapatrzyła się na wysuszonego już, otrząsającego resztę wilgoci
Czarka.

- Jakie on ma piękne ślepia! Brunatne, z fiołkową źrenicą. Chodź tu, dosta-
niesz coś.

Ale Czarek dopiero w tej chwili spostrzegł lśniący przedmiot w ręce pielę-
gniarki; zgarbił się, najpierw odwrócił wzrok, potem głowa i kark dokonały wolno
zwrotu. Pies umykał podkuliwszy ogon, czasami tylko zerkał do tyłu, czy nie jest
ścigany.

Fobusz rozczulił się.

- Poznał strzykawkę! Mądrasek! Od razu daje nogę. Co za spryciarz.

Pielęgniarka była zdumiona.

- Nie do wiary! Więc ucieka z powodu strzykawki? Zupełnie jak niektórzy
pacjenci, zwłaszcza mężczyźni.

Antoś uznał za właściwe pochwalić się swoją mądrością.

- Bo to jest inteligentny piesek, prawdziwy doktor honoris pauza.

Tadek Pióro zaczął się głośno śmiać.

- Ale zgrywnie wymyślone! - powiedział. - U nas w bibliotece leży gruby tom
encyklopedii, tam wyczytałem, co to znaczy doktor honoris causa, początkowo nie
rozumiałem wcale, muszę się przyznać, ale pani bibliotekarka wyjaśniła, że to nauko-
wy tytuł nadawany honorowo. Na przykład zastęp harcerski honorowo daje sprawność
harcerczowi z jakiejś innej miejscowości, bo wykazał się nadzwyczajną zręcznością lub
odwagą, zrobił coś niezwykłego. A tu będzie doktor honoris pauza. To zgrywnie wy-
myślone.

Kiedy Franek Fobusz usiłował przekonać wszystkich, a zwłaszcza swojego
młodszego brata i siebie, że bure psisko jest rasowym, czarnym pudlem, inni zajmowa-
li się gorliwie swoimi czworonożnymi przyjaciółmi. Konkurs psów dopiero się zaczął,
każdy harcerz chciał zdobyć dla pupila nagrodę w postaci serdelka. Ale najważniejsze
było, żeby rozweselić gromadkę pacjentów.

Marek Osiński zagwizdał i natychmiast spomiędzy róż wyjrzała mordka roz-
radowanego wyżełka.

- Czarna Stopka! Do nogi! - zawołał Maciek Osa. - Meldować mi tu, co pies
robił i gdzie się do tej pory wałęsał?! Tu jest konkurs, a nie wzgórze nazywane Ka-
mieniem Diabelskim.

Psiak szedł wywijając ogonkiem. Ślepia śmiały mu się, kiedy spotykał harce-
rzy. Marek Osiński stanął na baczność, recytował szybko:

- Druhu zastępowy, nasza Czarna Stopka wykonała na spacerze kilka prac ty-
pu strażackiego, po czym zajęła się archeologią, to znaczy wytrzymałym przekopywa-
niem ogrodu, a zwłaszcza klombu z kwiatami.

Zapadła cisza. Maciek Osa nerwowo poprawił mundur, obciągając dół kurtki,
potem warknął z wściekłością:

- Jeżeli komisja wyeliminuje Czarną Stopkę z konkursu, będziesz mógł sobie
pogratulować.

- E, druhu. Wszystko już wyrównaliśmy - uspokoił Maćka Tadek Pióro. -
Krety więcej czasami zrujnują. Czarna Stopka musi wygrać konkurs i dostać serdelka.
Mus!

Zaniemówili. Franek Fobusz utracił mowę z gniewu, inni ze zdumienia. To
dopiero! Tadek oczekuje zwycięstwa Czarnej Stopki? Marek Osiński skrzywił usta.

- Ładny gips. Nasz pies dziś tylko psoci. Takim nagrody nie dadzą na pew-
no.

W tej chwili wysunął się do przodu Marcin Serwacz, obok niego jasnowłosa
Irena, dalej większa grupa dziewczynek z kolonii, a na końcu Tymoteusz błyskawicz-

nym ruchem zwichrzył swoją czuprynę, podobną niezmiennie do wiązki grochowin.

- A właśnie że Czarna Stopka musi zwyciężyć w konkursie! - twardo powiedział Marcin. - Odbędzie się głosowanie, prawda?

Franek Fobusz wydał usta.

- No tak. Będziemy głosować, ale po wszystkich eliminacjach. I wtedy zobaczymy!

Podniósł głowę do góry, zagwizdał na swojego burasa i razem z Antkiem odmaszerował dumnie za zieloną ścianę żywopłotu.

- Będziemy głosowali - powtórzył Marcin. - I większość zadecyduje.

Zabrzmiało to poważnie. Teraz każdy właściciel psa miał okazję pomyśleć jeszcze raz o przygotowaniu swojego pupila. Marek Osiński z powątpiewaniem kiwał głową.

- Serdelków mamy całą torbę dzięki hojności Fobusza - powiedział. - Przy najmniej dla najwybitniejszych gwiazdorów starczy. Reszta będzie musiała się obliczać albo zadowolić jakimś ochłapem.

Właśnie wtedy pojawił się w bramie druh Patelnia, prowadząc na smyczy srebrnawego wilczura.

- Ho, ho, ho! - zawołał kucharz. - Ten owczarek alzacki...

Nagle szary pies Patelni odwrócił się, zwabiony szczekaniem Czarnej Stopki. Wówczas dostrzegli to, co spowodowało, że kucharz przerwał w pół zdania: piękny, puszysty wilczur miał tylko szczątek ogona...

Ktoś zaczyna się śmiać. Inni śmieją się także, chociaż nie wiedzą z czego. W pierwszej chwili muszą dopiero szukać przyczyny wesołości.

- Co ty? Wilczycy ogon uciąłeś! - wołają.

- Heca! Zapomniałeś słów Adama Mickiewicza? Pies bez ogona jest jak szlachcic bez urzędu.

- Uciął wilkowi ogon!

- Na zero?

- Nie. Tak ni w pięć, ni w dziewięć. Uciął ogon do połowy.

Śmiech zakołysał obecnymi, wystarczył już teraz najmniejszy bodziec, żeby na nowo parskali, chociaż peszyła ich trochę groźna postać druha Patelni.

- Bo ten wilk ogonem ryby łowił w przerebłu, nie znacie jego historii? - żartował Błyskawica.

Patelnia uśmiechnął się tylko i poglądził wilczycę po karku. Rozglądała się poważnie naokoło swoimi mądrymi ślepiami, zatrzymując wzrok na roześmianych twarzach. Felek zaczął nucić ludową przyspiewkę:

*Pojechał pieseczek po drzewo do boru,
powrócił wieczorem wcale bez humoru,
siekiarkę mu wzięto, ogonek ucięto,
pamiętaj, pieseczku, że w niedzielę święto...*

Teraz druh Patelnia poruszył się i chrząknął. Poklepał kark wilczycy.

- Dobra Żolka. Dobra. Z tym ogonem to niezwykła historia - powiedział ci-

cho. - Żolka lubiła siedzieć i obserwować. Mieszkaliśmy na Targowej. Tego dnia też usiadła na brzegu chodnika, przy samym torze tramwajowym, a właśnie w jej stronę lazło przez jezdnię takie małe stworzenie, berbec utrzymujący z trudem równowagę. Mógł mieć dwa lata, jeszcze nawet nie przedszkolak. Rozstawione szeroko nogi, ręce wyciągnięte do przodu i biegiem przed siebie. A tu z daleka tramwaj.

Słuchali zaniepokojeni. Przeszali się śmiać, uważnie spoglądali na Żolkę.

- Tramwaj coraz bliżej i właśnie wtedy nogi malucha zaplątały się, leżał jak długi na torze i ryczał z bólu. Tak później opowiadał nam inwalida z kiosku „Ruchu”. Widział, jak Żolka zerwała się na pierwszy krzyk dziecka, skoczyła, złapała je zębami za koszulinę. Mocna jest, a nie mogła wynieść brzdąca jednym skokiem, pełzła z nim po ziemi, wydzwignęła go całkiem, ale tramwaj był coraz bliżej i chociaż motorniczy zaczął właśnie hamować, przepadło, całe to żelastwo musiało jeszcze przejechać parę metrów.

Tadek Pióro zamknął oczy. Głęboko westchnął. Druh Patelnia przyspieszył opowieść:

- Uratowała dziecko i sama zdążyła zejść z tramwajowych szyn.

- Ale ogon?! - zawołał Marek, bo właśnie w tej chwili zrozumiał, że wilczycza nie łowiła ryb w przerebłu. - Co z ogonem?

- Uratowała ludzkie życie. Tramwaj hamował, hamował, aż przeciął Żolce ogon w połowie, zszpecił ją. Tylko że na Targowej nikt się z Żolki nie śmieje. Wszyscy ją lubią pogłaskać.

Tadek Pióro położył obie ręce na karku psa.

- No! To jest bohaterka. Dla niej serdelki, to za mała nagroda.

Stali tak w zamyśleniu, kiedy zazgrzytał żwir. Odwrócili się. Korek prowadził na smyczy płowe stworzenie, dziwnie podobne do małego niedźwiedzia. Zaczęli nawoływać.

- Chodź, Korek. Usłyszysz niezwykle rzeczy.

Ale Korek siada na ławce, z dala od nich, otwiera książkę i robi minę strasznie zaczytanego. Pies tymczasem buszuje między krzewami, zaczyna się czymś bardzo interesować. Korek nie przerywa lektury, śpiewa tylko potężnym barytonem:

- Puuu-cho-wy śniegu treeeen!

Pies już przy pierwszej sylabie jak rażony prądem robi zwrot i pędzi do swojego pana, wachluje ogonem, uradowany, bardzo przymilny. Korek poklepał go po grzbiecie, dał mu herbatnika.

- Dobry Puch, dobry.

Potem znowu zajmuje się lekturą. Nuda zmusza psa do ponownego wyruszenia w krzaki. Ledwo jednak stworzenie zaczęło buszować pomiędzy różami, czochrać się o nie, bezceremonialnie podlewać (a raczej ceremonialnie podlewać, bo robił to podnosząc kolejno raz lewą, a raz prawą łapę), już odezwał się początek tej samej piosenki:

- „Puch!-o-wy śniegu treeen!”

I pies wracał oczarowany uprzejmością swojego pana, zachwycony, czyniąc

wywijasy ogonem.

- On jest muzykalny - pochwalił się Korek Andrzejowi Wróblowi.

- Tak? I lubi tylko Puchowy śniegu tren?

- E, to mój tata wymyślił taki numer. Od imienia psa się zaczęło.

Kilka sygnałów gwizdkiem przerwało rozmowę drużynowego i Korca. To wartownik ostrzega, że pod bramą jest ktoś obcy.

Na teren Ośrodka wchodzi nie ogolony, byle jak ubrany mężczyzna, Ręce wciśnięte w kieszenie spodni, płowy sweter mocno przybrudzony.

- To jest on! - oznajmia szeptem Antoś i zaciska dłoń na ramieniu Franca. -

Ten, co sprzedał dziadziowi podrabianego czarnego pudła.

- Podrabianego pudła? - dziwi się Błyskawica, który nie był świadkiem psiej kąpieli w basenie.

- Chciałem powiedzieć, pudła zafalszowanego. Pędzel. Farba. Czarny pudel.

- Pędzel, farba, czarny pudel?

Błyskawica klepnął się w czoło.

- Nareszcie kapuję!! Chcecie zrobić plakat na konkurs psów, macie pędzel i farbę, zamierzacie malować pudła. Tak?

- Nic. Nic nie możesz skapować. On przemalował naszego pudła - próbował cierpliwie wyjaśniać Antoś.

Starszy brat psyknął cicho:

- Słuchaj, Antoś. Ja go nie spuszczać z oczu, zwłaszcza że usiadł na ławce, może się nie ruszy jakiś czas. Ty gnaj do kancelarii, a jak nie, to szukaj innego sposobu. Telefonuj do pani Fluksińskiej i proś babcię do telefonu.

Antoś aż dłonie zatarł.

- No! Babcia go nastraszy. Ten gość musi znowu psa na czarno przerobić. Albo niech oddaje pieniądze. Dziadka przecież nabrał.

- Tak! Oszust jeden. Miał być rasowy pudel, a mówiąc prawdę, jest ni pies, ni wydra - Franek zniżył głos przy ostatnich słowach, żeby nikt nie mógł usłyszeć jego słów, świadczących o przyznaniu się do porażki.

Antoś także zniżył głos.

- Oni mieli rację: to zwykły pundel!

Franek zaczerwienił się z gniewu.

- Nie waż się tak mówić o Czarku! Bo ci wsypię parę kuksańców! Idź! Telefonuj, ja go przypilnuję. Gdyby się ruszył, idę za nim trop w trop i będę znaczył trasę pestkami dyni.

Antoś był przerażony.

- Naśmieszysz tu?

- Nie ma rady. Ganiaj.

Obserwowanie sprzedawcy „czarnego pudła” nie było początkowo trudne, chociaż Franek wolałby mieć bardziej ambitnego pirata przed sobą, tymczasem ten po prostu pochylił plecy, splótł palce obu rąk i zasnął.

Chwilami budziło go własne chrapanie, podrywał głowę, przeciągał się, póź-

niej spał dalej. Upłynęło parę minut. Antoś pojawił się za krzewem jaśminu.

- Zajęte, zajęte.

- Próbowalesz do pani Pogniotek?

- Nie ma nikogo.

Mężczyzna wyprostował się nagle, twarz rozjaśniła mu się nieśmiałym uśmiechem. Wygładził sweter, przeciągnął dłonią po włosach.

Od strony sali gimnastycznej szedł chłopak, ostrożnie przesuwał stopy, jakby nimi dla zabawy chciał nazgarniać jak najwięcej piasku. Poznali go. Był to najchudszy i najwyższy z pacjentów, Tymoteusz Jagodziak. Franek już zaczął mu opowiadać, że przydybali winowajcę, kiedy nagle Tymoteusz podniósł głowę i zawołał rozpromieniony:

- Tato! Dawno tata przyszedł?

Objęli się, ten ułomny i przybysz w brudnym swetrze. Dwa pęki grochów połączyły się w uścisku, potem starszy przetarł kciukiem powieki.

Tymoteusz wołał głośno:

- Trafił tata na konkurs psów.

Starszy Jagodziak zagwizdał.

- Obejrzą. Dlaczego nie?

Franio Fobusz dyszał w ucho brata:

- Mamy go. Nazwisko. I w ogóle. Wezwiemy babcię. Wstrętny oszust!

Antoś postukał się w czoło.

- Zrobiłbyś taką przykrość temu rozczochanemu pływakowi? Na pewno nie.

Mogę się założyć.

Marcin podszedł do nich ze swoim akordeonem.

- O czym tak radzicie? - zapytał.

Antoś spojrzął na starszego brata, potem ochryple wyjaśnił:

- Przyglądamy się. Jaki Tymoteusz podobny do swojego taty.

Serwacz przez chwilę milczał, wreszcie usłyszeli jego słowa:

- Lepszy już taki rozczochrany ojciec, aniżeli żaden.

I odszedł. Irena przyglądała mu się z daleka.

Kiedy inni zajmowali się Żółką i Puchem, druh Marek Osiński wybrał odpowiedni kawałek zieleni przylegającej do boiska sportowego, zasłoniętej ścianą krzewów i tam ustawił mały namiot z pomarańczowego płótna. Cofnął się o kilka kroków, obejrzał swoje dzieło. Pokręcił głową.

- No, zobaczymy - szepnął niespokojnie. - Zobaczymy, czy ten ananas umie rolę na pamięć. W jego łapach powodzenie albo niepowodzenie mojego pomysłu. Zobaczymy. Zobaczymy.

Wiatr uderzał lekko w skrzydło namiotu, kołysał nim, a równocześnie gałąź polnej róży zakończona czerwonymi koralikami stuknęła w napięte płótno, jakby ktoś uderzał palcami, dając dyskretnie sygnał. Marek odetchnął z przyjemnością. Co za dzień! Wysoko nad koronami lip niebo jasne, tylko gdzieś tam przesłonięte białą mgiełką, lekką i przejrzystą, podobną do małych fal morza, pluskających przy brzegu.

Chciałoby się iść przed siebie, drożynami, środkiem łąk, lasów, zagajników, pól. A może podsunąć Andrzejowi Wróblowi pomysł zorganizowania dłuższej wycieczki razem z uczestnikami kolonii, jakichś podchodów, biwaku, biegu harcerskiego?

- To jest myśl! - powiedział, uchylając płótno i cicho gwizdząc. - To jest myśl. A więc, do dzieła. Wylaż, artysto! Jesteś gotowy? Można zaczynać?

Odpowiedzi nie było słyhać. Mimo to Marek sięgnął po kamerton i zaczął nim sygnalizować. Nie czekał długo. Już tupotały kroki, słyhać było szelest krzewów i gwar ogólnego zaciekawienia wzbogacony psim poszczekiwaniami.

- Ani mru-mru! - powiedział zaglądając do namiotu. - Leż i czekaj.

Oboźny przesadził kępę niskopiennych róż i wyprzedzając wszystkich pierwszy stanął przed Markiem.

- Ejże! My tu się zajmujemy konkursem psów, a ty sobie tymczasem namiot ustawileś? I co dalej?

Marek poczekał chwilę, zerkając niespokojnie na pomarańczowy namiocik, kiedy wszyscy ucichli, podniósł dłoń.

- Odkrycie. Dokonałem epokowego wynalazku.

Przerwał. Teraz otoczyli go zwartym kręgiem, ale że znowu podniósł rękę, przestali się pchać. Wyraźnie zasłaniał przed nimi namiot, chociaż w stronę wejścia zwracał głowę, kiedy wygłaszał przygotowaną wcześniej orację:

- Zasada działania tej oto maszyny, mojego wiekopomnego wynalazku, jest bardzo prosta. Z jednej strony wrzucam brudne naczynia, z drugiej wyjmuję czyste. Kto zgadnie, jak to rozwiązałem? No, proszę!

Milczenie.

- Pomyślcie chwilę - zachęca wynalazca. - Jeżeli z tej strony wkładam coś do wykonania, z drugiej wyjmuję gotowe, to? Ruszcie głowami!

Tadek Pióro westchnął z wysiłku.

- W środku coś musi być...

Marek zaklaskał w dłonie.

- Bravo! Jesteś na dobrej drodze, pomyśl teraz, ciepło, ciepło, gorąco...

Tadzio rozjaśnił się cały.

- Tam jest na pewno ten... Jakże on? Kom-po...

- Komputer?! - wrzasnął uradowany Maciek Osa.

Głos jego był tak potężny, że zbudziłby najbardziej zatwardziałego śpiocha. Tak się też właśnie stało: namiotowe płótno drgnęło i nagle z regularnością sekundnika w zegarku zaczęło rytmicznie falować.

Oczy Tadzia Pióro stały się ogromne ze zdumienia.

- Komputer idzie! Jak tyś go uruchomił?! I jak regularnie, raz-dwa, raz-dwa, raz-dwa!

- Fotokomórka - szepnął z miną wszechwiedzącego fizyka Fobusz.

Ale Marek Osiński zdawał się nie słyszeć tych uwag ani ukrytej w nich ironii. Zacerwieniony, gniewny, tupnął nagle, co nie dało niemal żadnego efektu, mimo że pacnął silnie trampkiem w miękką trawę, a potem zawołał tonem rozkazu:

- Komputer! Leżeć! Siad! Siad!

Ale już było za późno: uchyliły się skrzydła namiotu, poczciwa, kosmata mordka psa noszącego imię Czarnej Stopki, pokryta czarnymi łatami na białym tle, rozłożonymi nader humorystycznie, zdawała się uśmiechać do harcerskiej gromady. Ostatni okrzyk „siad!” powstrzymał posłuszne zwierzę. Pies usiadł natychmiast, jego nos poruszył się kilka razy w lewo i w prawo, połyskliwy i czarny jak ślimak, który ledwie wychylił wilgotne ciało z ciasnej skorupy.

- Kom-pu-ter!! Na miejsce!!! - ryknął Marek Osiński wyciągając ramię i palcem wskazującym godząc w łagodnego zwierzaka. Pies natychmiast zniknął, oba skrzydła namiotu zetknęły się znowu.

Druhowie patrzyli po sobie, zbici z pantaląku. Brwi podjeżdżały im wysoko na czoła, wargi ściągali mocno, póki nie buchnął równocześnie ze wszystkich stron zdrowy, przepotężny śmiech.

- Komputer! Ale, bracie, wymyśliłeś. Czarna Stopka jest komputerem!

- W ogonie ma fotokomórkę!

- Tędy podajesz brudną menażkę, a z drugiej strony wyjmujesz umytą! Zupełnie tak, jak robiłeś w Górach Świętokrzyskich. Tylko, że tam było trochę inaczej, ty w namiocie, pies na zewnątrz. Musisz opatentować swój wynalazek.

- A więc mamy kilku murowanych kandydatów do nagrody - zawołał lekarz. - Ale komputera nie polecałbym naszej kuchni kolonijnej.

Marek Osiński znalazł odpowiedź. Uśmiechnął się.

- Wieloma wynalazkami interesują się instytuty naukowe, prawda? Mój też można przekazać do dalszego badania.

- Bravo! - pochwalił go lekarz. - Umiesz wybrnąć z trudnej sytuacji.

Spomiędzy gromadki pacjentów stojących dookoła wysunęła się krok naprzód Irena. Potrząsnęła włosami, żeby je odrzucić na plecy i powiedziała śmiało:

- Panie doktorze, najlepiej dajmy nagrody wszystkim pieskom. Ja podzielę serdelki.

Marcin Serwacz krzyknął:

- Tak. Irena ma rację. Dajmy nagrody wszystkim.

Otoczyli zatłuszczoną torbę. Próbowali rzędem posadzić psy, co jednak okazało się niewykonalne.

- Ja rozdzielię serdelki - powtórzyła Irena niosąc z kuchni nóż. - Wyprawimy psom serdelkowy bal.

I nagle wszyscy zaczęli mówić o zwierzętach, opowiadać, jakich zostawili przyjaciół, obdarzonych wszelkimi talentami, najulubieńszych.

Marek Osiński rozejrzał się za drużynowym. Odnalazł go, stanął przed nim, ale w pierwszej chwili nie mógł znaleźć odpowiednich słów.

- Druh widzi? Rozkręcili się. Teraz urządziłbym dla nich wycieczkę, zawiózłbym do lasu, żeby przeżyli prawdziwy, harcerski dzień.

Andrzej Wróbel słuchał uważnie. Marek atakował dalej:

- Rozmawiałem z doktorem. On twierdzi, że bodźce psychiczne, druhu, są

może tak samo ważne, jak dobre warunki na kolonii leczniczej i jak cała kuracja każdego z nich.

Drużynowy zmarszczył brwi, zastanawiał się, co zaczynało być kępujące. Wreszcie powiedział tonem rozkazu:

- Słuchaj no, Marek. Ostatnio zaczynasz mi się nie podobać. Przychodzisz i co? Gdzie konkretny plan? Osę pytałeś o zgodę? Pytałeś oboźnego? Nie? No widzisz, chłopie! Ganiaj od razu na jednej nodze, szukaj oboźnego. Zobaczymy, co nasz groźny powie na to działanie za pomocą bodźców psychicznych.

18. Zapowiedziano bieg harcerski

- Hip, hip! Hurrra! - krzyczały Czarne Stopy skacząc przez krzaki, próbując prześcignąć Maćka Osę.

Franek Fobusz odzyskał już humor po fatalnym konkursie psów i swoim zwyczajem usiłował przekreślić okrzyk. Wywrzaskiwał, co sił w płucach:

- Cip, cip! Kura!

Nikt go jednak nie słyszał w ogólnej wrzawie.

- Bieg harcerski! Bieg harcerski! Bieg harcerski! - dyszał Maciek Osa zziębnięty, nieprzytomny z radości.

Tadek Pióro cofnął się w cień rozłożystego kasztanu, przesunął ostrożnie nogi po miękkiej, cieplej ziemi, ukrył się za pnem. Ależ oni galopują! Podnoszą kolana wysoko, niemalże dotykają nimi nosów, a w sekundę później biją się piętami po tylnej części ciała. Bieg harcerski nie będzie dostępny dla całego zastępu, tego nikt w pierwszych dniach nie przewidział. Okazuje się, że najlepsze miejsce dla Tadka to kolonia lecznicza. Wypadnie zostać. Oni nawet nie będą go szukać, urządzili te jakieś wyścigi, lecą jak do pożaru. Zapomnieli, że zastęp nie jest w komplecie. Tak prędko przebiegli, nie widać ich już i nie słychać, ucichło wszystko. Bolesny skurez serca. Wróćcie! Zapomnieliście mnie zabrać. Tak, ale gdyby wrócili, byłoby jeszcze bardziej smutno. Minęły czasy, kiedy Tadek był ścigły, jeden z najpierwszych wśród rówieśników. A teraz? Bieganie bez nóg! Trzeba zapomnieć o bieganiu. Już łatwiej pływać.

Położył obie dłonie na chropowatej korze kasztana, oparł czoło. Westchnienia jedno za drugim uświadomiły mu, że jest obcy pomiędzy tutejszymi harcerzami, że nigdy nie cofnie swojego nieszczęścia, tak samo jak nie mógłby cofnąć radosnego biegu harcerzy.

Zgnębiony dosłyszał ciche bzykanie komara, czy innego owada, mało się tym interesował jednak, pogrążony we wspomnieniach, w rozpamiętywaniu tamtej mroźnej nocy, kiedy rodzinny dom przestał być dla niego rodzinnym domem. Sterta siana użyczyła mu schronienia i zacisza, zwinął się w kłębek, usnął twardo. Spłakany był. Zrozpaczony. We śnie rozprostował widocznie nogi, wytknął je na siarczysty mróz. Nie czuł bólu. Nie czuł nic. Odnaleźli go rozgorączkowanego. Zdawało mu się, że ojciec wstał z grobu, wziął go na ręce i niósł...

Bzykanie komara powtórzyło się. A może to bekas? Ale bekasy dopiero wie-

czorem zaczynają nadawać swoje dziwne sygnały. Co to?

Długi sygnał. T. Krótki, długi. A. Długi, krótki, krótki. D. Krótki. E. Długi, krótki, długi. K.

To zbiórka zastępu!! Słysząc kamerton Maćka Osy. Wołają alfabetem Morse'a: TADEK. TADEK! TADEK PIÓRO! Co robić! Oparł się mocno, ciężarem całego ciała na kulach, objął palcami drewniane uchwyty, ściągnął usta w bladą kreskę. Zaczął iść po trawie, tuż obok wybetonowanej ścieżki. Dobrze im gwizdać! Oni mają nogi lotne jak polne koniki.

Do głów im nie przyjdzie, że on spieszy cały spocony; kropelki występują na czole, nad powiekami, zalewają oczy. Prędkiej! Prędkiej! Trzeba uciekać! Odejść stąd, oddalić się z tego miejsca, gdzie słychać sygnalizację podawaną kamertonem, usiąść w gąszczu porzeczek, przeczekać tę chwilę, kiedy serce bije tak mocno i szybko, jak wtedy, w czasie mroźnej nocy, podczas najcięższego w życiu zdarzenia. Prędkiej! Prędkiej! Kule grzęzną w pulchnej ziemi, po żwirze iść jeszcze ciężiej. Asphalt skropiony niedawnym deszczem okazał się dziwnie śliski.

Tadek byłby upadł, w ostatniej chwili odzyskał równowagę. Stał, żeby trochę odpocząć. Przetarł spocone czoło. Wtedy usłyszał rytmiczne pacnięcia czegoś miękkiego, coraz głośniejsze i bardziej wyraźne: klap, klap, klap, klap. Czyżby znowu jakiś bieg?

Uchwycił oburącz kule, chciał co prędzej zniknąć w krzakach, usunąć się z nasłonecznionej alei, gdzie każdy zobaczy z daleka jego nieporadne ruchy. Na próżno! Minęły te czasy, kiedy ściągnął mocne jak sprężyny, kiedy mógł odbić się piętami, skakać przez kałuże, przez rowy, uczestniczyć w wyścigach i wygrywać. Oczy piekły go. Pot spływał z czoła.

Przytrzymał kule jedną garścią, drugą wycierał powieki. Wtedy kłapanie zrównało się z nim i zdyszany Marek wyzapał:

- Ale gorąc. Idealna pora na wycieczkę do lasu.

Tadek Pióro nie odpowiedział nic, ale jego zaciśnięte usta wyrażały tyle smutku, że Marek Osiński stracił swoją bezgraniczną swobodę. Podniósł rękę, rozmasował sobie skórę na głowie, zapominając o włosach, które niechcący zmierzwił i zamienił w kopę siana. Jak znaleźć słowa? Jak powtórzyć rozkaz Maćka Osy?

- Wiesz? Rozpoczyna się właśnie zbiórka zastępu. Nie słyszałeś gwizdków?

Tadek Pióro spuścił głowę.

- Słyszałem - odpowiedział ponuro.

Marek zdziwił się bardzo.

- Tak? Ale Maciek Osa gwizdał tam, w pobliżu hali sportowej, a ty, zdaje się, siedłeś w przeciwną stronę?

Jeszcze niżej spuścił głowę Tadek Pióro. Ciche mruknięcie było ledwo dosłyszalne.

- No, bo co? Nie chciałem być na zbiórce.

Marek otworzył usta, przycisnął je palcami. Chwilę milczał, nim zadał pytanie:

- Tadek! Nie chciałeś być na zbiórce? Bracie, coś mi się zdaje, że kto jak kto, ale ja wyjątkowo dobrze cię rozumiem.

Trwała cisza. Stali na wprost siebie w słońcu, wśród zapachu róż, unoszącego się nad ogrodem. Usłyszeli suche, rytmiczne cykanie świerszcza tuż blisko, w trawie rosnącej przy krawężniku.

- Bracie! - podjął znowu Marek. - Organizujemy bieg harcerski. Pojęcia zielonego nie masz, co to za wspaniała impreza. Możesz...

Tadek przerwał mu gwałtownie:

- Właśnie widziałem. I powiedz im, że ja wrócę dopiero, jak skończycie z tymi wyścigami.

- Tadek! Wytłumaczę ci!

- Co tu może być do tłumaczenia? Tak mało wiesz o mnie. Wara zastępować mi i wam wszystkim od moich nóg. Nikt mnie tu nie będzie zmuszał do galopowania. Czy bieg harcerski, czy wyścigi pastuchów, to wszystko jedno. Bieg i bieg. A na to, żeby gnać z wami, trzeba mieć zdrowe nogi.

Marek Osiński próbował mu przerwać. Wyrazem twarzy i machaniem dłoni chciał zwrócić uwagę Tadka. Wytłumaczyć, że się myli. Na próżno. Dopiero kiedy tamten spuścił głowę, zwiśł pomiędzy kulami, jakby nagle zabrakło mu sił, Marek ostrożnie położył rękę na jego plecach.

- Słuchaj. Ale nie przerywaj! Bieg harcerski to jest fantastyczna gra. Nie znam lepszych zajęć harcerskich niż bieg. Czekaj, czekaj. Uważaj dobrze. Nie wszyscy uczestnicy muszą się ruszać z miejsca. Jedni lecą jak wariaci, część natomiast dzieli się na grupy i wchodzi w krzaki albo leży pod liśćmi paproci. Zależy od charakteru punktu usługowego.

- Co?

- No, widzisz. Uczestnik biegu spotyka w lesie różne wcześniej obmyślane pułapki. Co więcej, musi te zasadzki znaleźć, bo inaczej przegrywa. Ty na przykład będziesz siedział razem z kucharzem i z Felkiem w takim zakątku, do którego prowadzą strzałki. Jeżeli ktoś was ominie, traci punkty i wysiada z gry. Wam nie wolno się ruszyć stamtąd ani na krok.

- A jak nas ktoś wytropi?! - zapytał Tadek Pióro i w jego szeroko rozwartych oczach pojawiła się ciekawość, może nawet bojaźń. - Wytropi nas i wtedy my tracimy punkty? Przegrywamy?

- Nie! Nic podobnego - wołał Marek Osiński zadowolony, że udało mu się obudzić zainteresowanie zbuntowanego chłopca. - Kiedy was wytropią, dacie im zadanie do wykonania i muszą spełnić wasz rozkaz w ciągu nieprzekraczalnego czasu.

- No, ale co by to na przykład mogło być takiego? Ten rozkaz?

Marek rozstawił szeroko dłonie przed oczyma Tadka.

- Stop! Za dużo chciałby druh wiedzieć, a bieg harcerski polega na wielkiej tajemnicy. Powiedziałem ci trochę, żebyś nie myślał, że trzeba będzie galopować przez krzaki. Reszta, bracie: sekret.

- No tak, ale przecież gnaliście jak do pożaru, nie?

- Ba! Jak usłyszeliśmy, że Maciek wzywa nas do siebie w sprawie biegu harcerskiego, to jasne, że rwaliśmy do niego co sił. I ty polubisz biegi harcerskie, na pewno. Szkoda tylko, że tak rzadko się odbywają. Bo ja codziennie brałbym udział w takich imprezach.

Znowu zagrał świerszcz. Ale Tadek Pióro dosłyszał odległy, stłumiony szumem drzew odgłos kamertonu. Z najwyższą ostrożnością przestawił kule w przeciwnym kierunku, potrząsnął głową.

- To idziemy - powiedział energicznie.

Ruszyli naprzód. Marek ostrożnie stąpał krok w krok obok Tadka, dyskretnie obserwując jego ruchy, gotowy w każdej chwili przyjść mu z pomocą.

Tadek jakby odgadł myśli kolegi, roześmiał się, co jego smutnej twarzy przywróciło pogodny wyraz.

- Opanowałem już to kuśtykanie na patykach. Ale co było z początku! Szkoda gadać. A pani doktor zapewnia, że po jakimś czasie będę swobodnie chodził bez kul, wystarczy mi sztuczna stopa, jak przestanie mi przeszkadzać.

Przystanął. Wytarł pot z czoła. Marek na próżno szukał w myśli słów, które nie uraziłyby Tadka. Wydukał wreszcie:

- Już blisko. Słyszę wrzaski naszego zastępu.

Rzeczywiście. Pomiędzy drzewami leciały znowu zawołania wyrażające radość:

- Hip! Hip!

- Hura!

- Hip! Hip!

- Hura!

Potem nastąpiła rytmiczna kanonada łyżek w menażki. Ten odgłos uspokoił Marka. Było wiadome, że nie trzeba się za bardzo spieszyć.

- Obiad nie zając, nie ucieknie. Zdążymy go złapać - powiedział Tadek i spokojnie zaczął wybierać najdogodniejsze, gładkie odcinki ścieżki.

Wreszcie dostrzegli zastęp, ustawiający się przy kotle. Czarna Stopka kręcąc ogonem zajęła pierwsze miejsce. Maciek Osa patrzył na czubki drzew i podmuchiwał w kamerton, ale kucharz oparł dłonie na biodrach, wlepił oczy w Marka Osińskiego i w Tadek Pióro, zaczekał, aż przyjdą całkiem blisko.

- Cóż to? Druhowie zapomnieli umyć uszy? Tu zastępowy Maciek Osa płuca sobie nadwierzę, dmie w kamerton, jak Wojski z „Pana Tadeusza” w róg bawoli, a tymczasem czas ucieka, zupa stygnie, zbiórka stygnie ... Tfu! Chciałem powiedzieć... Ośrodek leczniczy to nie Góry Świętokrzyskie, tu musi być idealny porządek.

Ale Fobusz przerwał mu w pół zdania:

- Druh kucharz chciał powiedzieć właśnie, że zupa stygnie i zastępowy stygnie.

- Żebym j a cię nie wystudził! - kucharz poprawił białą czapę na czole i ruszył ociężałym krokiem w stronę Fobusza. Po drodze zagarnął warząchew i uniósł ją, gotów zadać Fobuszowi cios. Dziwnym zbiegiem okoliczności zobaczył przed sobą ko-

goś znacznie wyższego, uśmiechającego się z lekką drwiną.

- Cóż to, mości kucharzu? Wojnę z muchami wypadło stoczyć? - pytał Andrzej Wróbel.

Chłopcy odnieśli wrażenie, że prawica kucharza zwiędła - warząchew powoli jak semafor opadła w bok.

- Ale jakoś nie dostrzegam tu nigdzie much. Nie słyszę brzęczenia - drużynowy rozglądał się, gdy tymczasem policzki druha kucharza po prostu dojrzewały błyskawicznie; były lśniące i osiągnęły kolor pięknych pomidorów.

- Eee, ja tylko tak. Na zgrywę.

Drużynowy pokiwał głową.

- Hm. Na zgrywę, co? A ja byłem przekonany, że naszego kucharza wyprowadziła z równowagi jakaś uprzykrzona mucha. Czy może Czarna Stopka?

- Raczej osa - szepnął głos cichszy, niż gdyby zaszumiały drzewa.

Po tych słowach drużynowy zrobił błyskawiczny zwrot i Fobusz ukrywający się za jego szeroką peleryną nosem uderzył w guzik munduru Wróbla.

- Jest owad bzykający! - śmiech ulubionego druha Andrzeja spowodował, że tym razem speszył się i zarumienił Fobusz, barwa jego włosów i skóry zdawała się pochodzić z marchewkowego soku.

Drużynowy zwrócił się do Maćka Osy:

- Gotowi? Zaczynamy bieg jutro o piątej rano. Wszystkie przygotowania kończymy jak najszybciej.

Maciek Osa niepostrzeżenie zerknął na Tadka Pióro, potem zaczął coś tłumaczyć:

- Tak. Oczywiście. Tylko zjemy obiad. I zbiórka. Wcześniej nie zdążyłem.

Andrzej Wróbel zmarszczył brwi.

- Druhu zastępowy, od kiedy to zbiórki urządzi się zamiast ciszy poobiedniej?

Nastąpiły sekundy napięcia. Kucharz usiłował dawać znaki zastępowemu, druhowie byli gotowi rozpocząć obstukiwanie menażek łyżkami, gdy nagle Tadek Pióro zrobił energiczny krok naprzód, oparł się na kulach i powiedział tak nieśmiało, że ledwo najbliższej stojący raczej domyślili się, niż usłyszeli słowa:

- To przeze mnie, druhu drużynowy.

Maciek Osa dmuchał już ostro w kamerton, a naokoło rozległ się przeraźliwy krzyk, mogący być wezwaniem dla dyżurującej w odległości kilometra straży pożarnej:

- Ooooo... biaaaaaad!!! Ooo... biaaaaaad!!!

I nagle, od dawna przyjętym zwyczajem zaczęli skandować, bijąc rytmicznie w menażki:

- Jeść nam się chce, jeść nam się chce, jeść nam się chce! Jeść!

Andrzej Wróbel usłyszał jednak wyznanie Tadka, położył mu dłoń na ramieniu. Ulga, jaka odmalowała się w napiętych rysach Tadka, sprawiła wszystkim radość.

- A jutro bieg harcerski, trą ta ta ta, naokoło świata - Fobusz wyrażał swoją

radość próbą wątpliwego rymowania.

19. Ratunku! Pomocy!

Otworzył się przed nimi las. Jeszcze wilgotny po nocnym śnie, nasiąknięty rosą, pachnący grzybnią borowików i rydzów, korą sosen i świerków, mchem, igliwem, ziołami wszelakimi, dziką miętą, zajęczą koniczynką, dojrzewającymi na krzakach malinami, białymi kwiatami, zwanymi „bagnem”. Las otwiera się tak przed każdym, kto wstanie dość wcześnie, żeby tam wejść przed innymi i wciągnąć w płuca najczystsze balsamy żywicy i ziemi.

Las. Zielona przestrzeń, w której zanurzyły się kolejno zastępy, na dzisiejszy dzień powiększone o grupki chłopców i dziewcząt z kolonii leczniczej, nazywanych „świeżo upieczonymi druhami”. Las wchłonął i otulił wszystkich, panuje zupełna cisza, nikogo nie widać. Od czasu do czasu tylko słychać głos ptaka, rzucany w locie sygnał jerzyka, stukanie dzięcioła, skrzek sroki, wymowny świst wilgi, odgrażającej się uparcie: „będzie deszcz, będzie deszcz, będziesz widziaaa!”

- Ho, ho! - mówi kucharz rozglądając się po czubach drzew, przesianych promieniami porannego słońca. - Pogoda jak drut! Ja wildze nie wierzę, chociaż zapowiada burzę.

Blade wargi Tadka Pióro rozciągnęły się szeroko w uśmiechu i odsłoniły zęby rosnące rzadko jak sztachetki.

- Peeewno! Co tam ptaki mogą wiedzieć o pogodzie!

Siedzieli we trzech ukryci między pniami świerków, osłonięci z jednej strony gąszczem jałowców, z drugiej rowem wypełnionym krzakami malin, które z tego miejsca ciągnęły się zwartą ścianą, zakrywając osłonecznione zbocze i dostarczając im słodkiego pożywienia. Tylko rozległa poręba wymagała skupionej uwagi, bo chociaż paprocie wyrosły tu wyjątkowo bujnie, trzeba powiedzieć gwoli sprawiedliwości, że druh kucharz wyrósł jednak bujniej i obszerniej. Ciągłe był widoczny.

- Oho! Macie go! No? Czy się przesłyszałem? Echo jakieś, czy co? - Marek Osiński potrząsnął obiema dłońmi. - Nie, to chyba nie jest echo!

Daremnie próbowali zrozumieć, co go tak wzburzyło. Przyłożył palec do ust i szepnął:

- Słuchajcie. Szczekanie psa czy głos Fobusza?

Było zupełnie cicho. Pytające miny kucharza i Tadka speszyły go trochę.

- Jakbym słyszał kukułkę. Znowu!

Kucharz uzupełnił ucho szeroką dłonią, wreszcie zlekceważył obserwacje

Marka:

- Zdawało ci się! Drzewa szumią. Nic więcej.

Tadek Pióro wytrzeszczył oczy, rozejrzał się szybko po kępach paproci, których liście rozłożyste i jasne zwisały nad krzaczkami jagodzin, usianych granatowymi owocami, zerknął do góry, potem nasłuchiwał uważnie.

- Czary jakie? Czarów nie ma! Tymczasem zdaje mi się, że słyszałem wyraż-

nie głos kukulki. W sierpniu kukulka? Coś jej się pomyliło!

- Bracie! - zawołał Marek i klepnął otwartą dłonią w plecy Tadka. - Ta kukulka jest wysoka jak ty, włosy jej rosną na głowie.

- Rude - uzupełnił kucharz i znowu parsknął. - A co najważniejsze, nosi mundur harcerski. Myślę, że wkrótce zobaczymy ją tu, przyjdzie lada chwila.

Było widać, że Tadek ma wątpliwości, że nie może zrozumieć tego, co mówi Marek. Kucharz dostrzegł to i wyciągnął rękę do Tadka wołając.

- Ty nie myśl, że kukułkom w sierpniu zabronili kukać. Oho! Mamy tu w zastępce Czarnych Stóp takiego filuta, że za psa będzie szczekał, za kota będzie miauczał, za sowę będzie robił takie „puuuu-chuuuu!”, za słowika nawet próbuje gwizdać. Nie mówiąc o śpiewie szpaka.

Tadek uderzył się dłonią w czoło.

- Prawda! Zapomniałem. On robił głos kojota!

Marek podniósł dłoń. Usłyszeli teraz gruchanie dziękiego gołębia, chrapliwe, trochę zduszone, głębokie i pełne uroku. Zdziwili się. Kucharz rozłożył ręce.

- Bądź tu człowieku mądry. Zgadnij od razu, czy to bies, czy to pies. Orzel czy reszka. Leśny gołąb czy druh Fobusz. A może całe stado szczeniaków?

Odpowiedź przyszła natychmiast. Za plecami kucharza sunął bezszelestnie harcerz o rudych włosach, był coraz bliżej. Stał, przycisnął do ust obie dłonie złożone niemal całkiem jak skorupa małży - i zawył:

- Aaaa-uuuuuuu!!!

Kucharz wyskoczył pół metra w górę, pomimo wyjątkowej tuszy. Kiedy opadł z powrotem na mech, odezwał się wesoło:

- No! Nie mówiłem?! I za wilka wyje, i za leśne gołębie grucha.

Tadek Pióro gapił się przez chwilę na Fobusza, nawet usta najczęściej milczące otworzyły mu się z podziwu. Zapytał wreszcie:

- Tylko nie wiem, czy tutejsze kukulki jakieś inne niż w naszych stronach. U nas lubią kukać w maju.

Rumieniec buchnął na policzki Fobusza, obejmując błyskawicznie całą twarz.

- Omyłka. Nic więcej. Omyłka. Zapomniałem, że maj dawno minął.

Marek Osiński dokończył za niego tonem obojętnym:

- Kukulce wiatr odwrócił wstecz kartki kalendarza. Pokiełbasilo jej się.

Tadek Pióro poprosił nieśmiało:

- Nauczysz mnie tych głosów?

Kucharz chrząknął.

- Skoro już o pokiełbaszeniu mowa... Zajrzyjcie no, druhowie, do naszych zapasów. Ani się obejrzymy, jak pierwszy kandydat nauk harcerskich stanie przed nami. Wtedy każda sekunda gra rolę.

- No! To prawda - przyświadczył Marek i rozgarniał złotawe liście paproci.

Fobusz pochylił się także, wciągnął nosem powietrze.

- Zjadłbym coś. A wy?

Kucharz uśmiechnął się zadowolony.

- Chętnie! Jeżeli nas poczęstujesz.

Fobuszowi nagle wydłużyła się broda.

- Eeee! Myślałem, że wy macie coś dobrego w tych krzakach.

Marek Osiński mrugnął do kucharza i powiada:

- Mamy wszystko. Częstuj się. Może trochę pszennej mąki? Nie? Soli szczyp-tę? Chcesz?

- Eeee tam! Okazuje się, że najpewniejsze są zawsze kanapki od mojej babu-ni.

Wyciągnął z kieszeni dwie pajdy chleba owinięte w papier, ostrożnie podzielił na cztery części, rozdał. Były grubo posmarowane masłem.

- I do tego po dwa pomidory - Fobusz opróżnił następną kieszeń.

- A my, widzisz, nie możemy cię chwilowo niczym poczęstować - usprawie-dliwał się kucharz i odgryzł potężny kęs chleba. - Po pierwsze, musimy się ukrywać, żeby jak najwięcej druhów nas ominęło. Po drugie, zapasy przeznaczone są na bieg harcerski. Poczęstujemy cię jak tylko zjawi się przed nami pierwsza ofiara biegu.

- Właśnie ją widzę - szepnął Marek Osiński.

Fobusz natychmiast klapnął w paprocie: nie było widać Fobusza. Kucharz, Marek Osiński, Tadek Pióro zniknęli także. Słyszeli pochrapywanie Czarnej Stopki. Spomiędzy krzewów leśnych ostrożnie wybiegł Błyskawica, rozglądając się, przystając na chwilę z przechyloną głową, jakby słuchał, to znowu idąc parę kroków.

Obserwowali go. Paprocie zostawiły mnóstwo maleńkich okienek; zasłaniały ich, a równocześnie pozwalały swobodnie ruszać głową w ślad za Błyskawicą, który najwyraźniej zamierzał ich minąć, posuwając się trasą półkola. Tadek Pióro zachowywał się najostrożniej, tylko gałki oczne prowadziły smukłą sylwetkę harcerza, nawet szyi nie przekreślił w obawie przed zdemaskowaniem „kuchni”. Cóż, kiedy zapomnieli wtajemniczyć wiatr. I paproci też nikt nie uprzedził, więc jeden liść rozkołysany jakimś nagłym podmuchem delikatnie musnął twarz Tadka. Kitka z końca tego liścia na ułamek sekundy zajrzała Tadekowi w nos i chociaż umknęła od razu, chłopak poczerwieniał. Jeszcze nigdy nie widzieli go w takim kolorze. Najczystszy amarant.

- A! A! A! - zaczął zipać, gotów za chwilę kichnąć. Obudził tym Czarną Stopkę. Pies głośno ziewnął.

Wpadli w przerażenie: Błyskawica znalazłby ich natychmiast. Ale Tadek wy-kazał opanowanie. Chwytał mocno palcami swój nos, zacisnął, jakby miał zamiar nurkować i równomiernie oddychał ustami. Skłonność do kichania przeszła. Już mieli zamiar wrócić do swoich „okienek” pomiędzy liśćmi paproci, kiedy jednak usłyszeli piorunujące głośny wybuch:

- Aaaaapsiiiiik!!!

Tadek zdębiał. Oni także. Patrzyli na siebie zdumieni. Dopiero hałaśliwy śmiech uświadomił im, że Błyskawica ich dostrzegł.

- Mam was! - wołał. - A wy? Jakie zadanie macie dla mnie? Co? Czarna Stopka też tu jest?

Kucharz uroczyście nałożył tekturowe okulary bez szkielek, specjalnie przygo-

towane, sięgnął po grubą księgę i zaczął czytać:

- Pierwsze: rozpalić ognisko. Drugie: przygotować naleśniki w ilości dowolnej dla pięciu osób z dobrym apetytem. Trzecie: zlikwidować ognisko, prowianty uprzętać. Koniec.

Kucharz łypnął oczyma zza tekturowych obwódek. Błyskawica strzelił palcami.

- Phy! Wielkie cuda! Sprawność kucharza. To zaczynamy. Dobrze, zapalczki mam, reszta się znajdzie.

Sięgnął do kieszeni, podrzucił na dłoni pudełko zapalek i już układał szyszki, płat kory, kilka patyków, trochę wysuszonego jałowca. Kucharz uśmiechał się dość krytycznie. Błyskawica nie peszył się. Postawił menażkę na mchu, wcisnął ją głębiej, żeby się nie przewróciła.

- Gdzie zapasy? Mąka. Jajka. Sól. Odrobina wody. I do dzieła!

W jego rękach migąła wyczyszczona do połysku aluminiowa łyżka.

- Patelnia! - wrzasnął nagle, puknąwszy się w czoło. - Czas podgrzewać patelnię. Miałem szczęście, chłopaki. Dla mnie naleśniki to popisowy numer.

Fobusz wsadził ręce w kieszenie.

- Moja babcia to jednym podrzutem odwraca naleśnik, o tak, w locie, jakby grała w ping-ponga.

Błyskawica zmierzył go wyniosłym spojrzeniem.

- Ho! Babcia! Zobaczycie, jak ja przerzucam naleśniki. Im wyżej naleśnik polecą, tym lepiej upadnie na patelnię.

Marek Osiński słuchał z powątpiewaniem.

- Szkoda, że druha Patelni w naszym zespole nie umieścili. Miałbyś dwie patelnie do łapania latających naleśników.

Skupili uwagę na czynnościach Błyskawicy. Kucharz uśmiechał się z niedowierzaniem.

- O, ho, ho! Co za tempo! Błyskawicznie to wszystko robi. Za chwilę będziemy mogli próbować.

Fobusz uzupełnił krótkim rozkazem:

- Uwaga! Menażki weź i łyżki wznieś!

Błyskawica mruknął:

- E, jeszcze nie tak prędko. Najpierw musimy rozpuścić tłuszcz. Oj, trochę się zapalił od ogniska... No! To wlewam. Raz, dwa, trzy!

Zapach gorącego ciasta przytłumił wonie mchu, grzybów, igliwia, żywicy, poczuli zdrowy apetyt. Nawet pies przestał chrapać i obliżywał się różowym ozorem.

- A niechże! - kucharz poprawił czapę. - Już jestem głodny. Druhu Błyskawica! Jak tam pierwszy naleśnik?

- Będzie błyskawicznie! Tylko brzęgi obruszę nożem i buch na drugą stronę.

Zaniemówili wszyscy, tak śmiało machnął patelnią. Naleśnik pofrunął do góry. Czasami wiatr porywa w ten sposób kartkę papieru.

- Złapie... nie złapie... - posapywał kucharz, ale już zwinny harcerz ukucnął

znowu przy ognisku i potrząsnął lekko patelnią.

- Jeszcze tylko obsmażę z drugiej strony i już druha kucharz będzie mógł spróbować. Opinia druha najważniejsza. No i opinia Czarnej Stopki.

Obserwatorzy unieśli się, żeby lepiej widzieć bezkształtną masę, jaka wedle ich głębokiego przekonania musiała spaść na patelnię z tak wysoko. Jednak omylili się! Błyskawica w dalszym ciągu poruszał patelnią, po której szurał naleśnik. Pies wachał zachwycony, niecierpliw.

Tadek Pióro zapytał cicho Marka Osińskiego.

- To wszyscy w lesie robią jedzenie? Sprawność kucharza, chciałem powiedzieć.

Marek przecząco potrząsnął głową. Za pniami drzew pojawili się dwaj harcerze, Bochenek i Dąbrowski, jakby w odpowiedzi Tadekowi. Biegle wydłużonym, elastycznym krokiem, a pomiędzy nimi leżał na noszach ktoś, kogo trudno było poznać, bo zakrywał go po czubek nosa koc. Obok siedł poważnie druha Puma, zerkając na zegarek i obserwując młodych sanitariuszy.

- Ratownictwo sportowe - szepnął Marek - pewno mają topielca.

Tadek zrobił wielkie oczy. Przy jego bladych policzkach to spojrzenie pełne grozy odmieniło spokojne rysy.

Marek odpowiedział poważnie.

- Przyglądaj się. Cały las w najbliższej okolicy pełen jest strzałek rozlokowanych, gdzie tylko można. Kilkanaście grup, takich jak nasza trójka, sprawdza, czy druhom należą się nowe sprawności. Patrz teraz! Topielec, oczywiście. Puma jest instruktorem. Oni robią sprawność ratownika.

Tadek Pióro wstał, oparł się na kulach, próbując przedtem, czy ziemia pokryta mchem nie ma w sobie ukrytych otworów. Uniósł głowę, szyję wyciągnął jak najwyżej. Okrzyk Marka tylko na chwilę go zainteresował.

- A druha kucharz tymczasem już opycha potrawę! Kończy! Ho! Nawet z malinami.

Błyskawica tymczasem jak zongler w cyrku podbił znowu patelnię mocnym ruchem prawej ręki i naleśnik wykonał w powietrzu salto, pięknie spadając na poprzednie miejsce, białą stroną w dół.

- Eeee... Co tam głupie naleśniki - mruknął Tadek. - Oni to mają prawdziwie poważne zadanie. Topielca ratują! Teraz ułożyli go na kolanie druha Bochenka. Gniotą brzuch. To ci dopiero!

Marek Osiński chętnie udzielał informacji:

- Wyciskają z niego muł, żeby się nie zadławił, a teraz, o widzisz? Będą robili sztuczne oddychanie. To jest praca, powiadam ci. Też mam tę sprawność. Do siódmych potów się zgrzałem, zanim szanowny topielec raczył otworzyć oko i westchnąć. Serce zaczęło mu bić. Uratowaliśmy go.

- Tak na lipę?

- No, jasne. To są ćwiczenia. Spójrz, o! - pokazał rękaw bluzy mundurowej. - To jest właśnie sprawność ratownika.

Tadek Pióro nie spuszczał oczu z machających za krzakami ramion ofiary i rytmicznych skłonów ratującego harcerza.

- Poszedłbym tam, co? Parę kroków.

Marek Osiński zaczął mu tłumaczyć:

- Musimy we trzech wydać opinię, czy Błyskawica dostanie sprawność kucharza.

- Przecież druh kucharz oceni najlepiej. On się zna.

- Tak, tak! Ale jego wymagania mogą być za wysokie, dlatego ty i ja mamy ocenić, jak nam smakowało.

Tadek Pióro skrzywił się lekko.

- Cały dzień będziemy tak oceniać?

- Ale skądże! Mamy bardzo niewielu kandydatów, inni dawno zdobyli tę sprawność. Później możemy sami robić dowolne sprawności. Uważaj!!!

Przed nos Tadka podjechała gorąca patelnia z rumianym naleśnikiem. Błyskawica wrzasnęła:

- Bierz! Ja mam punkty za jakość i za szybkość.

Uśmiech rozjaśnił blade policzki Tadka, kiedy spróbował przysmaku. Jadł i zerkał z uznaniem na Błyskawicę, który oznajmił:

- A teraz dla Marka. Proszę, już kończę. Pozostaje Fobusz. I to będzie twardy orzech do zgryzienia: Fobusz na pewno zacznie wybrzydzać, jego babcia robi mu same smakołyki.

Marek i Tadek zajęci jedzeniem usłyszeli nagle zwycięski okrzyk Błyskawicy:

- Hooo-op!

I potem wrzask Fobusza, jakby go ktoś obdzierał ze skóry. Trudno, komisja musiała przerwać uroczyste próbowanie, obejrzeć się. Stojący tuż przy ognisku Fobusz uniósł ramiona, głowę wciągając pomiędzy barki i krzyczał. A na jego rudych włosach ujrzeli czapkę - nie czapkę, kompres - nie kompres. Obok Fobusza Błyskawica, także nieruchomy, z wyciągniętymi ramionami, z patelnią uniesioną pionowo do góry.

- Jakby ktoś film zatrzymał na ekranie - szepnął zdumiony Marek.

- On ma na włosach okład z naleśnika - rzeczowo stwierdził Tadek Pióro. - Wyłysieje chłopak, jeżeli tego nie zrzuci.

Kucharz już tam był. Jednym zamachem ramienia trzepnął po rudej czuprynie, wyzwalając Fobusza z kłopotu. Kawałki nie dosmażonego naleśnika osiadły na paprociach, a wtedy spomiędzy sosnowych kiści wysunął się nos Czarnej Stopki, ruchliwy, przesuwał się w miarę węszenia to na prawo, to na lewo.

- Poparzy się - ostrzegł Błyskawica.

Kucharz tupnął energicznie na psa.

- Jeszcze tylko łysiego szczeniaka brakowało! Jakby nie wystarczył nam łysy Fobusz.

Rudzielec wyczesał już grzebieniem ostatnie ślady gorącego ciasta. Na słowa kucharza zareagował od razu:

Mysy, mysy, która słysy?

Ja nie łysy. Kuchas łysy!

Tadek Pióro był zachwycony. Jeszcze nie znał swoich nowych przyjaciół i ich talentów. Oto kucharz wypina potężną pierś (a może raczej potężny brzuch) i zaczyna mówić ten sam wierszyk:

Mysy, mysy, która słysy?

Która głucha, niech nie słucha!

Fobusz nosi naleśniki

na czuprynie koło ucha!

Jakim blaskiem zabłyśły teraz oczy Tadka! Śmiech głośny i niepohamowany aż go skręcił we dwoje. Dawno nie widzieli go tak rozbawionego.

Błyskawica mruknął z pretensją w głosie:

- Dobrze ci się nabijać! A moją sprawność diabli wzięli.

Szum pomiędzy krzakami. Szum liści młodych dębczaków. I szum harcerskiej peleryny rozwianej w szybkim ruchu. Ten głos poznali wszyscy.

- Komu to sprawność harcerską diabli wzięli? Na widłach ponieśli czy na ogonach, co?

Chwila milczenia. Jakoś nikt się nie odzywa.

- Jacy diabli? Chciałbym usłyszeć! - Andrzej Wróbel mówi tonem stanowczym.

Błyskawica jeszcze przez dwie sekundy na próżno szuka wyjaśnienia, jękając się i patrząc po sąsiadach.

- A, co... Nie, no... - i nagle w Błyskawicę wstąpiła rozpacзлиwa siła wymowy.

- Diabli wzięli moją sprawność, a ściśle mówiąc, to Czarna Stopka właśnie kończy ją zżerać. O, proszę, może druh zobaczy, jak się temu łątkowi uszy trzęsą, z apetytem opycha resztki na wpół usmażonego ciasta. Było tak: właśnie zamierzałem szybkim podrzutem odwrócić naleśnik, jak poprzednio trzy razy, potem podać następnemu druhowi, a tu co za pech! Fobuszowi na głowę.

Tadek Pióro wybuchnął znowu śmiechem. Odmienił się, był naturalny, jak wszyscy jego rówieśnicy.

- Druhu drużynowy! - zawołał swobodnie. - Jak ten Fobusz wyglądał! Zupełnie kompres na głowie!

Błyskawica powtórzył:

- Dobrze ci się śmiać! A co będzie z moją sprawnością!?

Andrzej Wróbel zdecydował szybko:

- Zjadłbym coś. Inni też na pewno. Błyskawica, do dzieła!

Znowu zaskwierczał tłuszcz i już po chwili uradowany swoją zwinnością harcerz wymachiwał patelnią jak rakieta tenisową, rzucając w przestrzeń, a potem chwytając apetyczne krążki.

- Jedzcie - zachęcał kucharz i aż ręce zacierał. - On wykazał ukryte zdolności. Nakarmił wszystkich. O psie też nie zapomniał. Fobusz mu wybaczy.

- Cooooo tam! - odpowiedział rudowłosy harcerz. - Ani śladu nie zostało na

głowie. A naleśniki robi może jeszcze lepsze niż moja babcia. I z malinami!

Drużynowy przełknął ostatni kęs, potem ocenił dzieło:

- W takim razie wszyscy poprzemy wniosek kucharza. Co?

- Jasne! - Maciek Osiński mlaskał i oblizywał jeszcze wargi. - To jest samorodny talent kulinarny. Teraz, ile razy będzie trudna robota w kuchni, na co nam zastęp służbowy? Jeden Błyskawica wystarczy za wszystkich.

- No, no! - Błyskawica pogroził, ale było widać zadowolenie w jego ruchach. Zdobył uczciwie sprawność kucharza i to nawet w obecności drużynowego!

- Mamy jeszcze paru do ugotowania - wyjaśnił kucharz - a potem zwijamy punkt i w las!

Marek Osiński zanucił zupełnie cicho:

To nas, to nas wołają w las,

a trąbki toooon jak dzwon.

Jak dzwoooooon! Jak dzwoooooon!

Tadek Pióro podniósł głowę, pytał cicho Andrzeja Wróbla:

- Druhu drużynowy. To jak z tą sprawnością ratownika? Bo może ja bym się zgłosił! Obandażuję każdego.

- Tak? - Andrzej Wróbel machnął ręką. - No, to wal od razu po skończeniu zajęć w tej grupie na punkt opatrunkowy. Cześć.

Zniknął w gąszczu sosen i dębów. Błyskawica pobiegł w stronę ratowników, bo i tam chciał zdobyć sprawność.

Kucharz odsapnął:

- No! Zakwalifikowaliśmy już jednego parzygnata. Czekamy na czterech pozostałych.

Marek Osiński zapytał:

- A tymczasem, póki nie ma nikogo, poszlibyśmy trochę na maliny?

- Lećcie, chłopaki - zdecydował kucharz. - Ja zostaję na warcie. Będę gwizdał, jak się pokaże następny.

- Tadek, chodź - zachęcał Marek Osiński. - Tu zupełnie blisko są krzaki oblepione malinami słodkimi jak miód.

Tadek Pióro uśmiechnął się pogodnie.

- Zostanę z druhem kucharzem. Chcecie, to przynieście nam trochę.

- Idziemy! - Fobusz potrząsnął menażką. - Te dwie, co dostałem od Błyskawicy, tylko mi apetytu narobiły. Sam zapach poczułem. Więcej nic.

Ukucnęli przy najbliższej kępie, zabrali się rozsądnie do wyszukiwania ostatnich już, najdojrzałych owoców: od dołu, od sponu patrzyli przez liście ku niebu, na tle błękitu wyłapywali czerwone plamki malin.

Kucharz oparł się plecami o pień sosny, rozpiął koszulę; pod wpływem słonecznego ciepła powieki opadły mu same na oczy i zapanowała chwila zupełnej błogości. Sen ogarnął go nie wiadomo kiedy, szum liści kołysał, opowiadało coś dalekie stukanie dziecięcia, stłumione głębią lasu. Kiedy się ocknął, czuł miły bezwład, patrzył, ale zdawało mu się, że dalej śpi. Taki śmieszny sen! Zacisnął powieki, potem otworzył

je znowu. Sen trwał i to taki dziwny. Tadek Pióro w tym śnie klęczał na puszystej kępie mchu, przed nim leżał szczeniak Czarna Stopka, pozwalając się trzymać za przednią łapę i nawet machając kluskowatym ogonem. Chłopak wykonywał szybkie ruchy, jakby czymś owijał psią łapę, krzyżując nie istniejący bandaż: w lewo, w prawo, w lewo, w prawo. Może to zresztą miały być takie czary? Dziwne. Śmieszny sen. Oczy kucharza znowu przysłoniły się powiekami.

Wiatr zakołysał koroną sosny, wiewiórka puściła z łapek szyszkę, oczyszczoną dokładnie z części jadalnych. Nigdy się nie dowiemy, czy działał tu przypadek, czy też rude zwierzątko z właściwą sobie precyzją ruchów specjalnie wycelowało w brzuch kucharza, okrążyło jak tarcza strzelecka. Śpioch drgnął. Uchylił tylko jedną powiekę. Wizja trwała nadal, tym razem Tadek Pióro zajmował się tylną łapą Czarnej Stopki, wykonując te same ruchy szybkiego zawijania na krzyż, raz lewy ukos, potem prawy ukos. Kucharz odetchnął głęboko, żywiczne balsamy rozgrzanej w słońcu kory drzew napępniały go zachwytem. Usnął. Posłyszał nagle stłumione okrzyki Marka Osińskiego.

- Nie, Fobusz, nie uwierzę. Ryku słonia na pewno nie zrobisz.

- A właśnie, że zrobię. Poczekaj, tylko wciągnę dużo powietrza.

- Nie pękni!

Kucharz oprzytomniał. Tadek schylony nisko w dalszym ciągu zajmował się psem. Dłonie chłopca wykonywały zwinne ruchy nawijania, jakby głowa Czarnej Stopki była kłębkim, na który trzeba przesnuć ileś metrów przędzy.

- Sen mara, Boga wiara - szepnął kucharz i rozmasował czoło. Mruknął kilka razy, poprawił plecy wsparte o pień. A tamten ze snu jakby nigdy nic: dalej okręca psią głowę niewidzialnym sznurem.

- Ej! Tadek! Co ty, Czarną Stopkę w pajęczynę owijasz?

- Aha! Widzi druh kucharz, jak ładnie obandażowałem łebek?

- Widzę. I nie widzę. Czary jakieś odprawiasz?

Tadek Pióro wykonał taki ruch, jakby coś obciął nożycami, a potem umocował koniec. Wyprostował się, klęcząc w dalszym ciągu na mchu, w jego rysach widać było wesołość, w oczach żartobliwe błyski.

- Druhu kucharzu, przegońmy szybko tych smażyplacków, a potem idę robić sprawność ratownika. Pomagałem jednej siostrze bandaże zwijać, tam w szpitalu, jak już byłem zdrowszy. Próbowaliśmy też bandażowania. Pozwalała mi czasem robić opatrunek. I tak nabrałem trochę wprawy. Nie nudziło mi się.

- No, no! - kucharz pokręcił głową.

- To może zdobędę sprawność ratownika? Właśnie sobie przypominałem zasady bandażowania, żeby się nie wygłupić.

Kucharz ocknął się wreszcie ze snu, ale nie mógł jeszcze pozbyć się zdumienia. Wrzasnął:

- A pewnie! Masz rację, Tadek. Odwalimy raz dwa tych paru fajtlapów, z teorii mogą zapytać, a potem idziemy. Zgłosisz się. Nasze kibicowanie chyba nie będzie cię krepowało?

- Skąd? W szpitalnej sali opatrunkowej zawsze było pełno uwag i dowcipów, ale ja nie bojący, druhu kucharzu. Ze mnie to się mogą śmiać, a ja co mam zrobić, zrobić.

- Tak powinno być, chłopie! - zawołał kucharz. - Świat się zmienia, dziś nawet już i dziewczyny chcą być wielkimi kozakami.

Zapadło milczenie. Sierpniowe świerszcze cykały w trawach, od czasu do czasu widać było ich skoki powodujące suchy szelest, jakby przeleciał wiatr.

Kucharz westchnął kilka razy, wreszcie zaczął słumionym głosem:

- A ty się nie łam, chłopie, mówię ci, Tadek, nie łam się. Jeszcze będziesz chodził jak na własnych.

Tadek Pióro spuścił głowę.

- No, skąd! Eeee, lepiej o tym nie myśleć.

Kucharz uderzył się pięścią w potężną pierś.

- Mówię ci. Jeden mój znajomy, leśnik, stracił rękę. Załamał się, stronił od ludzi. Nawet jak mu dopasowali sztuczną dłoń, elegancko, w rękawiczce z brązowej skóry, też uciekał w kącie. Aż pojawiła się dziewczyna. Patrząc, a ten z nią tańczy, nie wstydzi się. Tak mu jakoś przetłumaczyła, że całkiem odzyskał radość życia.

Tadek westchnął.

- Co ręka, to nie noga - powiedział bardzo smutno.

- Zależy! Zależy! W życiu różnie bywa. No, nareszcie wlecze się ta piątka niedoszłych kucharzy. Marcin, Irena, Zosia, Tymoteusz i Korek. Zasuniemy im wszystkim kluski kładzione, każdy zrobi we własnej menażce, gotowanie wspólne. To pójdzie raz dwa. Żeby tylko druhowie z malin wrócili w porę.

Tadek ożywił się nagle.

- I co? Później będę mógł u druha łapiducha zgłosić się na sprawność ratownika? Tak?

- Jaaaasne! - zawołał kucharz i zagwizdał trzy razy, przeciągle.

Spomiędzy zieleni wyłoniła się wysoka dwuosobowa komisja, czyli Fobusz ozdobiony liściem, który utkwiał w jego rudej czuprynie i Marek Osiński, którego las obdarował rzepem, przypiętym z tyłu do harcerskich spodni. Tak udekorowani zbliżali się ostrożnie, trzymając przed sobą menażki z malinami. Postawili je pomiędzy kucharzem i Tadkiem.

- Wcinajcie.

Kucharz wziął jedną, drugą. Tadkowi nasypał pełną garstkę.

- Resztę zostawimy na deser - zdecydował. - Teraz egzaminujemy tych obywateli. Druh Korek powie nam, co jest niezbędne, żeby ugotować dobry rosół dla całej drużyny. Jesteśmy na obozie harcerskim. Wszyscy mają niewąski apetyt.

Korek podniósł głowę, wpatrzył się w niebo nad sosnami. Było pogodnie, smugi obłoków prześwitywały perłowym blaskiem. Lekki wiatr kołysał gałęzie pełne wysmukłych, długich szyszek. O rosole trudno myśleć w tej sytuacji.

- Więc... - Korek zająknął się na długo, potem dostrzegłszy wyraz ironii w oczach kucharza, wyrecytował jednym tchem - a więc bierzemy pęk włoszczyzny,

kawał mięsa, wrzucamy to w odpowiednio duży kocioł i stawiamy na ogniu.

Kucharz dziwnie chrząkał, to znowu drapał się w czoło.

Stojąca za Korkiem Zosia z metalowym aparatem na nodze, też kandydatka do sprawności, wytknęła teraz pyzatką bużkę ozdobioną dwoma warkoczykami, które wskutek ciasnego splotu włosów odstawały i nawet utworzyły dwa rogaliki zagięte do góry. Samym ruchem warg usiłowała coś powiedzieć Korkowi, ale on ciągle patrzył w niebo rozmarzonym wzrokiem.

Kucharz postanowił go zbudzić z tej zadumy. Spytał surowo, głośno, z wyraźną pretensją w tonie:

- I to już wszystko, czym druh Korek zamierzałby nakarmić taką gromadę?! Proszę jeszcze raz pomyśleć. Może czegoś w tym posiłku brakuje?

Zakręcone warkoczyki Zosi znów ukazały się przy uchu Korka. Szept był tym razem wyraźny:

- Brakuje wo-dy! Wo-dy!

Korek uderzył się w czoło.

- Prawda! Musi być jeszcze deser. Na przykład: lody.

Tylko dziewczynka z aparatem na nodze i Tadek Pióro nie śmiali się z Korka. Za to inni! Piali, wyli, skręcali się, a Fobusz nagle stanął na głowie i machaniem nóg wyrażał swoje poczucie humoru.

Korek oprzytomniał. Przestał patrzeć w niebo, zdumienie wywołały w nim otwarte paszcze kucharza, Marka Osińskiego, Fobusza. Gniew zatrzęsł nim przez chwilę, zwyciężyła jednak skłonność do robienia psot. Uznał, że sprawności nie zdobędzie, postanowił więc przynajmniej wykazać się humorem.

- O przepraszam! Zapomniałem wymienić ulubiony deser druha kucharza. Prawdziwy delikatesik.

Natychmiast ucichli, zaciekawieni. Wtedy Korek podniósł dłoń i wskazał rozkołysane czubki sosen.

- Dostaliśmy raz na zboczku Diabelskiego Kamienia pyszny deser, pamiętacie? Szyszki w stanie naturalnym. I właśnie pochłonęło mnie rozmyślanie, jakby je można było jeszcze inaczej przyrządzić. A może by dać szyszki w rosole?

Kucharz poruszył brwiami, najwyraźniej zaskoczony słowami Korka.

- Tak, tak. Pamiętam szyszkowy deser. Ale trzeba druhowi powiedzieć wyraźnie, że bez pewnego składnika żaden rosół ugotować się nie da. No? No? Główka pracuje. Dobrze. Poczekamy.

Tymczasem Franek Fobusz bezszelestnie przekradł się między paprocie, wrócił stamtąd szybko i równie cicho, zniemacka machnął ręką, wylewając kubek wody w górę, nad głowę Korka. Sporo kropel opadło Korkowi za kołnierz. I nagle drgnął, oczy jego zabłyśły inteligencją. Zrozumiał swoją pomyłkę.

- Wieem! Żaden rosół nie da się ugotować bez wody! Nawet umyć nie byłoby w czym rąk i tego wszystkiego, co wrzuca się do kotła: mięsa, jarzyn.

Kucharz kiwał smutno głową.

- No właśnie. No właśnie. Woda. Nie wolno tego zapominać. Od wody zależy

lokalizacja całego obozu.

Tadek Pióro przesunął się o krok, dyskretnie dal znak ruchem głowy. Kucharz odpowiedział mrugnięciem. Ogłosił:

- A teraz uwaga. Menażki w garść i pomiędzy liście paproci, chodu! Znajdziecie tam wszystkie potrzebne wiktuały. Cała spiżarnia tam leży. Właśnie druh Błyskawica wykonał tu błyskawicznie zadanie. Wy za jego przykładem zrobicie potrawę jeszcze szybszą: kluski kładzione. Każde z was posłuży się własną menażką. Gotowanie wspólne.

Zatupotało. Paprocie gięły się we wszystkich kierunkach, a pięcioro kandydatów do nowej sprawności żalowało chyba, że natura nie dała im psich nosów. Na szczęście Czarna Stopka wzięła również udział w poszukiwaniach, a gruby ogonek poruszany niezawodną siłą napędową, jaką daje radość, kiwał się w lewo i w prawo, w lewo i w prawo, bezbłędnie wytyczając kierunek. Ognisko już płonęło, trzaskały menażki, wiatr przyniósł woń smażonego boczkusa.

Fobusz tymczasem opowiadał, jak to w zamierzchłej przeszłości, czyli przed rokiem, on sam zdobywał sprawność kucharza.

- Druh pamięta? Kazał mi druh zrobić kluski kartoflane. To ja buch pół torby kartoflanej mąki, wodę, sól i mieszam. A tu klajster się zrobił! Urabiam, ugniatam, ani rusz. Tymczasem woda w kociołku dziwnie syczy, biorę więc trochę w kubek, niosę, pytam: „Druhu, czy ta woda już ugotowana, czy jeszcze trochę?” No! To myślałem później, że się pod ziemię zapadnę ze wstydu, tak mnie wykpiłi. Nawet i babcia miała ze śmiechu łzy w oczach, jak jej w domu opowiedziałem. Ale potem wzięła mnie do pomocy, wszystko z nią razem robiłem i za drugim razem poszło mi gładko. Śpiewająco zdobyłem sprawność. Pamięta druh?

- Oczywiście! Takiego wydarzenia bym nie pamiętał? Ho, ho!

Minęło niewiele czasu na tych rozmowach, a już Korek i za nim czwórka rozgrzanych, zaczerwienionych kandydatów - Irena, Zosia, Marcin i Tymoteusz - biegła, żeby poddać ocenie swoje wyczyny.

Kucharz uroczyście próbował pierwszy, za nim Tadek Pióro, wreszcie Marek Osiński, a na końcu Fobusz. Umówili się wcześniej i teraz wszyscy po kolei robili to samo: brali kluskę do ust, gwałtownie zaciskali zęby, krzywili twarz, oczy wznosili do nieba z wyrazem bezgranicznej zgrozy, usiłowali gryźć, ale dawali znać ruchami rąk i bełkotem, że już otworzyć ust nie mogą.

Pięcioro kandydatów popadło w panikę. Pytająco spoglądali na całą komisję. Trwało złowróżbne milczenie. Czas upływał. Zosia zamrugała powiekami, bliska płaczu. Irena spuściła głowę. I gdyby nie rozpaczliwe znaki, jakie Tadek Pióro zaczął dawać przewodniczącemu komisji, napięcie mogłoby jeszcze wzrosnąć. Ale nagle wszyscy czterej odzyskali siłę szczęk, bez przeszkód poruszali ustami, łatwo pogryzli wszystko, przełknęli, a kucharz oświadczył:

- O mało się nie udławilem. Ale zjadłem. I wy też? Na czysto? Zębów nikt nie połamał. A więc przyznajemy tej gromadce sprawność kucharza?

- Taaaak!

- Tadek, możesz odmaszerować. Marek Osiński pójdzie z tobą. My tu dokonamy drobnych formalności końcowych. Ognisko trzeba ugasić, poskładać żywność, umyć naczyń. Czarna Stopka nam pomoże.

Ledwo Tadek usłyszał to, wsparł się na kulach i energicznie ruszył naprzód. Marek Osiński zdążył się obejrzeć i kiwnąć głową na znak, że rozumiał intencję przewodniczącego komisji: będzie czuwał nad inwalidą.

Nagle Tadek stanął.

- Ich tam już nie ma! Co teraz zrobić?

Marek nie tracił dobrego humoru.

- Spróbujemy wytropić. Tylko patrz uważnie pod nogi. Harcerz powinien wszędzie trafić.

- Pod nogi to ja patrzę, czy tak, czy tak. Ale co z tego?

Marek Osiński roześmiał się głośno. Usiadł, podparł brodę pięściami, nie zmieniał przekornego wyrazu twarzy. Tadek obserwował go, zupełnie zdezorientowany.

- Jak my ich dogonimy? No, co ty? No, co ty? Rusz się z miejsca.

- Nie mogę.

- Co ci się stało? Boli cię co?

- Nic. Ale się nie ruszę.

- No, co ty? No, co ty? Przecież musimy ich odnaleźć - mówił Tadek zmartwiony, daremnie szukając wzrokiem ekipy ratowników.

Marek Osiński powiedział cicho, ale tym razem groźnie:

- Kłapnij i siedź! Ani mru-mru.

Tadek zerknął na kolegę, na jego sznur, gwizdek, na wypłowiały w słońcu i deszczu mundur, na imponujący komplet sprawności. Protestować byłoby trudno.

Złożył swoje drewniane kule, podwinął ostrożnie nogi, tak żeby nie urazić lewej czymś twardym i od razu dostrzegł jasnozieloną zajęczą koniczynę. Lubił jej kwaśny smak, zaczął więc wyrывать najmłodsze, ledwo seledynowe listki, zbierał je w pęczek i gryzł.

Marek Osiński cicho pogwizdywał. Nie mówili nic. Tadek uporał się szybko z zielonym krzaczkiem, a że w pobliżu nie było już więcej tego specjału, rozglądał się uważnie naokoło. Nagle wrzasnął:

- O! O! O!

Marek podniósł głowę.

- Co? Ptaki lecą? Czy samoloty?

Tadek Pióro machnął ręką.

- Gdzieeee tam! O tu, patrz, na ziemi. Znaki harcerskie.

Marek obserwował podnieconego Tacka.

- Znaki harcerskie znalazłeś? A może ci się śni?

Tadek aż poczerwieniał.

- No, jak to? No, jak to? Długa szyszka jest? Jest! I przy niej dwa ukośne pasy z małych szyszek? Więc to strzałka! Dalej ktoś ułożył starannie prosty patyk, nawet

umocował drewnianymi widelkami, żeby wiatr nie zwał. A tu? Prostokąt z trzein, przekreślony po przekątnej. List! List! Obudź się, Marek, idziemy szukać.

Marek wyciągnął rękę, zerwał liść dębu i zaczął na nim cicho grać harcerską melodię: „To nas, to nas wołają w las, a trąbki toon jak dzwon, jak dzwon!”

Tadek Pióro podniósł rękę.

- Cześć, ja idę. Tobie się chce kpiny stroić, a tu znaki harcerskie... list.

Marek zapytał cicho:

- Ile kroków?

Tadek wykrzywił wargi. Rozłożył ręce.

- Zgadnąć mam?

- Eee, kto by tam zgadywał?! Rozejrzyj się, Baba Jaga pełnie tu przez krzaki, sięga do ciebie kosturem spod gałęzi dzikiej róży. Może coś nam powie?

Tadek odsunął się gwałtownie, wołał być trochę dalej od dzikiej róży, chociaż od razu się domyślił, że nie ma tam nikogo. Żart! Ale szyszki ktoś ułożył bardzo starannie w cyfrę 1. I zaraz obok pięknie przekreślona cyfra Obejrzał uważnie cały znak. Rozjaśniło mu się w głowie.

- No, tak! List o siedemnaście kroków stąd. I ty, bestio, nic mi nie mówisz?

- Kto ma robić sprawność, ten odczytuje znaki. Jeżeli zabłądzi w lesie, ominie trasę biegu harcerskiego, no to cześć, ma wszystko z głowy. Musi zaczynać innym razem.

- Marek! Marek! Ty mi tu przemówienie... Tymczasem trzeba zasuwać. Gdzie moje kule? Pójdę pierwszy, tylko ty mi odmierz te siedemnaście kroków, bo ja kuśtykam, omijam dołki, wystrzegam się jeżyn.

- Wiadomo. Ruszaj. Ale patrz uważnie na ziemię, bo las to nie szkolne boisko.

Tadek Pióro wziął wielki zamach kulą, zawadził o pień młodej sosny. Posypało się na nich trochę igliwia. Tadekowi z przejęcia zmienił się głos.

- Doktor Wierusz uczył nas, jak chodzić po żwirze, po piasku, po kamieniach, mieliśmy tam taki nierówny teren. Ale chyba las jest najtrudniejszy. Patrz! Chociażby tu. Korzeń przewróconego pnia jak pułapka. No i pod korzeniem... O, lichu! byłbym ominął, a tu leży list. Zobacz. Ale kawał brzozowego kłoca przytaszczyli! Cwaniaki! Tu, pomiędzy naturalnymi kreskami kory, lecą kreski i kropki alfabetu Morse'a. Czytam, a ty mnie kontroluj, czy nie pokręcę z tego wszystkiego: „Ratun-ku po-mo-cy cho-ry ze zła-ma-ną ręką i z roz-bi-tą głową le-ży w do-le za dę-bo-wym karczem”. Świetnie! Świetnie!

- Ładny z ciebie harcerz! - Marek pokręcił głową.

- Jak to?

- Takie nieszczęście, a ty wpadasz w zachwyt.

- Obandażujemy go. Bandażować potrafię śpiewająco. Tu leży wielki, dębowy karcz. A za nim dół. Eeej! Druhu ranny! Zipie druh?

Za karczem odezwał się ledwo słyszalny, stłumiony jęk.

- Okrooopnie boooli! Moja głowa! Zawroty. Cały świat wiruje. Na pomoc. O-

ooo!!! Już nie wytrzymam. Ratunku!

Potem znowu jęk i wrócił spokój, tylko szum drzew narastał pod uderzeniami wiatru. Tadek Pióro podetknął mocniej kule pod pachy, zaplótł palce na poprzeczkach.

- Idziemy! - zakomenderował tak energicznie jakby był znakomitym chirurgiem na czele gromady asystentów i pielęgniarzy.

Wędrowali długo, nigdzie jednak nie było widać pacjenta. Nagle Tadek stanął tak niespodzianie, że Marek Osiński wyrznął nosem w jego plecy. Na dnie piaszczystej kotliny leżał ktoś w pozie zupełnego bezwładu; twarz miał odwróconą ku ziemi, a skroń umazaną dwoma czerwonymi strumyczkami. Nawet piasek poniżej pełen był gęstych, czerwonych śladów.

Obaj chłopcy wstrzymali oddech. Marek Osiński nie poruszył głowy, tylko samym kątem oka śledził reakcje kolegi. Tadek zbladł, jego wargi pobiełały. Mówił pełen wątpliwości:

- Miał być harcerski bieg. A tu co? Może naprawdę wypadek! O, lichu, Marek, rusz się, przecież on ani zipie...

Zejdźcie po spadzistym, stromym zboczku na dno wądołu, gdzie poskręcane korzenie zasypane piaskiem stanowiły jakby ukryte sidła, niebezpieczne dla Tadek nóg, to była istna przeprawa. Marek posuwał się pierwszy, asekurując ułomnego, powstrzymując go ruchem ręki, skłonny chwycić za łokieć, gdyby to było niezbędne. Tadek opędział się, jak mógł przed tą troskliwością. Chciał wykazać nie tylko własną samodzielność, ale zamierzał co prędzej udzielić pomocy rannemu. Zgrzał się. Krople potu lśniły na jego czole, policzki okrył rumieniec.

- On potrzebuje prawdziwego ratunku. Chyba widzisz?!

Marek obserwował Tadek Pióro z ciekawością. Robi teatr, udaje przejętego sytuacją doktora, czy naprawdę jest przekonany, że rozciągniętemu na piasku harcerzowi stało się coś złego?

Widzieli go doskonale w jaskrawych promieniach słońca, byli coraz bliżej, wystarczyłoby skoczyć biegiem przez wygrzany piasek, ale drewniane kule Tadek grzęzły głęboko, Marek musiał podtrzymywać kolegę, żeby nie stracił równowagi.

Tymczasem pacjent ani drgnął i w Marku zaczął budzić się niepokój. Oddech poruszały mu plecy, dostrzegalna w przegięciu głowy powieka uniosłaby się z ciekawości, kiedy słyszał, że ktoś jest coraz bliżej. A tu nic!

Wreszcie zziązani dotarli na dno dołu. Tadek usiadł, odrzucił kule. Teraz jego ruchy były znacznie swobodniejsze. Wsunął dłoń do chlebaka, coś tam gmerał, podczas kiedy Marek wycierał sobie spoconą twarz. I nagle wrzask! A Tadek Pióro ponawia ruchy ręki, w której trzyma odkorkowaną manierkę. Woda skrapla obfitym strumieniem plecy „zemdłonego”, któremu przytomność wróciła natychmiast i oto przed nimi siedzi o własnych siłach druh Patelnia, usiłując ramionami osłonić się przed upartym prysznicem.

- Idźcie do licha z taką pomocą w nagłych wypadkach!

- Tadek! Ale skąd wzięłeś wodę?! - zdziwił się Marek Osiński.

- Jak to? Szliśmy na trasę ratowników i miałbym zapomnieć o rzeczy ko-

niecznej? Napelnięm sobie manierkę wodą z kuchennych zapasów i teraz widzisz, jak nam się przydała. Zemdlony odzyskał przytomność. Od razu połowę sukcesu tym sposobem uzyskaliśmy, czyli połowę sprawności już mam.

Patelnia był wściekły. Nie panował nad irytacją.

- Sam się wodą pokrop, a nie mnie! - wrzeszczał. - Usnąłem sobie zdrowo na słoneczku, a ciebie lichy przyniosło, żeby mi śmigus-dyngus urządzać w sierpniu?!

Tadek Pióro powiedział stanowczo:

- Pacjent sam nie może decydować, jak ma być leczony. „Usnąłem sobie zdrowo na słoneczku”. Te słowa mogą sygnalizować udar słoneczny. Zaraz się o tym przekonamy.

Patelnia usiłował bronić się łokciami, to jednym, to drugim odpychał nieuniknioną wizję badania lekarskiego, jednak Marek Osiński przywołał go do porządku:

- Druhu Patelnia! Spokój! To jest bieg harcerski. Nawet gdyby Tadek Pióro zaaplikował druhowi podwójną łyżkę oleju rycynowego, wymachiwanie łokciami byłoby daremne. Tu nas wzywały znaki: „Na pomoc! Ratunku!” Więc przybyliśmy, nie żałując trudów ani kosztów i pokonując przeszkody. A teraz, druhu Pióro, proszę czynić swoją powinność. Badać i leczyć pacjenta wedle swojej wiedzy.

Patelnia zdębiał. Wybałuszył oczy na Marka, później na Tadka Pióro. Z podziwem zakolysał się cały. Było mu trochę głupio, toteż nie zdobył się na żaden oryginalny koncept, ale jakaś odżywka dla ratowania honoru była konieczna! Mruknął więc:

- Patrzaj na się. Widzisz no go.

Tymczasem druh Pióro wydobył spory pęk waty, polał go wodą z manierki, a następnie przystąpił do zmywania „krwi” z policzka rannego. Marek Osiński dokonywał ekspertyzy czerwonych kropeł, połyskujących na piasku.

- Nadpsute maliny - zameldował Tadcowi rzeczowo.

Tadek oczyścił już całkowicie skórę „chorego”, przemył wodą utlenioną, przyłożył spory płat gazy opatrunkowej i podtrzymując go lewą dłonią, prawą sięgnął po bandaż. Nie interesowało go nic oprócz pacjenta. Słowa Marka puszczał mimo uszu, tak samo lekceważył szum drzew i ciche stąpanie Łapiducha, który wspólnie z Andrzejem Wróblem bezszelestnie szedł po mchu między brzożami, dokonując inspekcji wszystkich etapów biegu harcerskiego.

Ręce Tadka Pióro wykonywały teraz błyskawiczne wirowanie dookoła głowy druha Patelni, bandaż odwracany umiejętnie, układał się posłusznie, jajowata kula stawała się coraz gładza i rosła, rosła, rosła! Ratownik pracował bez opamiętania!

- Nosa mu nie zabandażuj! Czym by oddychał - Marek Osiński próbował przerwać nadmierny rozpęd młodego sanitariusza.

- W porządku - sapnął Tadek Pióro.

Wetknął koniec bandaża pod opatrunek na szyi druha Patelni, z przeciwnej strony, niż była malinowa „rana”. Marek Osiński cofnął się o krok, potrzywał brodę w garści, wreszcie zawyrokował:

- Obaj spoceni jak myszy. Trudno powiedzieć, kto bardziej się zmęczył : chory czy doktor?

Druh Patelnia popełnił w tej chwili błąd: uwierzył zbyt pochopnie słowom Marka Osińskiego, wygarnął to, co myślał:

- Ja w każdym razie mam tej medycyny dość! I ręka mi się zrosła jak nic, o proszę, mogę nią swobodnie wywijać.

Tu zrobił przepiękny gest, uniósł lewe ramię sierpem nad głową, prawym podparł się w bok.

- I co? - zapytał.

- I nic! - Tadek Pióro łypnął okiem na swojego pacjenta. - Stanąłeś w pozie do mazura, no to zaczynaj. Tańcz i śpiewaj od razu.

- Mogę! Nawet z tym łbem obandażowanym.

Cofnął się na trochę twardszy, równiejszy grunt, ręce ciągle trzymał tak, jak je przed chwilą ułożył i jak zacznie wybijać hołubce mazurowe, aż się próchnica leśna wzniosła. Równocześnie fałszując okrutnie, może dlatego, że miał uszy bandażem opatulone, przyspieszywał niezwykle głośno:

W pierwszą parę ją unosi, a sto par za nimi!

W pierwszą parę ją unosi, a sto par za nimi!!!

Zwróceni do niego twarzami Tadek Pióro i Marek Osiński dostrzegli ze zgrozą jakiś ruch pomiędzy młodymi brzożami, na których tle druh Patelnia wybijał coraz bardziej ogniście swoje mazurowe hołubce. Próbowali szeptem ostrzec kolegę. Na próżno! Żaden szept nie przedostawał się przez warstwę bandaża. Widząc ruch ich ust, Patelnia zapytał:

- Co, jeszcze raz? Proszę bardzo, dla mnie to bedłka! „W pierwszą parę ją unosi, a sto par za nimi!”

W ostatnim hołubcu wziął taki zamach, że nogą wyrznął o kostkę studenta medycyny zwanego Łapiduchem, który właśnie wysunął się razem z drużynowym spomiędzy krzewów i drzewek brzeźniaka.

- Zdaje się - powiedział Andrzej Wróbel głosem silnym, jakby używał tuby ze stadionów sportowych - że za chwilę druh Pióro będzie miał więcej pacjentów do obandażowania. Co to? Uraz głowy połączony z reakcjami psychicznymi pacjenta?

Marek Osiński wyprężył się na baczność.

- Druhu drużynowy, melduję, głowa w porządku.

- Możliwe... możliwe...

Marek informował dalej:

- Teraz Tadek Pióro zajmie się złamanym ramieniem druha Patelni.

Łapiduch przerwał Markowi:

- Wydaje się, że spostrzegam objawy szoku nerwowego.

Patelnia próbował wytrzeć dłonią skronie i policzki, co było jednak utrudnione, ponieważ spod bandaża wyglądały zaledwie oczy, usta i nos.

- O, tak, druh Łapiduch ma rację. Sok! Soku było sporo. Malinowego.

Tadek Pióro zaniepokoił się poważnie.

- Druhu doktorze! Czyżby to było porażenie słoneczne? W takim razie powinienem odwinąć mu głowę. Kompresy. Przydałby się lód, ale skąd wziąć lodu?

Łapiduch słuchał uwag Tadka. Tymczasem Andrzej Wróbel kiwnięciem ręki wezwał do siebie Patelnię i wrzasnął:

- Druh tu śpiewał, o ile się nie mylę, a jeżeli się mylę, to proszę mnie poprawić „I sto par za nimi”. Tak?

Patelnia błysnął radośnie oczami.

- No! Śpiewałem.

- A gdyby druhowi zaproponowano, żeby przeanalizował te słowa pod względem gramatycznym?

Tadek Pióro uniósł brwi. Natomiast Patelnia wcale się nie spieszył.

- Proste jak parasol. Ja stoparzam, ty stoparzasz, on stoparza. My stoparzamy, wy stoparzacie, oni stoparzają.

Zapadło krótkie milczenie. Potem Andrzej Wróbel pochwalił:

- Świetnie! Może jeszcze jakiś przykład?

Patelnia zawołał z entuzjazmem:

- Psze bardzo. Ja noszę kalosze, ty nosisz kalosisz, ona nosi kalosi. Teraz liczba mnoga. My nosimy kalosimy, wy nosicie kalosicie, oni noszą kaloszą.

Tadek Pióro wcisnął głowę między ramiona, czekał, co z tego wyniknie. Tymczasem Andrzej Wróbel zawołał z uznaniem:

- Jak na pacjenta z kontuzją głowy i złamaniem ręki, wcale nieźle. Pogotowie! Do dzieła.

Tadek Pióro nie czuł się już tak pewnie i swobodnie jak przed chwilą, kiedy w obecności samego tylko Marka zajmował się „rannym”. Odchrząknął dwa razy dla dodania sobie odwagi, ukląkł na piasku, bo ta pozycja dawała mu możliwość poruszania się bez kłopotliwych kul. I właśnie wtedy jak olśnienie błysnęła myśl. Wyraził ją krótkim zdaniem:

- Usztywniam złamaną rękę.

Student medycyny zapytał zupełnie cicho, zwracając się do Andrzeja Wróbla.

- Ciekawe, czym...

Tadek udał, że tej wątpliwości nie słyszy. Dziwne: ledwie sięgnął do „złamanej” ręki, znowu stał się kategoriyczny i pewny siebie. Mówił stanowczo, choć niegłośno:

- Marek. Weźmiemy moje dwie kule, zabandażujemy zgrabnie rękę chorego, żeby kości pozostały nie naruszone. Tak, tak, uważaj teraz, dobra! Najważniejsze, nie przesunąć uszkodzonej kości. W porządku, trzymaj, ani drgnij, a ja zaczynam bandażować. I dopóki ci nie powiem, że już, musisz pilnować, bracie, bo tu chodzi o uratowanie chorego człowieka.

Student medycyny przysunął się do Andrzeja Wróbla.

- Jak on się nazywa?

- Patelnia.

- To wiem, u licha! Jak się nazywa to blade chuchro?

- Pióro.

- Kpiny ze mnie robisz? On Pióro, ty Wróbel? Co się wygłupiasz?

- Ale gdzie tam. Tadek Pióro, nasz nowy druh. Amputowali mu lewą stopę w szpitalu. Dostał protezę, coś tylko muszą poprawić.

- Hm. Posłuchaj, Andrzej, to piórko w przyszłości może rozwinąć skrzydła w medycynie. Przypatrz się, z jakim przejęciem, z jaką pasją zabrał się do naszego „pacjenta”. Fachowo i bardzo sprawnie.

- Muszę ci się przyznać, że sam własnym oczom nie wierzę. Ty go widzisz pierwszy raz. Natomiast ja myślałem o nim często. Zdawało mi się, że to już pozycja stracona. Mrówka utopiona w kałuży.

- Tymczasem znalazła sobie źdźbło trawy, lezie do góry. Co zdradza w nim przyszłego pielęgniarza, może nawet chirurga. Wykazuje szybki refleks, umiejętność posłużenia się wszystkim, co ma pod ręką. Sam klęczy, a swoje drewniane kule potraktował jako łupki, ułożył między nimi ramię tego niby-pacjenta i bandażuje fenomenalnie. Jak świetny, doświadczony felczer. Taki starej daty, co to czasami więcej ma wiedzy praktycznej niż młody lekarz.

Andrzej Wróbel kiwnął głową, nie przestając obserwować ruchów Tadka. Łapiduch zapytał:

- A co było z jego nogami?

- To cała historia. Później ci opowiem, wolałbym żeby nie słyszał naszych uwag. On właśnie wtedy po wypadku miał okazję wiele się nauczyć. Tak myślę.

Student medycyny głośno strzelił palcami.

- Słuchaj, stary. Mieć okazję, to jedno. Wielu ma okazję, a figa z tego wychodzi. Ten bladus wykazuje talent. Po prostu wyjątkowy talent. Taki wiór, a jak on pracuje.

- Może, może...

- Co „może”?

- Może tą drogą da się chłopaka wyprowadzić z nieszczęścia?

Było widać, że Tadek Pióro zaopatrzył się w co najmniej dostateczną ilość bandaży. Obok jajowatej głowy Patelni rosła teraz potężna biała maczuga, coraz grubszą, poszerzającą się w zawrotnym tempie.

Nagle pacjent zaczął wierzgać nogami.

- Już dosyć! Co ty, bałwana ze mnie chcesz tu zrobić? Uwziął się, druhu drużynowy, potem owinie drugą rękę i tak po kolei przerobi mnie w śnieżną postać.

Istotnie, teraz wszyscy dostrzegli dziwne podobieństwo zabandażowanego pacjenta do bałwana pęczniejącego szybko w zadymce. Gdyby nie fikające w powietrzu nogi Patelni, można byłoby ulec złudzeniu, że w upalnym słońcu, obok wywróconego karczka dębowego, zjawiała się na piasku śnieżna figura.

Pacjent wołał:

- Druhu drużynowy! Co to ma być? Tadek Pióro popadł w „białe szaleństwo”, jak piszą niektórzy dziennikarze. Sam druh widzi. Druh go powstrzyma, bo ja z gorącą zemdleję.

Marek Osiński złapał Patelnię za nogi, unieruchomił go.

- Spokój! Chory nie ma nic do gadania. Były znaki „ratunku, pomocy”. Tak,

czy nie? Decyduje nasz eskulap, a pacjent musi być grzeczny.

Patelnia szamotał się w dalszym ciągu, próbując uciec. Mamrotał przy tym ponuro:

- Też wymyślił! Eskulap! Może jeszcze pan profesor? Powiedz lepiej: konował od siedmiu boleści. Druhu drużynowy! Druhu Łapiduchu! Litości! Pot ze mnie spływa. Tłusta oliwa.

Nagle „chory” palnął Marka Osińskiego w brzuch swoją obandażowaną, jajowatą głową, skoczył za przewrócony pień i stamtąd, po twardszym gruncie, gnał pomiędzy drzewa do Andrzeja Wróbla.

- Litości! Druhowie komisyjnie mogą stwierdzić, że kandydat na ratownika jest co najmniej nadgorliwy. Rękę mi z barku wyrwie ciężar tych jego drewnianych kul. A jaki jestem spocony! Pływam. Więcej razy nie dam się zrobić za ofiarę wypadku.

Patelnia siadł u nóg drużynowego i sapał:

- Nie ruszę się stąd. Ani mi się śni.

Andrzej Wróbel dotknął ramienia Łapiducha. Porozumieli się teraz bez słów. Obserwowali Tacka Pióro. Siedział na dnie kotliny dysząc ciężko i co kilka minut wycierał sobie czoło rękawem harcerskiego munduru.

Z lasu wyłonił się Franek Fobusz, z daleka widoczny dzięki płomiennie rudej czuprynie, kontrastującej z zielenią.

- Co ja widzę?! - zawołał. - Lekarz i pacjent błyszczą od potu! Szczęście, że babcia dała mi kompotu!

Zbiegł szybko na dół, odkorkował potężny termos i w zakrętce podawał porcję za porcją Tackowi Pióro. Znużony sanitariusz pił, ale przy trzeciej szklaneczce zapytał:

- Czy Patelnię już napiłeś? Nie? W takim razie...

Fobusz uspokajająco zawołał:

- Pij, stary! Dla Patelni też wystarczy. Już go tam druh Łapiduch odwija z bandaży.

- Co? Z bandaży? Beze mnie?!

Tadek Pióro chciał się zerwać, chociaż mu brakowało kul, ale Fobusz w porę położył mu rękę na ramieniu.

- No, no! Możesz polegać na fachowości Łapiducha. Na pewno bandaży nie popłacz.

Tadek machał ramionami zrozpaczony.

- Przecież komisja miała ocenić, czy zasługuję na sprawność ratownika.

Tu już cierpliwość Fobusza wyczerpała się zupełnie:

- Fujaro! Bandażować potrafisz, złamaną łapę wziąć w łupki potrafisz, a jak trzeba ruszyć głową, to ciapa z ciebie?! Przecież tam stoi druh drużynowy Andrzej Wróbel z naszym lekarzem, czyli Łapiduchem. Obejrżeli twoją robotę. Na pewno powiedzieli, że do kitu. Murowane. To jest właśnie komisja!

Tadek Pióro podpierając się dłońmi wolno zmieniał pozycję; odwrócił się na

tyle, że mógł spojrzeć prosto w twarze stojących nad wadołem harcerzy. Właśnie Łapiduch biegł na dół, niosąc w wyciągniętej ręce obie kule Tacka.

- Chodź. Uzyskałeś, chłopie, sprawność ratownika śpiewająco. Powiedz mi, gdzie tak opanowałeś trudną sztukę bandażowania? Czy w zakładzie?

Tadek Pióro zamilkł na dłuższą chwilę, przypasał kule pod pachy, spróbował wstać, a kiedy już udał mu się ten wyczyn, stał pot z czoła i potwierdził:

- No! W szpitalu było mi bardzo nudno. To jedna siostra zorganizowała tak dla hecy mały kurs pielęgniarski. Pięcioro nas uczęszczało. Co my tam godzin przekołołowaliśmy! Pan doktor ordynator początkowo rozgniewał się na siostrę, no, ale później to machnął ręką na nas i pozwolił nam praktykować. Opatrunki zmienialiśmy. Mierzyliśmy temperaturę. Takie różne. Pomoc w nagłych wypadkach, obsługa chorych. Nawet opowiadanie filmów i książek.

Łapiduch przyglądał mu się uważnie.

- Sporo umiesz. I teraz możesz mieć fach w ręce z tego kursu pielęgniarskiego zorganizowanego dla hecy.

Tadek aż głową pokręcił.

- No nie! Fach w ręce? Do fachu to mi jeszcze nauki brakuje, druhu Łapiduchu.

Łapiduch uśmiechnął się do niego.

- Zawsze możesz uzupełnić swoje wiadomości. Mamy tu sporo książek w szkolnej bibliotece.

Policzki Tacka rozjaśniły się. Poszukał wzroku Marka Osińskiego.

- To fajno! Fajno! - mówił zdławionym ze wzruszenia głosem. - Jutro już na pewno dostanę buty... wie druh, ortopedyczne, razem z protezą. Rano mają być gotowe, potrzebna była malutka poprawka, pojedziemy z Markiem odebrać. Przymierzałem, chodziłem w tym nawet, ale coś uwierało. Myślałem, że na biegu harcerskim nie będę już kuśtykał o kulach. Ale od jutra, czy na zbiórkę, czy do biblioteki będę szedł o własnych siłach, kule odstawię do kąta.

Łapiduch słuchał uważnie. Wsadził ręce w kieszenie, a kiedy Tadek Pióro zamilkł, zaczął pogwizdywać przez zęby.

- Jeżeli tak - odezwał się wreszcie, patrząc w zamyśleniu na ułomnego chłopca - to możemy jutro zabrać się wspólnie do pracy. Chciałbyś?

Aż rumieńce uderzyły na twarz Tacka.

- Druhu! Mogę drzewo rąbać i wszystko.

Młody medyk uśmiechnął się.

- Drzewa rąbać nie będziemy. Widzisz, kierownictwo kolonii poprosiło mnie, żebym opracował karty zdrowia wszystkich młodych pacjentów. A ty nie jesteś dla nich obcy. Mógłbyś mi pomóc?

- O, jasne. Przecież oni druha mało znają, to może tak od razu trudno byłoby druhowi dowiedzieć się czegoś, a mnie to każdy po kolei wszystko opowiadał, jak matce. Wszystko, co go spotkało. Po sto razy.

- No właśnie. Interesuje nas historia choroby, a ponadto, w jakim stopniu cho-

roba zaciążyła na ich psychice, czy powracają ciągle do tych samych przeżyć...

Tadek Pióro podniósł palec.

- O, o! Tu jakby druh znał każdego z nich. Opowiadają bez ustanku, można by pomyśleć, że ktoś wciąż tę samą płytę puszcza.

Student medycyny chwilę milczał. Interesowały go spostrzeżenia, które zdążył poczynić Tadek; zwłaszcza że podobno sam o przyczynach własnego kalectwa nie wspominał nigdy.

- Jak sądzisz, a może im ulgę sprawia rozmowa na ten temat z kimś, kto życzliwie słucha?

Tadek wzruszył chudymi ramionami.

- Czy to może sprawić ulgę? Wątpliwe. Prędzej odnowi smutek już trochę zapomniany. Lepiej, żeby przestali. Naprawdę.

Spuścił głowę, potem znowu spojrzął na Łapiducha. Zdawało mu się, że chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nagle buchnął między drzewami dym, a niemal ze wszystkich stron pędzili harcerze, przeskakując pieńki, omijając rowy i doły. Student medycyny obejrzał się, krzyknął zdumiony:

- Pożar! Pali się las! - i wielkimi susami ruszył w kierunku narastającego wołania po drugiej stronie piaszczystej drożyny.

20. Pożar lasu

Na gąszczem krzewów potężniał trzask ostry i coraz głośniejszy, a potem ukazywały się tu i ówdzie płomienie białe i zupełnie przezroczyste, widziane tylko dzięki niepojętemu złudzeniu: drżały pnie, migotały kontury ludzi, kępa ciemnej zieleni roztapiała się w tym falowaniu, podobna do płynącej rzeki. Dołem ruszył dym i pchany wiatrem niósł w sobie garście iskier, ciskając nimi na mech, na smolne gałęzie, na szyszki, na korony sosen i na pożółkłą trawę.

Gwizdki, jakaś ochrypla trąbka, cichły na chwilę i wtedy nad krzykiem biegnących brał górę ów suchy trzask ognia miażdżącego igły sosen, łatwopalne próchno, gryzącego w pośpiechu, sięgającego coraz szerzej i dalej. Płomienie rozpełzały się w zetknięciu z rudym pyłem, ukrytym pod korą na starych pniach, a już ukazywały się także na ziemi, wokół sągu klocków ułożonych wzorowo, zabezpieczonych pionowymi kółkami.

Nagle czerwony słup uderzył w górę ze środka sosnowych gałęzi rzuconych przy drodze, jakby przygotowanych dla wozu, który miał nadjechać tędy, żeby je zabrać.

- A mówiłem, ostrożnie! - wrzeszczał kucharz, poszarzały ze zgrozy.

Leśniczy na rowerze wyprzedził kucharza, twardo napompowane koła lawirowały między grząskością piasku i gęstwą jeżyn. Zeskoczył, zdjął służbową czapkę, wycierał pot rozpostartą chusteczką. Dyszał ciężko. Trwało to zaledwie parę sekund.

- Straż pożarna już jedzie. Z kilku miejsc - odezwał się jeszcze zdyszany leśniczy. - Tymczasem wszyscy do kopania rowów, żeby nie puścić ognia dołem po

wrzosach, po ściółce, po mchu, po jałowcach. To największe niebezpieczeństwo: suche poszycie leśne. Kopać! Kopać rowy!

Schylił się, zniknął za sągiem i po chwili wyrzucił ukryte pomiędzy klockami łopaty, kilofy, piły, siekiery, zostawione tam poprzednio przez drwali. Był już obożny, był Andrzej Wróbel. Od razu padły konkretne rozkazy:

- Czarne Stopy tu, przy drodze. Wiatr idzie na was, uważajcie.

Leśniczy dodał:

- Żeby tylko nie przepuścić ognia na teren waszego biegu harcerskiego!

Drużynowy spokojnie, ale głośno wydawał następne polecenia. Głos jego zwykle donośny, teraz miał zdławione brzmienie. Zdawało się, że wydając rozkazy wzywa na pomoc.

- Żurawie na północnej stronie czworoboku. Białe Foki: zachód. PIHM na wschód. A Kontiki: łączność, obserwacja pożaru i pomoc w miejscach największego zagrożenia. Kopiemy rowy możliwie jak najszerze i głębokie. Ziemia w ogień.

Zanurzył w piasku łopatę, dźwignął i z rozmachem cisnął w płomienie jasny pył. Kucharz pochwycił szufłę, z niesłychaną siłą nagarniał piach i gniewnie miotał w najaktywniejsze miejsca pożaru. Górą szedł ciągle niepokojący trzask ognia, dołem jednakże każdy zastęp już wyznaczał szaniec i czarnoziemem albo piaskiem dławił źródła żywiołu.

- Druhu! Sprzętu brakuje! - krzyczały rozpaczliwe głosy.

Kucharz na sekundę przerwał szuflowanie, zahuczał potężniej niż „oswojony” lew z ogrodu zoologicznego:

- Menażkami brać piasek! A kto ma solidne buty, nie gumki, śmiało deptać.

Zadeptywać!

Na szczęście piasku nie brakowało, tłukli nim w okopcone dołem pnie drzew, zasypywali nowo powstające zarzewie, tłumili każdą iskrę. Piaskiem ugasiłi tłący się coraz ostrzej sąg drzewa, piasek jednak nie zdał się na nic przy stosie zeschniętych gałęzi sosnowych, skąd bił w górę i strzelał iskrami biały, ledwo dostrzegalny, ale groźny słup upału.

- Różgami go! - wrzasnął Patelnia.

Kto mógł, zdobywał długie pędy liściaste, a nawet okazało się, że i gałęzie sosnowe, już osmalone płomieniem, nadają się jako bicz do gaszenia pożaru, byleby tylko ciąć nimi szybko i raz za razem. Coraz większa gromada młóciła płonące gałęzie witekami łoziny, konarami zostawionymi przez drwali, czym kto mógł, bo na obozie harcerskim uczyli się zarówno wzniecać ogień, jak zmniejszać jego zasięg albo całkowicie wygaszać przed nocą czy przed wymarszem z biwaku.

Dalekie ti-diu, ti-diu, ti-diu pędzących przez wertepy beczkowsów straży pożarnej wywołało w nich wzmogoną energię, a zarazem uczucie ulgi. Las będzie uratowany!

Trzask ognia trwał jeszcze w górze, ciągle groźny płomień żarł igliwie sosen i świerków, zwijał i niszczył listowie dębów, spopielał soczyste gałęzie leszczyny i brzozy. Nagle zaszumiała woda, bijąc po czubkach drzew, tam, dokąd nie mogły się

gnąć ani harcerskie zdeptujące buty, ani piasek.

Oboźny krążył razem z zastępem Kontiki, żeby nie przeoczyć jakiegoś nowego miejsca zagrożenia. Nagle zatrzymał pędzącego Błyskawicę:

- Gdzie pacjenci z kolonii leczniczej?!

Urywane słowa ledwie pozwoliły domyślić się odpowiedzi:

- W porządku! Pod opieką druha Patelni.

Oboźny rozkazał wyraźnie:

- Trzymać z dala od pożaru! Wyprowadzić z lasu! Na poole!

Błyskawica kiwnął jeszcze ręką, wołając w biegu:

- Dooo-bra!

Strugi wody szumiały coraz głośniejsze, biorąc górę nad szumem ognia. Powoli otucha zaczęła napępniać harcerskie serca. Groza ustępowała.

Kucharz podniósł głowę, czarnym od sadzy ramieniem przetarł spoconą twarz i zawołał najgłośniejszym głosem:

-Wiwat! Uratowaliśmy las. Górą nasi!

Naczelnik straży pożarnej zmierzył kucharza złym spojrzeniem od stóp do czubka rozwichrzonej czupryny i rzekł dobitnie:

- Cieszyć się nie ma z czego. Dochodzenie wykaże, na jakie ciężkie straty harcerze narazili nasz powiat. Łatwiej zniszczyć taki drzewostan, aniżeli go wyhodować. Ile to lat mozołu, zanim urośnie bór.

Leśniczemu krew uderzyła do głowy.

- Tylko nie harcerze! Co to, to protestuję. Sam wytoczyłem im teren ćwiczeń i sam uważam od rana. Widzę każdy krok.

Ale król strażaków odwrócił się z brzydkim grymasem.

- Eee tam! Trzeba być nieżyłowym, żeby mieć takie słabe pojęcie, z czego pożary wybuchają. Wystarczy iskra.

Leśniczy stuknął kilofem w ziemię.

- Tak. Ale tu, na tej drodze piaszczystej, kończył się ich teren.

Uśmiech naczelnika straży pożarnej był pełen ironii.

- Na papierosa któryś wywiął za ten sąg drzewa. Dochodzenie wyjaśni, jak było. Każdy zezna, gdzie się znajdował w momencie, kiedy zobaczyliście ogień. Zajęcia odbywały się w grupach, prawda? Milicja łatwo znajdzie sprawcę.

Kucharz uniósł czarne, spracowane ramiona, umazane sadzą.

- Ludzie! Zamiast w górę podskakiwać, że las uratowany, wy do kłótni. Dochodzenia jakieś! Mogą być i dochodzenia, dlatego nie? Tylko najpierw dajcie odpocząć.

Zwałił się na mech i dyszał ciężko, rozmazując palcami sadze i krople potu. Inni pokładli się również. Leśniczy nieopatrznie powiedział to, co było prawdą, chociaż rozsierdziło do reszty naczelnika:

- Zanim straż przyjechała, my tu już wspólnymi siłami pół roboty odwaliliśmy, jeżeli nie więcej. Teraz nasza młodzież musi wypocząć.

Oczy naczelnika aż zbieleły od gniewu. Ale zanim zdążył otworzyć usta, ku-

charz oświadczył:

- A najważniejsze, to skoczyć tam, za ten wykarczowany pień dębu i pomóc Tadekowi Piórze wyleźć z piachu. Przecież on został na dole wykrotu. Sam nigdy się stamtąd nie wygrzebie, ani o kulach, ani bez kul.

Oboźny uspokoił go:

- Patelnia ma pod opieką tych z kolonii.

- Patelnia? - zawołał Felek zdumiony. - Byłem tam u nich i sprawdzałem, czy im się nic nie stało. Wszyscy są oprócz Tadeka. No właśnie, o wilku mowa, a wilk tu, Patelnia idzie.

Drużynowy zapytał:

- Tadek Pióro został na polu razem z innymi pacjentami?

Patelnia rozłożył ręce.

- Tadek? On pewno siedzi tam, gdzie mi robił opatrunek, w tym wądole piaszczystym. U nas go nie było.

Marek Osiński zerwał się pierwszy. Łapiduch za nim. Cały zastęp Czarnych Stóp, umazany sadzami, gnał na wyskoki, z Maćkiem Osą na końcu. Kucharz podążał równie szybko, sadząc olbrzymie susy. Patelnia kroczył najwolniej, w charakterze wdzięcznego pacjenta, który jeszcze tak niedawno miał głowę i rękę osnute grubym kokonem bandaży. Teraz wydawało się, że bez obawy człapie na spotkanie z Tadekiem.

Stanęli nad piaszczystym dołem. Rozejrzeli się po krzakach. Pusto. Fobusz odezwał się szeptem pełnym niepokoju:

- Czyżby i on? Do pożaru?

Marek Osiński niecierpliwym gestem uciszył Fobusza, potem zawołał:

- Tadek! Halo, Tadek! Odezwiąj się!

Milczenie. Spokój tego miejsca nagle wydał im się dziwny. Spojrzeli po sobie. Zaczęli go wzywać jeden przez drugiego:

- Tadek, odezwij się, tu mówi twój pacjent, obandażowany dziś na perłowo, Patelnia!

Marek Osiński zażartował z przymusem:

- Ba! Nabrałeś Tadeka, jak udawałeś rannego, teraz on chce nabrać nas wszystkich. Schował się gdzieś i tyle.

Kucharz rozsunął druhów na dwie strony.

- Co wy, jak pragnę zdrowia! Nabierałby nas, kiedy wróciliśmy od gaszenia pożaru? Co wy? Naprzód! Idziemy go szukać.

- Odezwiąj się, Tadek!

- Hej, Pióro, gdzie jesteś?!

Bez odpowiedzi. Ruszyli w dół po stromym piaszczystym zboczu. Od strony leśnej dróżki zbliżał się oboźny z drużynowym, a za nim wolno szedł komendant straży pożarnej, zaintrygowany niepokojem harcerzy.

Nagle krzyknął:

- Jest! Jest!

Obejrzel się wszyscy. Palce komendanta wskazywały zagłębienie piasku,

gdzie poprzednio Tadek Pióro kłęczał, bandażując głowę i ramię Patelni. Teraz jednak to miejsce było puste. Komendant powtórzył:

- Mam! Stać w miejscu!

Początkowo nie rozumieli. Dalsze słowa zdumiewały ich również.

- O, tam leży papieros. A nie mówiłem, kto podpalił las?! Ani kroku dalej.

Milicja sama zbada, czyje palce trzymały tego papierosa.

Nagle Marek zawołał radośnie:

- No, widzicie tego drapichrusta?! W ostatniej chwili się skrył, jak usłyszał, że już po strachu z pożarem. Wylaż! Albo my wszyscy pójdziemy do ciebie.

Z daleka omijając niedopałek papierosa, ruszyli prosto w stronę rosochatych korzeni dębowego pnia. Od strony pogorzelska nadbiegały już pozostałe zastępy. Otoczyły wykrot ze wszystkich stron. Znow odezwały się głosy:

- Hej, Tadek! Wylaż!

Ale naokoło było cicho i pusto. Leżały tylko zmierzwione bandaże i chusta harcerska.

21. Gdzie Tadek?

Z ulgą przyjęli urywane sygnały następnych wozów straży pożarnych. Omięła ich przyjemność meldowania, że już uporali się z ogniem i że straty nie są wielkie. Mieli teraz inne kłopoty. Biegli na piaszczystą drogę, do samochodów, ożywieni jedną nadzieją: może Tadek Pióro wskutek jakiegoś niezrozumiałego zbiegu okoliczności jedzie razem ze strażakami? Może jest w ostatnim aucie milicyjnym? Ale nie było go nigdzie.

Zaczęli więc wypytywać, krzycząc w ogromnym podnieceniu, wrzawę czynili wielką, bo każdy chciał sam informować, jak wyglądał Tadek, i sam usłyszeć odpowiedź, czy ktoś widział chłopca o kulach, idącego przez mchy i wertepy.

Oficer milicji uciszył ich ruchem dłoni, a potem wymówił słowa, po których umilkli:

- Przeszukać dokładnie pogorzelsko. Miejsce koło miejsca.

Kucharz ugiął się pod tymi słowami, jego zawsze pogodna twarz nabrzmiała gniewem.

- A skąd mógłby się on znaleźć na pogorzelsku?!

Następne słowa były skierowane w przestrzeń.

- Wykonać natychmiast.

Ruszyli wszyscy: strażacy, milicja, harcerze, ludność z okolicy. Teren był niewielki, ziemia świeżo przekopana, zmoczona wodą. Kucharz aż jęknął, kiedy wtknięto mu łopatę w garść i zachęcono do rozgrzebywania wałów z piasku i leśnej próchnicy. Sapnął zrozpaczony.

- Serce się we mnie kraje na samą myśl. Polecieliśmy do pożaru, nikt o Tadku w tym rwetesie nie pamiętał, a co się z tą chudziną mogło stać?

Marek Osiński zaczął odtwarzać szczegóły ostatnich godzin:

- Przecież myśmy go widzieli do końca. Ja, druh Wróbel, druh opieka lekarska. Jak wybuchł ten krzyk, że pali się las, nawet nie pomyśleliśmy o Tadku. Nic mu zresztą nie groziło, kotlina pełna piachu, zacisznie, tu pożar na pewno nie zajrzał.

Leśniczy zbliżył się do Marka.

- Mógł się przerazić. Gorąco, trzask ognia, to robi wrażenie.

Lapiduch oświadczył smutno:

- Zwłaszcza jeżeli zetknie się z tym kaleką. Jak ja go mogłem tak zostawić!

Opieka lekarska!

Jakiś młody strażak twierdził z uporem:

- Uciekł! Wpadł w panikę. Takie wypadki widzujemy ciągle, jak się pali. Szok, ludzie nie myślą, co robić. Uciekają. Zwierzęta nawet uciekają.

Kucharz rozłożył ręce.

- No tak. A kule?

Strażak uśmiechnął się z politowaniem. Na wszystko miał odpowiedź.

- Schował sobie, żeby mu nie zginęły. Leżą gdzieś. Sam czołgał się przez te piachy. To jasne. Pełził na czworakach, byle dalej stąd.

Leśniczy pokiwał głową.

- Może... może...

Marek Osiński nawoływał swoim sposobem: a-hu-hu!!! Fobusz rozwinął wszelkie talenty, gruchał, udawał kukulkę, słowika, wydawał jakieś dziwne świsty, wyjątkowo głośne. Zniemacka napadł go druh groźny oboźny, chwycił za bary i potrząsnął:

- Albo natychmiast przestaniesz, albo cię wyślę biegiem z przysiadami do harcówki. Jak można tropić przy podobnym hałasie? Gdzie ty masz głowę przyszytą, Fobusz, jeżeli najprostszych, elementarnych rzeczy nie pojmujesz?! Ciszka ma być! Musimy nasłuchiwać.

Franek Fobusz wybałuszył oczy, potem uśmiech porozumienia rozjaśnił jego rysy. Przycisnął dłonie do ust i schylony, ostrożnie ruszył pomiędzy drzewa. Nagle stanął, obie ręce wyciągnął na boki, jakby się bawił w ciuciubabkę. Wolno zawrócił w stronę oboźnego. Twarz miał napiętą wyrazem skupienia.

Z daleka rozległo się wyraźne:

- Ku-ku! Ku-ku! Ku-ku!

Fobusz rozglądał się naokoło. Z przykrością stwierdził, że wielu druhów daje mu znaki, ba, niektórzy wygrażali pięściami, było też paru stukających się palcem w czoło. Ten gest najbardziej upokorzył Fobusza. Jednak dopiero wygląd oboźnego spowodował, że pod Frankiem ugięły się nogi, bo groźny wydawał się w tej chwili, naprawdę groźny, czerwony z gniewu i gotów rozszarpać zuchwalca.

- Fobusz! Ostrzegłem cię. To nie żarty. Znowu kukasz?!

Franek nie śmiał otworzyć ust, na migi tylko pokazywał, że on ani pisnął. Wargi miał zagryzione, wciągnięte do środka, musiał ktoś inny kukać. Ale kto?

Marek Osiński stanął przed Fobuszem, trzasnął dłońmi w gniewie i wołał szeptem:

- W całej naszej drużynie takiego barana nie ma, żeby kukał w sierpniu. Tyłko ty jeden! I jeszcze teraz, kiedy mamy nasłuchiwać, szukać Tadka Pióro.

Fobusz przecząco potrząsnął głową. Jego zwykle roześmiane oczy były wyjątkowo poważne. Tymczasem patrząc na milczącego Fobusza, wyraźnie usłyszeli stłumione, odległe:

- Ku-ku! Ku-ku! Ku-ku!

Las odpowiedział echem z innej strony swoje czarodziejskie:

- Kuuuuu-kuuuu! Kuuuu-kuuuu! Kuuuu-kuuuu!

Zdębieli. Powstrzymali się od słów.

- Nie. Jednak nie Fobusz - odezwał się szeptem Felek, nastawiając uszy pod wiatr. Ale natychmiast uciszyli Felka machaniem rąk. Mimo wszystko bacznie obserwowali Fobusza.

Drużynowy Andrzej Wróbel umiał mówić niemal samym oddechem. Usłyszeli każde słowo:

- Nawet gdyby Fobusz był brzuchomówcą, to jednak widzicie chyba, że on nie kuka.

Felek podniósł wysoko dłoń. Odezwało się wyraźne, choć dalekie:

- Ku-ku! Ku-ku! Ku-ku!

Znów echo powtórzyło z przeciwnej strony, przeciągłe i złudnie:

- Kuuuu-kuuu! Kuuu-kuuu! Kuuu-kuuu!

- Trzymajcie mnie! - wrzasnął kucharz i z podniecenia wykonał kilka ćwiczeń gimnastycznych. - To on!

Nikt nie śmiał zapytać, kogo druh kucharz ma na myśli. Bo tylko partyzant Leśne Oko mógłby robić podobne „zmyłki”, a i to w sierpniu na pewno nie zabrałby się do kukania. Więc kto? Kto?

- Cyt. Znowu.

- Ku-ku! Ku-ku! Ku-ku! - wołał głos uparcie.

Kucharz tym razem nawet nie zwracał uwagi na echo, które odpowiadało kukaniem z przeciwnej strony lasu. Chwycił lewą ręką pelerynę drużynowego Andrzeja Wróbla, prawą trzymał za guzik oboźnego. Przyciągnął ich do siebie. Szeptął, żeby nie przeszkadzać w nasłuchiowaniu. Jego szept miał siłę sapania lokomotywy.

- Dziś rano Tadek usłyszał kukanie Fobusza. Śmiał się nawet z tego. Wszyscyśmy się uśmiali, bo Fobuszowi pomyliły się zwyczajnie kukułek i miesiące. Teraz na pewno Tadek daje nam hasło. Na pewno. Jazda w stronę kukania.

Drużynowy powstrzymał kucharza, zamknął oczy, chwilę posłuchał dochodzącego już teraz niemal bez przerwy sygnału:

- Ku-ku! Ku-ku! Ku-ku!

Byli zgodni w sprawie oceny kierunku.

- Tak jakby na południe stąd. Las jednak potrafi zmylić, wobec tego rozchodzimy się znowu w cztery strony świata. Czarne Stopy na południe, bo to ich druh zginął. Białe Foki na północ.

Fobusz miał ochotę wyskoczyć z dowcipem, „bo tam zimno”, powstrzymał

się jednak w porę.

Drużynowy mówił dalej przyciszonym głosem:

- Żurawie na zachód, PIHM na wschód. A wy, Kontiki, zostajecie tu, w okolicy piaskowego jaru, zachowujcie jednak całkowity spokój i zajmijcie stanowiska nieodręgalne, wsiąknijcie zupełnie pomiędzy krzewy. Na pozór powinno tu być pusto.

- Rozkaz, druho - szepnęli chłopcy z zastępu Kontiki.

- No, to znikajcie - powiedział oboźny szeptem, co uznano za fenomen, bo zwykle krzyczał potężnym głosem. - A my też idziemy. Czarne Stopy, zamierzam się przyłączyć do was.

Puma oświadczył:

- W takim razie ja będę Pumożurawiem.

Hindus odmeldował się i wyruszył z PIHM-em. Kucharz, Andrzej Wróbel i Łapiduch równocześnie zgłosili gotowość marszu z Czarnymi Stopami.

Po chwili zapanowała kompletna cisza na polanie. Jeszcze tylko zastępowy Kon-Tiki, druh Puchatek, zsalutował odchodzącym, a potem zniknął.

Andrzej Wróbel się spieszył, skrzydła nieodstępnej, szerokiej peleryny zdawały się go nieść. Ledwo minęli pogorzeliśko i gęstą za nim ścianę leszczyny, obsypanej dużymi już orzechami, tkwiącymi w zielonych, strzępiastych krezach, drużynowy stanął, zatrzymał wszystkich, dał znak sapiącemu kucharzowi:

- Tak. Idziemy we właściwym kierunku. Wyraźnie sygnał narasta, jest bliżej.

Maciek Osa dał rozkaz:

- Bieg w rozsypce. Trzeba uważać, żebyście nie minęli Tadka. Na mój znak stanąć i nasłuchiwać.

Fobusz musiał dodać swoje trzy grosze, inaczej nie byłby sobą:

- Felek, uważaj! Uszy na radarowy odbiór.

Rozpoznawali dalekie jeszcze, stłumione ścianą drzew, ale już coraz wyraźniejsze wołanie:

- Ku-ku! Ku-ku! Ku-ku!

Marek Osiński dawał znaki, mówiąc ledwo dosłyszalnie:

- Druhu! To jest on. To nasze Piórko. Mur-marmur!

Łapiduch próbował ostudzić zapal harcerzy.

- Bywają złudzenia, zwłaszcza w lesie. Czasami słyszy się to, co pragnie się słyszeć.

Kucharz odpowiedział pomrukiem słońca:

- No, jedno jest pewne, że to nie kukulka nas wabi. A drugiego Fobusza też wątpię, żebyśmy spotkali.

Fobusz odkrzyknął z gniewem:

- Dostyc! Taki głupi nie jestem, żebym tyle czasu kukał w sierpniu, przecież od razu się połapałem dziś rano, że to nie wiosna. Miałem chwilowe, leśne zaćmienie pamięci.

Kucharz aż przysiadł z uciechy.

- Tak? Zaćmienie pamięci miałeś? Obudził cię nasz wybuch śmiechu?

Maciek Osa dał znak. Umilkli.

- Bezwzględny spokój - rozkazał zastępowy. - Stać!

Ostry gwizd zagłuszył wszystko na parę sekund, nie było słycać kukania. Spojrzeli po sobie pełni lęku.

- Pociąg? - szepnęła Marek Osiński. - Ktoś zabrał Tadka pociągiem? Co to wszystko znaczy?

Felek uśmiechnął się zwycięsko.

- Nikt go nie zabrał! Usłyszałem kukułkę.

Czekali w napięciu. Łoskot i gwizd przejeżdżającej lokomotywy zagłuszyły jednak wszelkie inne odgłosy. Chwilowo nie potwierdziły się obserwacje Felka, daremnie wycęzali słuch.

Maciek Osa wydał komendę:

- Naprzód!

Z zachowaniem największej ostrożności, ruszyli przez krzaki. Las przeredził się nagle, było jaśniej, a wkrótce, po kilkunastu krokach, zobaczyli mnóstwo drewnianych stożkowatych stojaków, wykonanych z kostropatych drągów. Te prymitywne konstrukcje przykrywała koniczyna, przywędła, ciemnozielona, z purpurowymi supełkami kwiatów. Pociąg odjechał, ucichło jego łomotanie, w okolicy panował zupełny spokój.

Maciek Osa przyłożył gwizdek do ust, lekko dmuchnął.

- Fobusz! Wołajcie Fobusza - powiedział.

Franek zjawił się bezszelestnie, jakby przyleciał ptak. Był wyjątkowo poważny.

- Słucham - oznajmił bez wydania głosu.

- Rób kukułkę - rozkazał Maciek Osa, potem zaczął rozpaczliwie bić pięścią w kolano, co wyrażało głęboki namysł. - A może innego ptaka? Zastanówmy się chwilę, jaki sygnał byłby najlepszy?

Franek stanął na baczność.

- Druhu zastępowy. Już obmyśliłem. Kogut, a zaraz potem dziki gołąb. Znow gołąb i potem kukułka.

Marek Osiński pokiwał głową.

- Zdaje się, że możecie sobie do rana piać i gdakać. Za późno! Pociąg odjechał. Ktoś uprowadził Tadka Pióro.

Rzeczywiście, było teraz niezwykle cicho, tylko świerszcze cykały na skoszonym łanie koniczyny. Obożny zdecydował.

- Trudno. Trzeba spróbować. Piej, Fobusz!

Artystyczne, wspaniałe „ku-ku-rykuuuu!” wybuchło głośną fanfara i długo nie milkło. Nawet oczy Franek przymrużył, zgodnie z kogucim obyczajem.

Student medycyny zagwizdał z podziwu:

- Masz płuca, kolego! Dinozaur nie zapiałby głośniej.

Franek obojętny był teraz na pochwały i dowcipy, zrobił krótką przerwę, po której rozległo się gardłowe, stłumione pohukiwanie dzikiego gołębia. Znowu następ-

ne pianie, jeszcze bardziej dinozauropodobne.

Marek zacisnął pięści.

- Spóźniliśmy się. Pociąg odszedł. Nieprędko zobaczymy Tadka. Może nigdy.

To jasne, że ktoś go zabrał.

I nagle ledwo dosłyszalne kukanie. Obożny chwycił Fobusza za rękę.

- Spróbuj głośniej! Głośniej!

Franek Fobusz otworzył oczy ze zdumienia.

- Druhu! Przecież to nie ja.

- Co? Jak to?

Znowu kukanie. Lękliwe, dalekie. Maciek Osa dłonią palnął się w głowę.

- Bądź tu, człowieku, mądry. Gdzieś daleko teraz kuka. Gorzej słycać, niż jak byliśmy w lesie.

Felek dał znak. Wycęzał słuch, jego szerokie uszy wydawały się większe niż kiedykolwiek. Ale właśnie wtedy Marek wyciągnął rękę w stronę koniczynowych stożków.

- Patrzcie! Widzicie go? Widzicie wy tego zająca?

Nie dostrzegali jeszcze nic. Marek pokazywał palcem.

- Uwaga. Trzecia, czwarta, piąta kopka od strony semaforu. Tam się coś rusza.

Zenek odwrócił się zniechęcony.

- Ee! Może pies?

Felek oburzył się strasznie.

- A może pies? Uszy wam słoń przydepnął, czy co? Przecież on kuka, tylko jakoś ostrożniej.

Maciek Osa rozłożył ręce, zupełnie zdezorientowany:

- Dlaczego ma ciszej kukać?

Obożny ruszył naprzód ścieżką przy gęstej ścianie krzaków, osłaniających go całkowicie. Dał ręką znak, żeby się garbili biegnąc jego śladem.

- Za parę minut będziemy przy koniczynie! Wszystko się wyjaśni. Szybko! Szybko!

Szli wielkimi krokami, gęsiego. Potem zaczęli gnać, kiedy rozpoznali, że to, co się gmerze pod wysokim stojakiem, to nie pies, tylko chłopak.

- On?

- Nie on?

- Koniczyna zasłania głowę, trudno poznać.

Maciek Osa ledwo dotknął wargami gwizdka.

- Słuchajcie. Tadek się przed kimś ukrywa. Mam nadzieję, że nie przed nami. Może jednak ktoś z was zrobił mu krzywdę?

- Nigdy! - zawołał Marek.

- Skąd?! - uzupełnił Fobusz i nagle czerwien uderzyła mu na policzki; przecież on pierwszego dnia nazwał Tadka kuternogą.

Drużynowy bezszelestnie posuwał się wzdłuż linii krzewów, stanowiących

idealny żywopłot. W ten sposób cała grupa niepostrzeżenie osiągnęła pierwszy stóg suszącej się koniczyny. Fobusz cichutko zakukał.

Wówczas ukazała się istota ludzka, wyłaząca na czworakach spod kopy ziel-ska. Wzrok istoty niespokojnie lustrował okolice, zwłaszcza od strony stacyjki w polu, gdzie jednak było zupełnie pusto. Ręce posunęły się więc naprzód kilkoma ruchami. Teraz już nie mieli najmniejszej wątpliwości, kto to jest. Tadek! Ich nowy druh. Usiadł i zaczął przywoływać ich kiwaniem dłoni. Dawał znaki, nie mogli go jednak zrozumi-eć.

Zastępowy podjął decyzję:

- Marek Osiński pójdzie ze mną. Wy tymczasem obserwujcie dokładnie oko-licę. Jakby coś, Fobusz robi wilgę.

Mknęli błyskawicznie po zielonym tle, można by pomyśleć, że płyną przez wodę. Narada przy stogu koniczyny trwała niezwykle krótko. Chwycili Tadek pod pachy, założyli sobie na szyję chude ramiona chłopca i wyrównanym krokiem wracali. Żywopłot osłonił ich po chwili, druhowie podbiegli naprzeciw, żeby wreszcie coś zrozumieć.

Tym razem bladeść odmieniła zupełnie twarz Marka Osińskiego. Rozlatany-mi oczyma patrzył kolejno po wszystkich obecnych.

Zastępowy Maciek Osa zwrócił się do drużynowego:

- Nawiewamy do lasu, czy tu robimy wypoczynek?

Andrzej zapytał rzeczowo:

- Powiedz najpierw, co jest?

- Ojczym - oznajmił Maciek w gniewie. - Mało mu było tego, co zrobił chło-pakowi. To go jeszcze wytropił i właśnie czeka na otwarcie kasy dworcowej. Chce Tadek przemocą zawieźć pod Orzysz.

Łapiduch pytał zdenerwowany:

- Tak długo siedzi na dworcu?

Tadek Pióro uśmiechnął się kątami swoich wąskich ust.

- E, bo tam na pewno jest bufet. A pociąg ma być nad wieczorem.

Obożny patrzył wyczekująco na druhów.

- Chłopaki! To jak?

Upłynęło tylko parę sekund. Maciek Osa skonkretyzował pytanie:

- Nawiewamy z Tadeuszem czy poczekamy trochę?

Kucharz zadudnił groźnie:

- Dobrze byłoby zaczekać. I pogadać z gościem.

Andrzej Wróbel pochylił się nad roztrzęsionym chłopcem.

- Słuchaj, Tadek. Więc jak to jest z twoim ojczymem? Podobno miał być w więzieniu?

- Tak, ale po zniwach. Sąd uwzględnił. Żeby plony zebrał.

Obożny zacisnął pięści.

- Nieźle wykorzystuje zaufanie władzy. Trzeba go przycisnąć do muru. Mu-simy zrobić wywiad, skąd on się tu wziął i po co przyjechał.

Andrzej Wróbel dodał:

- Popieram ten projekt. Ale Tadek zabierzcie.

Teraz obożny objął komendę.

- W takim razie proponuję: zastęp Czarne Stopy robi w tempie błyskawicz-nym lekkie nosze. Tadek, jesteś osłabiony, nie protestuj. Kto ma trochę witamin, cu-kru?

Fobusz otworzył chlebak.

- No, jak to? Druhu obożny! Moja babcia o wszystkim pamiętała. Mógłby ją druh wciągnąć do koła przyjaciół harcerstwa.

Drużynowy przyznał:

- Niech żyje babcia! Tadek, wecinaj.

Obożny trzepnął w ramię drużynowego.

- Mam plan. Zajmę miejsce Tadek Pióro pod stojakiem koniczyny. Wy ukry-jecie się częściowo pod innymi kopkami, częściowo tu. Jeżeli gość przyjdzie, zajrzy pod kopkę, to się narwie. Teraz na stanowiska. Maciek, problem noszy na twojej gło-wie.

Zastępowy rozeźmiał się.

- Nosze na mojej głowie, dobra jest. Grunt, że Piórko znowu na mojej głowie. Chce ci się pić? Mam tu herbaty ze dwa łyki w manierce. Bierz. Odpowiedzialny je-stem wobec lekarzy z Ośrodka za to, że Piórko wróci zdrowo z biegu harcerskiego.

- Idzie! - ostrzegł ich Zenek. - Tam, wzdłuż torów. Idzie ten gość.

- Nie, to kolejarz - uspokoił druhów Tadek. - Coś tu reperował przy szynach i teraz wraca.

Obożny poprawił gwizdek na szyi.

- Wszyscy na stanowiska - powiedział twardo i ruszył pierwszy w kierunku piątej od strony semafora kopki.

Drużynowy pośpieszył za nim. Odwrócił się w ostatniej chwili, zrzucił pele-rynę z ramion.

- Przyda się wam na nosze. Bo nikt z nas nie zabrał koca.

Druh groźny obożny przebiegł do stożka suszącej się koniczyny i zwinnie wpelzł pod konstrukcję drewnianego kozła, gdzie przedtem siedział Tadek. Drużyno-wy zajął takie samo miejsce pod sąsiednią kopą. Kucharz wziął rozpęd, ale wyprzedził go student medycyny, zajmując kopę z drugiej strony obożnego.

- Druhu kucharzu! Druhu kucharzu! Tu, bliżej nas - wołał cicho Maciek Osa. - Bardzo dobre stanowisko.

Rad nierad kucharz przecwałował z powrotem, usiłując wleźć pod bliższą kopkę. Czarne Stopy ze zgrozą czekały, przekonane, że cała konstrukcja trzęsąca się na plecach grubasa runie lada chwila, psując idealnie prosty szereg i demaskując har-cerzy. Jednak brzuchacz przeniknął do środka i pole wyglądało znowu, jakby zupełnie puste, usiane tylko stożkowatymi kopkami.

Gdzieś w oddali zagwizdała lokomotywa. Tadek uśmiechnął się szczerząc nierówne zęby. Wydał im się bardzo sympatyczny i bliski.

- No! Nigdzie nie pojedę.

Fobusz pochwalił go:

- Dzielny chłop jesteś. Kukaleś a kukaleś, bracie!

- Jasne! Wykukalem was - odpowiedział Tadek z radością. - Bo jak Franek zakukał dziś rano, było tyle śmiechu. To już wiedziałem, że zgadniecie, kto to. Na pewno nie ptak.

Czas upływał i zaczął się chłopcom dłużyć.

- Czekać czy nie czekać - myślał głośno Felek, zajęty umacnianiem kijów noży za pomocą sznura, którego spory zwój miał w kieszeni. - To może potrwać parę godzin.

Zanim jednak ukończyli pracę, Tadek ściągnął wargi, przerażenie rozszerzyło mu źrenice.

- Tam idzie. Tam. Uwaga! Niesie moje kule pod pachą.

Maciek Osa nie stracił spokoju. Wydał zastępowi rozkazy:

- Kłaść się za żywopłotem. I nie ma was, rozumiecie? Dopóki nie zagwizdzą.

Zniknęli. Teraz dopiero, leżąc płasko na trawie, dostrzegli wyraźnie, jak mądrze ulokował się groźny oboźny. Strategia oboźnego polegała na wytknięciu w stronę stacji kolejowej zgiętego łokcia w mundurze harcerskim.

Ojczym Tadek szedł bez pośpiechu. W nie obciążonej kulami ręce niósł kieszony ogórek. Pogryzał duże kęsy, oblizując palce. Najpierw jego cień, a potem on sam zbliżył się do stojaka.

Fobusz położył dłoń na drżących palcach Tadeka. Były zupełnie zimne. Mężczyzna zawołał:

- No wylaż. Mam już bilety. Dla ciebie też.

Oboźny ukryty pod koniczyną nie drgnął nawet.

- Usnąłeś? Wylaż. Nie bój się. Za tę rentę, co ci daję ZUS, kupimy sobie telewizor albo wersalkę. Może wystarczy na to i na to. Wylaż, wylaż, nie rób zgrywy. Jeszcze by motorower można było dostać jakiś używany.

Spokój i bezruch. Ojczym Tadek spojrział na wytknięte spod koniczyny ramię, kopnął je lekko.

- Wylaż! Ogórka chcesz? No? Dobry ogórek!

Tu Maciek Osa przeżył trudną chwilę. Na szczęście zdążył w porę zacisnąć sobie usta garścią, żeby tamten nie dosłyszał jego śmiechu: zanim oboźny został oboźnym, nazywano go w drużynie „ogórek”, ale pseudonim doprowadzał go do pasji, stanowił bowiem aluzję do nosa zbyt ogórkowatego w swoim kształcie. Teraz więc zrozumieli, że bezruch oboźnego jest okupiony sporym wysiłkiem woli. Mężczyzna jednak utracił cierpliwość. Odsunął się trochę i z rozmachem kopnął znów oboźnego w ramię. Cios musiał być tym razem przykry, jeżeli but uderzył w łokieć, bo ramię zniknęło o natychmiast.

- A widzisz! Nie śpisz jednak. Moje sposoby działają najlepiej. Co?! No, wylaż, wylaż, nie bądź głupi.

Schylił się, przez chwilę szukał czegoś naokoło, podniósł konar sosnowy, wa-

żył go w ręce machając kilka razy, wreszcie ukląkł i zaczął dźgać pod kopkę. Tymczasem oboźny wyczołgał się z przeciwnej strony, sięgnął po swój gwizdek, przyłożył go do ust i dmuchnął potężnie.

Ojczym Tadek poderwał się na nogi, zdezorientowany.

- Pan mnie obudził - powiedział oboźny ziewając. - Usypiałem właśnie. Czego pan sobie życzy, panie Osteń?

Tamten świsnął kijem w powietrzu. Był to na pewno silny mężczyzna. Powiedział schylając kark:

- Tylko bez kawałów, dobrze?

Stali na wprost siebie w tej nieznosnej pozycji, którą przyjmują koguty zdecydowane walczyć albo zdecydowani walczyć mężczyźni. Oboźny też pochylił głowę i patrzyli sobie teraz w oczy z bliska. Harcerz powtórzył słowa przeciwnika:

- Tylko bez kawałów, dobrze?

Tadek przyłożył usta do ucha Fobusza:

- Przecież on ma nóż. Druh oboźny nie wie.

Mężczyzna posunął się o krok. Teraz niemal stykali się czołami. Rozwścieczony człowiek zawołał ochryple:

- Gdzie Tadek? Cooo?!

Oboźny wskazał ręką za siebie.

- Tam.

Ale stamtąd szli właśnie szybkim krokiem trzej druhowie: Łapiduch, Andrzej Wróbel i fioletowy z gniewu, potężny kucharz. Dłoń z kijem, uniesiona wysoko do góry, nagle zwiędła i opadła. Chłop stanął z otwartymi ustami. Trwało to zaledwie ułamek sekundy.

- Ja i tak wam odbiorę Tadeka! Choćbym go miał zabić, odbiorę.

Harcerze milczeli. Zastęp Czarnych Stóp ani drgnął, tylko Fobusz mocno zacisnął dłoń na palcach Tadeka i powtarzał szeptem:

- Nic się nie bój. Spokojnie. Jesteśmy z tobą. Chroni cię prawo. I całe harcerstwo.

Tymczasem chłop wrzeszczał:

- Dwa bilety kupiłem! Pociągu tylko patrzeć. Kto mi odda wyrzucony pieniądz? Chłopak jest mi potrzebny do gęsi, do krów, do pilnowania chałupy, do bawienia dzieci. Pomagał, psiakrew, dopóki, cholernik jeden, sam sobie nóg nie odmroził. Zbiłem go i wyrzuciłem z chałupy, to moje święte prawo. Po diabła szedł spać do stogu siana? Mógł mnie pocałować w rękę, najwyżej wlałbym parę pasów i wpuściłbym go do izby.

Maciek Osa przecząco kręcił głową, jakby chciał wszystkich zapewnić, że to nieprawda, co słyszą, że ulegli dziwnemu złudzeniu.

Chłop uparcie powtarzał swoje:

- Zabiorę, choćbym go miał utłuc na śmierć. A wam nic do mojej rodziny!

Gdzie chłopak?

Oboźny uniósł głowę. Tym razem ogórkowaty nos doskonale spełnił swoją

rolę.

- Udzielą panu informacji tu blisko. W milicji. Nawet już komunikaty idą w radio, że zaginął kaleka bez lewej stopy. Może pan zechce tam się zgłosić i przedłożyć swoje racje. Czekają na pana. Chętnie doprowadzimy.

Ojczym Tadka zaczął niepewnie przebierać nogami, obejrzał się na budynek stacji, sięgnął do kieszeni, znalazł bilety, obracał je w palcach.

- Pociąg odchodzi niedługo. Co tu robić? Albo szukać chłopaka tam gdzieś, ale można się spóźnić. A kobieta będzie nas wyglądała. Co robić, jak pragnę zdrowia?

Drużynowy powiedział zdecydowanym, twardym głosem:

- Odjechać. I więcej nie szukać Tadka, jeżeli chce pan uniknąć poważnych kłopotów, panie Osteń.

Chłop opanował się, jakby mu nagle ulżyło. Przestał dreptać w miejscu.

- Nie szukać? A może i nie szukać? Oni znowu zaczęliby po swojemu protokoły, spisywanie. Tylko z gęsiami to będzie kłopot. A i dzieci nie ma kto pilnować. Tak źle i tak niedobrze.

Kucharz odezwał się groźnie:

- Wygodny był chłopak do roboty, co? Teraz jeszcze miałby swoją rentę, prawda?

Mężczyzna z całą bezpośredniością przyznał:

- A jakże! Wypłacają mu. Dosyć dużo. Dlaczego nie mieliby wypłacać?

Kucharz podbiegł do niego i celując palcem w kołnierzyk mężczyzny, zadudnił na całą okolicę:

- To sam sobie daj pan nogę w szpitalu amputować, jakeś pan taki mądry i na rentę masz apetyt. A teraz jazda stąd! Pociąg odjedzie bez pana, jak ten milicjant wróci. Na rowerze tu krąży i niejakiego Henryka Ostenia poszukuje. Zna pan to nazwisko, co?

Mężczyzna zakręcił się w miejscu, już odchodził, jednak w ostatniej chwili powiedział dobitnie:

- Zatlukłbym go na śmierć, żebym go teraz dostał w ręce.

Oboźny spytał ze zdziwieniem:

- Tego milicjanta?

Osteń krzyknął z wściekłością:

- Tadka zatlukłbym na śmierć!

Łapiduch oświadczył poważnie:

- Dobrze się składa, że powiedział pan to przy świadkach. Jeszcze będzie pan musiał sobie te słowa przypomnieć i ponieść za nie odpowiedzialność. A my zeznamy, żeśmy słyszeli.

Ojczym Tadka milczał wrogo, jakby nie mógł powziąć decyzji. Pomógł mu w tym kucharz:

- A teraz wysuwaj pan stąd! Już, najbliższym pociągiem. I niech pan sobie raz na zawsze wybije z głowy takie plany. Sam pan może gęsi paść. Chodu stąd! Chodu!

Patrzyli za nim, obserwując krępa sylwetkę w zielonej wiatrówce z nadpru-

tym szwem rękawa; jakby zbyt umięśnione bary Ostenia rozsadały przyciasną kurtkę. Kiedy zniknął w drzwiach budynku stacji, kucharz oświadczył:

- Przydałoby się jeszcze dopilnować go, czy wyjedzie. Tylko nas już rozpozna w razie czego. Może ktoś inny. Zenek albo Felek?

Właśnie od strony pogorzelska nadeszli marszowym krokiem druhowie Hindus i Puma. Zgodzili się zostać na czatach.

- Świetnie się składa, że mamy tylko dzinsy i swetry, zamiast mundurów harcerskich. Poinformujemy się zaraz o pociąg i będziemy ziewać, spoglądać na zegar, póki ten typ nie wyjedzie. Zgoda?

- Co robić? - Andrzej Wróbel uśmiechnął się do nich. - Rozpalimy tymczasem ognisko i przygotujemy posiłek. A dla was odłożymy podwójne porcje.

Wracając na miejsce biegu harcerskiego, szli przez las w takt piosenki, co dawało ich krokom sprężystość. Na świetnie związanych noszach leżał cicho Tadek. Początkowo bronił się, jak umiał, prosił drużynowego i Maćka Osę, żeby mu pozwolili kuśtykać o kij. Był zawstydzony. Z trudem tylko dał się przekonać, że podczas biegu harcerskiego zdarzyła się całkowicie nieprzewidziana przeszkoda, w wyniku czego były ratownik musi teraz sam leżeć grzecznie jako pacjent.

Marek Osiński zrównał się z drużynowym, dłuższą chwilę siedł przy nim w milczeniu, wreszcie zaczął:

- Atmosferę trzeba mu stworzyć, druhu. Mówiła mi lekarka w Ośrodku, wie druh, jak z Tadkiem jeździliśmy na przymiarkę buta... protezy...

- Tak?

- Właśnie pani doktor mówiła, że na pacjenta ma wpływ atmosfera. Tadek powinien zapomnieć o tamtych zdarzeniach, powinien się śmiać. Ale czy on się może śmiać, druhu, po takich przeżyciach jak dziś? Druh spojrzy, blade to, powieki sine.

Drużynowy potrząsnął głową.

- Jeżeli cię dobrze znam, obmyśliłeś już dla Tadka jakąś kurację? Leczenie humorem, co?

Markowi błysnęły zęby.

- Jakby druh zgadł!

Andrzej Wróbel przystanął. Inni zatrzymali się także.

- Krótki wypoczynek - ogłosił druh oboźny, zwolennik porządku i karności w harcerstwie.

Łapiduch aż gwizdnął, zachwycony.

- Brawo! Może przy laskowych orzechach? W sierpniu są najsmaczniejsze: już dojrzałe, a jeszcze mają wilgoć i zapach. Tadek, dostaniesz leśny posiłek. Uwaga! Teraz będziecieś wiewiórką.

Sięgnął po wysoki pęd leszczyny, zgiął go śmiało, tak że czubkiem dotknął dłoni Tadka.

- Nie pęknie?! - przeraził się chłopak.

Łapiduch zawołał:

- Spokojna głowa. Leszczyna jest elastyczna, zobaczysz, jak świeżnie z powro-

tem i wyprostuje się. Dlatego rybacy tak chętnie robią wędki z młodej leszczyny.

Tadek usiadł gwałtownie na noszach.

- Ile orzechów! Ale, druhu, ja bym zlął na ziemię.

- Zgoda.

Łapiduch ugiął jeszcze niżej zielony czub, a tymczasem chłopcy delikatnie spuścili nosze na trawę. Tadek miał pełne ręce laskowych orzechów.

Marek Osiński rozejrzał się.

- Chwileczkę. Potrzebne mi dwa kamienie.

Tadek wsadził orzech do ust, nagryzł.

- Co jak co, ale zęby to mam bardzo mocne.

Kucharz pogroził mu.

- No! No! Nie bądź taki kozak. Jeszcze póki łupina orzecha młoda, możesz gryźć. Ale wkrótce byłbyś szczerbaty, jakbyś to robił częściej.

Oczy chłopca zwięzły się na chwilę, wyraz przerażenia skurczył mu twarz, ale drużynowy klepnął go lekko w ramię.

- Wiem. Ty jesteś wiewiórka. Co? Tak mówią twoi koledzy.

Tadek w uśmiechu pokazał swoje rzadkie, niezbyt piękne zęby, ale był tak sympatyczny, jak jeszcze nigdy.

Marek szepnął Andrzejowi Wróblowi:

- Śmiechem wytrząśniemy z niego te wszystkie zadry. Żeby mi tylko druh zaufał, bo mam taaakie geniaaaalne pomysły!

- Wyobrażam sobie.

- Druhu! Trochę swobody. Razem przeżyliśmy obóz i tam urządzaliśmy różne kawały. Teraz będzie skromniej. Ale śmiech to najlepsza kuracja dla naszego smutnego Piórka.

Nagle zaszeleściło w leszczynie. Kucharz aż podskoczył i natychmiast zasłonił swoją rozległą sylwetką pobladłego Tadka. Coraz bliżej było słyszeć kroki, mocne, miazdzące z trzaskiem suche gałęzie.

- Wraca! Wytropił nas! - oczy Franka Fobusza zamieniły się w dwa koła.

- Wracamy!!! - krzyknął Puma wyskakując na polankę.

Hindus ukazał się za nim. Obaj mieli głowy owinięte swetrami, a twarze umazane owocami rozgniecionych jagód.

- Odjechał? - druh obożny chciał mieć relację dokładną.

- Tak, odjechał - Puma stęknął z ubolewaniem. - Ale co się nauzała innym podróżnym, zwłaszcza starszym, na dzisiejszą młodzież! Przysiadły w poczekalni na ławce dwie babulki, zapytały grzecznie, o której będzie pociąg, a ten je sobie wziął za słuchaczki, wyżalił się na młodych, na harcerstwo, na brak poszanowania rodzicielskiej głowy, na takich, co dzieci demoralizują. Hindus i ja małośmy nie pękli, tyle się w nas ochoty do śmiechu nagromadziło. Już pociąg na stację wjeżdżał, a ten jeszcze nie wyczerpał tematu. Baliśmy się, żeby w tym zapamiętaniu nie zapomniał wsiąść!

Hindus uzupełnił sprawozdanie Pumpy.

- Na szczęście babulki pilnie czuwały, kiedy trzeba wsiadać, ale on jeszcze

szedł za swoimi słuchaczkami mówiąc bez przerwy. No i tym sposobem, ani na chwilę nie zamykając ust, znalazł się w wagonie.

Obożny zapytał surowo:

- Mam nadzieję, żeście tam pozostali aż do chwili odejścia pociągu?

Puma zawołał:

- Jakże inaczej? Mieliśmy nawet ochotę pomachać chusteczkami, tylko że gość usiadł i ani spojrzął w okno, tak był zajęty dalszym użalaniem się na wyrodne młode pokolenie.

- Chusteczek też nie mogliśmy znaleźć - dodał Hindus - a pociąg tymczasem nabrał szybkości, oddalił się i zniknął za drzewami.

- No tak. Odjechał - medytował kucharz. - Wskoczył w biegu nie mógł, co?

- Chyba żeby za nim wyskoczyły zasluchane babulki. Zresztą w przedziale na pewno miał znacznie większe audytorium.

Kucharz pomyślał chwilę.

- Należałoby Tadkowi powiedzieć, że już nie ma się czego bać.

Obożny przyznał rację rozsądnemu grubasowi.

- Jasne! Chłopak od razu poczuje się pewniej.

Wobec tego Puma i Hindus usiedli na pieńku, tuż obok Tadka, sięgnęli po laskowe orzechy i Puma uśmiechnął się.

- W porządku! - powiedział. - Już teraz możesz o nim zapomnieć.

Te słowa zamiast uspokoić Tadka, przeraziły go. Wybałuszył oczy, rozwarł usta.

- Jak to?! Jak to?!

Hindus rozciągnął sobie uszy rękami, wyszczerzył zęby.

- Zjedliśmy go. Czasem zmieniamy się w ludożerców.

Teraz Tadek zaczął się głośno śmiać, aż mu podskakiwał brzuch. Rozbawiły go mniej słowa Hindusa, bardziej mina „ludożercy”, wysmarowanego jagodami.

Puma jednak traktował swoje zadanie poważnie.

- Przypilnowaliśmy na stacji. Odjechał. I mam nadzieję, że rozmowa z naszym obożnym w pięty mu poszła.

- Więc okazuje się - dodał Maciek Osa - że czasami dobrze mieć groźnego obożnego.

Fobusz uzupełnił:

- Na naszym obożnym już niejedną zęby sobie połamał.

I dodał szeptem:

- A Czarna Stopka o mało zębów nie połamała na bucie naszego obożnego.

Tadek roześmiał się znowu. Dziecinne „hy-hy” sprawiło wszystkim radość.

Andrzej Wróbel spojrzął na zegarek.

- Musimy brać nogi za pas i drałować. Inaczej ostatnie zapasy będą zjedzone i nic nie dostaniemy na kolację.

Spomiędzy krzaków leszczyny dobiegi płaczący głos Felka:

- Druhu! Tyle orzechów na drzewach. Szkoda zostawić. Opadną!

- Ile możecie, ładujcie do kieszeni. Tylko na krzewy uważać, nie łamać gałęzi. Po resztę przyjdziemy tu za kilka dni. Wtedy orzechy będą już dojrzałe.

Za chwilę ruszyli dalej, znowu na zmianę niosąc Tadka. Śpiewali w takt kroków i ani się spostrzegli, kiedy wiatr przywiał woń spalenizny, gorzką i przykrą. Umilkli. Więc już wkrótce zbliżą się do pni szerniałych u dołu, może przepalonych aż do rdzenia, martwych, niezdolnych rosnąć ani wypuszczać nowych gałęzi, szyszek, igliwia, liści.

Andrzej Wróbel westchnął ciężko.

- To fatalne, że podczas biegu harcerskiego spalił się kawał lasu. Czekają nas nieprzyjemne rozmowy zarówno z władzami, jak u nas w hufcu.

Kucharz wykrzywił usta.

- Dziwne, jak pragnę knedli ze śliwkami! - powiedział kręcąc głową. - Żebym nie znał naszych druhów; żebym z nimi na obozie nie był. Ale tak? Dziwne, dziwne.

Tadek usiadł gwałtownie na noszach omal nie tracąc równowagi.

- No tak! - zawołał dramatycznie. - Tak! Teraz wszystko będzie na tych z rehabilitacji, takich jak ja. Pierwszy raz uczestniczymy w biegu harcerskim i od razu powiedzą na nas.

Oboźny zbliżył się do noszy.

- Leżeć płasko! Chcesz kark skrócić? Ani nam w głowie nie zaświtało podejrzewać kogoś o zaproszenie ognia. Równie dobrze mógłbyś pomyśleć, że ja ni z tego ni z owego poczułem chęć na zapalenie skrzeta, schowałem się w krzakach i zacząłem kurzyć, a przy tej okazji stałem się podpalaczem.

Fobusz mrugnął na sąsiadów.

- Druh oboźny? Nigdy! Prędeż by druh puścił z dymem swój własny mos... Oj, przepraszam, chciałem powiedzieć sos... Nie, też nie to miałem na myśli.

Oboźny przerwał mu:

- Już lepiej nie kończ, bo uszy wędzną, jak się słucha twoich dowcipów.

Zenek podjął piosenkę w rytmie marsza, na melodię „W garnku dziura”:

Nasz oboźny jest morrrrowy,

Nasz oboźny jest morrrrowy,

Choć urywa druhom głowy,

Choć pogania zastępowych...

22. Alert harcerski

Kiedy zbliżyli się na tyle do leśnego pogorzelska, że już nogi zaczęły im grzęznąć w popiele i w mchach nasiąknięch wodą, zastąpił im drogę dwuosobowy patrol i wrzasnął chórem:

- Stać! Ani kroku dalej.

Kucharz parsknął śmiechem, a groźny oboźny, zadowolony z postawy harcerzy, zapytał wyjątkowo łagodnym tonem:

- Co tam takiego?

Zapadło milczenie. Wartownicy odsunęli się na bok, usłyszano szelest krzaków i nagle zastępowy Dąbrowski przemaszerował tak wyrównanym krokiem, z tak poważną miną, że łatwo było zgadnąć doniosłość jego misji. Nawet psiaki biegnące z nim były poważne.

- Czuwaj! - krzyknął Dąbrowski przejęty, jakby ich dawno nie widział.

- Czuwaj! - odpowiedzieli, zaintrygowani tym wstępem.

Dąbrowski najwyraźniej przeżywał satysfakcję, mogąc wystawić ich ciekawość na próbę. Przybrał jeszcze bardziej skupiony wyraz twarzy, zmarszczył brwi tak mocno, że na czole utworzyła mu się pionowa kreska.

- Co tam za nowiny? - zapytał Andrzej Wróbel. - Złapaliście może podpalacza?

Dąbrowski wyduł usta. Machnął ręką.

- Podpalaczem zajmie się milicja. Zabezpieczyli niedopałek tam na piasku. Znaleźli też paczkę po sportach. Ustała, czyje na nich linie papilarne. W lesie tutejsi ludzie widzieli faceta z papierosem i podają rysopis. Ale nic w tym rysopisie nie było szczególnego: przysadzisty, w zielonej wiatrówce, lewy rękaw naderwany czy nadpruty. Przy drodze jest rów i tam gość musiał siedzieć jakiś czas, bo zostawił z osiem niedopałków i wyjątkowo charakterystyczne ślady butów. Nikt z nas nie nosi obuwia z takimi podeszwami. Jednym słowem, o podpalaczu możemy już nie myśleć.

Oboźny zagwizdał:

- Ho, ho, ho! Czyżby to był ten sam? Od razu trzeba skoczyć do milicji.

Dąbrowski ściągnął brwi mocno, utkwiał wzrok w osmalonych pniach.

- Mamy ważniejsze sprawy - powiedział obojętnie.

Zamilkł i czekał na pytania. Franek Fobusz odgadł, jak bardzo Dąbrowski pragnie rozpaść ich ciekawość do białości, wyskoczył więc przed grupę harcerzy i powtórzył tonem bezgranicznego zdumienia:

- Ważniejsze sprawy? Jeszcze ważniejsze niż pożar i bieg harcerski? Ważniejsze niż podpalacz i próba wywiezienia Tadka? No, to mów! Czekamy!

Dąbrowski zerknął na Fobusza podejrzliwie. Chciał sprawdzić, czy to rzeczywiście zainteresowanie, czy może kpiny.

Fobusz przybrał jednak marsową pozę, minę miał zdumioną i Dąbrowski dał się na to złapać jak wróbel na plewy. Obciągnął kurtkę mundurową, zameldował drużynowemu:

- Radio nadało wiadomość do wszystkich drużyn: Alert harcerski rozpoczęty!

Nastąpiło takie napięcie po jego słowach, że harcerze wstrzymali oddech i czekali, czy jeszcze coś powie. Było tak cicho, że słyszeli wyraźne ciosy wiatru w ścianę drzew wraz z pomrukiem nadciągającej burzy.

Tadek Pióro przerzucił się na noszach, ustawionych pomiędzy chłopcami, wyciągnął rękę i chwycił Marka za brzeg munduru. Zapytał szeptem, osłaniając usta ręką:

- Słuchaj... A co to jest Alert?

Marek przyłożył palec do warg, ale zorientował się od razu, że popełnił błąd.

Oczy Tadka Pióro zaokrągliły się, rozszerzył je strach. Marek pochylił się co prędzej nad noszami. Usłyszał cichy szept:

- A czy to coś złego... ten... Alert?

Uśmiech od ucha do ucha i przeczący ruch głowy, to była odpowiedź Marka.

- Skąąąą?! - uzupełnił, nasłuchując równocześnie w skupieniu, żeby ani jedno słowo go nie ominęło. - Skąd?! Przekonasz się, Tadziu, że Alert będzie sto razy ciekawszy od biegu harcerskiego.

Druhowie maszerowali ze śpiewem. Komunikaty radiowe nawoływały do alertowej gotowości; był to tylko wstęp i należało się spodziewać, że jutro po południu padną konkretne rozkazy. Próbowali zgadnąć, jaki może być temat Alertu.

- Mnie tam interesuje najbardziej, co zjem na kolację! - wrzasnął Fobusz. - Przez ten pożar lasu i następnie pościg za ojczymem Tadka druh kucharz nie miał okazji wystąpić z jakimiś pożywnymi szyszkami albo z czymś w tym rodzaju.

Kucharz odpowiedział natychmiast:

- No, szyszek jeszcze i teraz nie brakuje, ciągle się płaczą pod nogami. O, właśnie jedną przydepnąłem trampkiem. Łap! I wcinaj!

Franek Fobusz oburzony postępowaniem kucharza, który oprócz kpin częściej szyszkami umazanymi w piasku, poczuł, że coś uderzyło go w głowę. Chwycił w ostatniej chwili, zamierzając wycelować w plecy kucharza, i wtedy poznał, że to gruszka. Ucieszył się.

- Druhu kucharzu! Dużo tam jeszcze takich „szyszek” zostało? Poproszę kilka.

Sąsiedzi Fobusza zainteresowali się, zwłaszcza kiedy usłyszeli, że jest w worku chleb, są pomidory i ogórki. Pieśń wybuchła sama:

Druhu! Druhu! Jeść nam się chce.

Druhu! Druhu! Jeść nam się chce.

Żołądek piszczy, harcerz się niszczy,

Druhu, druhu, jeść nam się chce!

Groźny oboźny przyłożył gwizdek do ust. Już na pierwszy sygnał opadli kucharza chłopcy, którzy nagle uświadomili sobie, że są bardzo, wyjątkowo, fenomenalnie głodni.

- Co ja dziś miałem w ustach?! - wołał Fobusz, wpadając w istną panikę. - Rano babunia zmusiła mnie, żebym zjadł jajecznicę...

Marek Osiński przerwał mu:

- Na śniadanie jajeczko... Na obiad jajeczko...

- Nie! - Fobusz machnął ogórkiem. - Na obiad mogłem zjeść naleśnika, co mi spadł na głowę. To ja, głupi, rzuciłem go psu, bo zbyt ufałem druhowi kucharzowi.

Zmierch nie pozwalał dostrzec objawów zawstydzenia na obliczu kucharza. Rozległ się tylko speszony głos:

- No, no! Ty, Franek, wyobrażasz sobie, że zawsze ci będzie tak dobrze jak u babci. Widziałeś, ile nam dziś kłopotów spadło na głowę?

Franek Fobusz odpowiedział:

- Druhu kucharzu, chętniej bym usłyszał, ile jeszcze takich naleśników i owoców spadnie mi na głowę.

Groźny oboźny wrzasnął:

- Ustawić się! Chleb rozdzielimy między zastępy. Sprawiedliwie. Pomidory i ogórki tak samo. Woląłem, żebyśmy odmaszerowali trochę dalej, bo przy cuchnącym pogorzeliśku przykro jeść.

Maciek Osa nachylił się do ucha sąsiada mówiąc tak, że wszyscy mogli usłyszeć, nie wyłączając oboźnego:

- Widzicie, jaki subtelny.

Ze śpiewem i z odrobiną pożywienia szli szybko, wdychając balsamiczne zapachy lasu, coraz mocniejsze pod koniec dnia, kiedy rosa zwilża mchy, rydze, borowiki, żywiczne krople na korze drzew i kiedy chłodny powiew nadciągającej nocy orzeźwia powietrze. Przed sobą mieli wielką tajemnicę: jutrzejszy dzień - ALERT.

Treść ALERTU podano do wiadomości harcerzom w całym kraju. Teraz każdy zastęp w sekrecie przed innymi naradzał się, jak wypełnić ALERTOWE zadanie. Trudne. Bardzo trudne.

Czarne Stopy siedzą na trawie dookoła Maćka Osy; głowy pospuszczane, powaga na twarzach, ten i ów krzywi usta. Zadanie wyjątkowe. Dziś innymi oczyma patrzą na ludzi, którzy ich mijają sunąc po skrzypiącym żwirze. Może ten siwy człowiek o ruchach energicznych, idący marszowym krokiem, umiałby im powiedzieć, gdzie szukać informacji. Tak, ale nie można przecież w ten sposób!

Zenek ostro zaatakował Franka Fobusza:

- No widzisz? A na koncercie z okazji rocznicy zakończenia wojny poznaliśmy kilku kombatantów, trzeba było...

Fobusz przerwał mu:

- Trzeba było! Trzeba było! Mądry Polak po szkodzie. Trzeba było bliżej poznać partyzanta Leśne Oko.

Maciek Osa wycelował palcem w Marka:

- Słuchaj, Osiński. Ty przecież do niego pisałeś. I co?

Marek spuścił głowę jeszcze niżej, tak nisko, że włosami dotykał własnych kolan, sterczących w górę. Machnął ręką.

- Daj spokój.

Maciek Osa nie rezygnował.

- Odpowiedział ci?

- Przestań się nabijać - mruknął Marek.

Teraz inni też próbowali wydobyć jakieś wiadomości. Felek uśmiechnięty powiedział z chytrą miną:

- Ty, Marek, lubisz mieć własne sekrety. Skąd możemy wiedzieć, jak wygląda twoja korespondencja?

- No więc mów! - oświadczył twardo Fobusz.

Marek ani drgnął. Dopiero kiedy zastępowy powtórzył ostatnie słowo tonem rozkazu:

- Mów!

Marek wyprostował się. Rozpoznali z wyrazu jego twarzy skrzywionej tak, jakby rozgryzł cytrynę, że nadzieje ich są daremne.

- Wysyłałem. Nawet jeden list nadałem polecony. I figa z makiem. Klops.

- A skąd wziąłeś jego nazwisko? - pytał Maciek Osa.

Teraz już Marek odwrócił się tak, żeby nie widzieli jego skrzywienia.

- Nazwisko. Phy! Żebym to ja znał jego prawdziwe nazwisko! Zaadresowałem po głupiemu: partyzant Leśne Oko. Może się nawet obraził?

Ostatnich słów nie było słychać, taki śmiech porwał cały zastęp, a Franio Fobusz wykonał dziwny taniec polinezyjski, bijąc się piętami w siedzenie i dłońmi w nogi.

Marek przyglądał się Franiowi spode łba.

Zenek poczekał, aż się uspokoją i zaatakował Fobusza:

- Takiś mądry? Mów, jak ty byś adresował? Jego tam wszyscy znają. Może listonosz doręczył. Inaczej polecony wróciłyby do Marka. Na pewno.

Felek wstał. Wytrzeszczone oczy były pięknym uzupełnieniem odstających uszu. Rozstawił ramiona, podobnie jak to robią ptaki przed lotem.

- Ludzie! - zawołał. - Ludzie! Partyzant Leśne Oko jest nam do Alertu niezbędny. Zenek, poproś ojca!

Te słowa spowodowały, że wszystkim zaokrągliły się oczy; spoglądali to na Felka, to na Zenka, to na zastępowego.

Maciek Osa warknął z gniewem:

- Ale wymyślił.

I po chwili dodał:

- Może wymyślił najlepszą rzecz, jaką powinniśmy zrobić? Tylko przecież tata Zenka nie może zostawić swoich obowiązków i zameldować się na rozkazy i na kaprysy Czarnych Stóp.

Felek przyłożył palec do ust.

- Ale jutro niedziela - powiedział.

Maciek Osa był zły jak osa.

- No to co, że niedziela? Wielkie odkrycie.

Felek mrugnął do Fobusza i poprosił:

- Druh zastępowy da nam wolną rękę?

- Co tam knujecie?

- Powiemy, jeżeli nam się uda. Lecimy zaraz po zbiórce. Marek i Zenek, wy z nami?

- Wiadomo! - krzyknęli chórem.

Inni druhowie razem z Maćkiem Osą poprzestali na zachowaniu pozorów objętności. Zajęcia toczyły się dalej zgodnie z planem. Ale kiedy zastępowy dał rozkaz:

- Baczność! Rozejść się! - odpowiedzieli:

- Czuwaj! - i już ich nie było.

Maciek z przykrością zauważył, że Tadek ogląda się na pustą izbę harcerczą.

- Poniosło ich - stwierdził oparty na kulach. - A ciekawość, co też oni wymyślili?

- Wiesz? - Maciek Osa chwycił notes i ołówek. - Zrobimy taki mały eksperyment. Napiszę, co myślę o ich zamiarach i schowamy w kronice drużyny. Jak tylko chłopcy wrócą, przeczytamy razem.

Ale wrócili bardzo późno. Maciek Osa czekał na nich razem z Tadkiem Pióro.

- Mówcie - rozkazał zastępowy. - Po waszych minach zgaduję, znam was dosyć dobrze.

Zenek usiadł na podłodze, wycierał pot z czoła.

- Wymaglowali mojego tatę! Do muru przycisnęli, jechać i jechać. Ale tata nie rządzi furgonetką. Więc my do pani doktor, do kierownictwa kolonii, do bazy samochodowej, od Annasza do Kajfasza. Już myśleliśmy, że nic z tego nie będzie, aż tu nagle, zgoda! Pojedziemy razem z drużynowym i oboźnym. Cały zastęp może jechać. O pierwszym świcie. Nawet i Głownóg się zmieści. Zabierzemy wyżełki, będzie wesoło.

Tadek Pióro spoglądał uważnie to na Zenka, to na zastępowego

- Jasne, że i ty pojedziesz - wrzasnął Maciek Osa. - Po co gały wybałuszasz?

- I poznam partyzanta Leśne Oko?

Maciek zmarkotniał.

- Oooo, to już inna sprawa. Gwarancji nie ma. Teraz otwórz kronikę i przeczytaj, co tam jest na kartce.

Chłopcy pochylili się nad głową Tadzka, który ze zdumienia otworzył usta.

- Druhu zastępowy, to druh i wróżyć potrafi?

Chcą jechać nyską na Diabelski Kamień, szukać partyzanta.

23. Wyprawa na Diabelski Kamień

Druhowie z trudem idą pod górę po znanej, ale zarośniętej bujnym zielskiem ścieżce. Tata Zenka został przy samochodzie, wyciągnął się na trawie. Tadek uparł się, że będzie samodzielny, dostosowują więc krok do jego nieporadnych wysiłków i obserwują krople potu, pojawiające się gęściej na twarzy.

Nagle wiatr przywiał im pod nogi smugę dymu spomiędzy sosen. Tadek stanął. Dyszał ciężko, zauważyli jego przerażenie.

- Las. On znowu podpałił las. Ojczym - wyszeptał i łzy napęłniły wielkie oczy chłopca.

- Kto?! - zapytał Maciek Osa. - Coś ty, chłopie, z byka spadł?

Tym okrzykiem przeciął sprawę. Potem skoczył na ukos do góry, dał nura między krzewy, tak że widzieli tylko wytarte spodnie harcercskie i wzorzyste podeszwy tenisówek. Zrobił nikły ruch ręką. Podpełzli cicho, z największą ostrożnością, jak w czasie podchodów.

Teraz już Tadek Pióro pozwolił, żeby mu pomagali. Marek Osiński rozsunał gałęzie miękkich odrostów sosny i dębu, odsłaniając pole widzenia przed ułomnym

kolegą. Dym pełną ze szczytu pagórka, spod ułożonych misternie bierwion, podsypanych grubo szyszkami. Nad ogniskiem tkwił zgarbiony mężczyzna, nieruchomy jak rzeźba wystrugana kozikiem w drzewie.

- Partyzant Leśne Oko - szepnął Tadekowi Marek.

Za ten szepł Maciek Osa pogroził Markowi pięścią i pokazał odsłonięte z gniewu zęby. Wzruszenie chwyciło ich za gardło, mieli ochotę wyskoczyć i pędzić do samotnego człowieka, wziąć go w ramiona, jak ojca powracającego z dalekiej podróży. Bali się jednak drgnąć. Obserwowali każdy jego ruch, dłonie napięte przy łamaniu patyków, oczy zapatrzone w ogień, zgarbione plecy, cień smutku w całej sylwetce, w rysach, w pochyleniu głowy.

Zastępowy Maciek Osa wydał rozkazy:

- Chłopaki, cichutko zaśpiewamy. Ale tak cicho, jakby wiatr niósł melodię z daleka. Jakby trawy szumiały. Albo jakby gdzieś daleko byli inni harcerze. Uwaga! Trzy, cztery:

„*Płonie ognisko w lesie*” - zaczął.

Podjęli od razu dalszy ciąg, ledwo poruszając ustami.

Wiatr tęskną piosnkę niesie,

Przy ogniu zaś drużyna

Gawędę rozpoczyna...

Tu Maciek Osa machnął ramieniem, na znak, że można trochę wzmocnić głos, odetchnęli więc i podjęli znaną melodię, lekką jak tchnienie:

Czuj-czuj! Czuj-czuj!

Czuj-czuj! Czuj-czuj!

Partyzant Leśne Oko drgnął. Podniósł głowę. Tymczasem Błyskawica i Zenek bezszelestnie okrążali polanę wzdłuż granicy krzewów, porastających krawędź nad wąwozem i kiedy na dole polany Maciek Osa dyrgował obiema rękami, wzmacniając chór zastępu, tamci wyskoczyli niespodzianie i w dwu susach byli już przy ognisku.

Nie pozwolili sobie na uściski. Salutowali dawnemu partyzantowi, stojąc na baczność i uśmiechając się do niego z lękiem. A może znowu nie zechce z nimi rozmawiać? Odpędzi surowymi słowami?

Patrzył spod spuszczonej powiek, ale zanim zdążył się odezwać, już od strony dróżki, z dołu polany, przybiegł Maciek Osa rozpromieniony niesłychanie i dyrgujący wytrwale prawą ręką w takt upartego, wyzianego resztkami tchu słowa, które powtarzali jak hasło:

Czuj-czuj! Czuj-czuj!

Czuj-czuj! Czuj-czuj!

Franek Fobusz, uzdolniony muzycznie, wyśpiewał głośno i bez fałszu:

Czuj -czuj! Czuj-czuj!

Czuj-czuj! Czuj-czuj!

A potem razem z innymi zaczynał od początku:

Przy ogniu zaś drużyna

Gawędę rozpoczyna.

Ze wszystkich stron otoczyła partyzanta melodia:

Czuj-czuj! Czuj-czuj!

Czuj-czuj! Czuj-czuj!

Rozlega się dokoła...

Marek Osiński chciałby znaleźć się na szczycie Diabelskiego Kamienia wcześniej niż inni, ale westchnął tylko skrycie i udawał wobec Tadeka, że tak sobie, z własnej woli drepcze bez pośpiechu. W gruncie rzeczy wypatrywał uważnie, gdzie rowek albo zamaskowany trawami dołek i kierował upartego w swojej samodzielności Tadeka łatwiejszą trasą. Student medycyny pogwizdując kroczył na pozór obojętnie z drugiej strony pacjenta. Dopiero kiedy minęli gąszcz krzewów, Tadek przystanął, wytarł dłonią czoło spocone i tak mokre, że dłoń następnie otrząsnął nad ziemią. Spojrzał uważnie przed siebie. Cały zastęp otaczał kogoś obcego Tadekowi, ale nie budzącego lęku. Z przejścia zaczął mówić gwarą:

- Bo ja żem się bał - uśmiech odsłonił rzadkie zęby chłopaka - że znowu ten mój ojczym zleciał nie wiadomo jak i że las podpala. Bo jak on mnie znalazł na biegu harcerskim, to i tu mógł być. Takie głupie myśli bez sensu.

Marek Osiński spojrział w oczy studenta medycyny, który nieznacznie mru-gnął, a kiedy wreszcie Tadek odpoczął trochę i ruszył wytrwale pod górę, Łapiduch westchnął:

- Biedna wyobraźnia - powiedział cicho. - Wciąż podsuwa mu obrazy przerażające. Chłopak boi się ojczyma. Widzi go niemal wszędzie.

- Trudno się dziwić! Po takich przeżyciach - Marek Osiński rozłożył ręce.

Student medycyny nie przyspieszał kroku, a kiedy chłopak oddalił się trochę, spojrzął poważnie na Marka.

- Chciałbym, żebyście sobie zdawali sprawę, ty i cały zastęp, i Maciek Osa.

- Tak?

- Z Andrzejem Wróblem nie potrzebuję rozmawiać, on jest równy chłop, intuicja mówi mu tyle, co i znajomość psychologa młodzieży. Natomiast obożnemu palnąłem kazanie, regularną pogadankę. Zresztą nad podziw okazał się pojętny.

- Polubił już Tadek, prawda?

- Polubił i zrozumiał. Ale słuchaj, Marek, i pamiętaj: w rękach każdego z nas, a zwłaszcza w rękach waszego zastępu leży delikatna sprawa równowagi nerwowej tego chłopca.

Marek słuchał uważnie, zerkając jednocześnie w stronę ogniska na szczycie Diabelskiego Kamienia. Student kontynuował swoją myśl:

- On jest i pozostanie kaleką. W sensie fizycznym. Ale żeby kalectwo nie poczyniło w nim spustoszeń, żeby nie zaczął rosnać upór albo gorycz, musicie wy, Czarne Stopy, stworzyć mu odpowiedni klimat.

Marek aż się potknął, obserwując nieustannie grupę druhów, którzy otoczyli partyzanta Leśne Oko.

- Tadek już nawet zaczyna być uparty. Nie pozwala sobie w niczym usłużyć.

- Ambicja. Musicie to zrozumieć. On po prostu chce być równy każdemu z was. Nadmierną troskliwością przypominacie, że coś go różni. Tymczasem on czasami zapomina niemal zupełnie, że ma sztuczną nogę. Człowiek potrafi przestać myśleć o rzeczy dręczącej, a wy swoją chęcią nieustannej pomocy zmuszacie Tadka do ciągłego pamiętania o smutnym losie.

Nagle zamilkł. Obaj z Markiem Osińskim spostrzegli gwałtowny, odpychający gest rąk partyzanta Leśne Oko, jakby chciał powstrzymać chłopców i osłonić się przed nimi. Znieruchomieli.

- No widzisz - powiedział młody medyk. - W nim też ujawniają się zmiany charakterologiczne. Jest uparty. Może jechaliśmy na próżno!

- Ma, zdaje się, zamiar wycofać się tyłem. Co robić? Zatrzymać, ale jak?

Tymczasem Tadek Pióro z najwyższym trudem sforsował spadziste zbocze Kamienia i teraz posuwał się niezgrabnie, zamiatając sztuczną nogą, po terenie równiejszym, ale porośniętym kępami mchu, wczesnego wrzosu, traw i mocno pachnącej szalwii. Nagle zaplątał się w krzaku jeżyn, wyrzucił ramiona do góry, krzyknął.

Chłopcy otaczający ognisko zbiegli z góry na ratunek Tadcowi. Partyzant Leśne Oko spojrział uważnie. Zapytał:

- A to kto? Nie widziałem takiego między wami. Kiedyście tu mieli obóz w lipcu, przyjrzałem się z ukrycia każdemu druhowi. Każdego pamiętam.

Student medycyny i Marek już osiągnęli szczyt pagórka i spontanicznie wyciągnęli do partyzanta ręce na powitanie, po czym opowiedzieli szybko, bez wdawania się w szczegóły, historię nowego druha.

- Jak on się nazywa? - pytał ochryple partyzant Leśne Oko.

- Tadek Pióro.

- Powiadacie: Tadek Pióro? Nie był na wojnie, a jest inwalidą jak ja.

Marek odważył się wypowiedzieć swoją myśl:

- Tylko bez orderu Virtuti Militari!

- Poznają. Ty jesteś ten ananas nad ananasy. Bibliotekarz obozu. Do wszystkiego zawsze pierwszy.

Student parsknął śmiechem:

- On jest chory, ten ananas. Od pewnego czasu żadnych psot.

Inwalida zapytał:

- A dlaczego? Zakochał się? Wcześniej!

Marek w jednej chwili z opalonego stał się buraczkowy.

- Kto, ja? - wrzasnął zadziornie. - Ja teraz opiekuję się Tadcem Pióro, to głowy ani czasu nie mam na psoty. Może druh Łapiduch się zakochał, ale ja? Bzdura! Gadanie!

Rysy partyzanta Leśne Oko drgnęły w hamowanym śmiechu.

- A, to wy jesteście druh Łapiduch, czyli obozowa służba zdrowia?

- Na rozkaz! - odpowiedział medyk i salutował długo, jak jego poprzednicy przyjmując postawę na baczność.

Zapanowała chwila napięcia. Marek Osiński bał się, że partyzant Leśne Oko

wycofa się w leśny gąszcz, najwyraźniej zamierzał to uczynić. Ale nie. Znowu spojrzął na Tadka.

- Ten ojczym. Taki łobuz. Chciałbym go dostać w swoje ręce. Warto mu powiedzieć, że walczyło się nie tylko przeciw okupantowi. Marzyło się o równych prawach, o sprawiedliwości.

- Druh nam opowie... - szepnął Marek Osiński przez pomyłkę nazywając tak partyzanta, jak tytułował swoje władze.

Mężczyzna spojrział uważnie na Marka.

- Skąd wiesz o tym, że byłem kiedyś harcerzem?

- Od raaaazu pooooznać - zmyślił na poczekaniu Marek i nagle przypomniał sobie, że wcale nie zmyśla. Zawołał więc uradowany: - Taka bezbłędna sygnalizacja. Takie podchody. Jedynie harcerz może robić podobne wdechowe numery.

Mężczyzna przełamał na kolanie suchą gałąź, rzucił w ogień.

- Bywało! - powiedział cicho i patrzył w stronę jeżyn, uczepionych płasko ziemi, skąd chłopcy wyplątali już Tadka. - Chciałbym usłyszeć kiedyś co myśli ten wasz inwalida. On swoje kalectwo przeżywa może jeszcze głębiej niż inwalidzi wojenni. Moje pokolenie dawało życie i zdrowie dla idei.

Zamilkł nagle. Znowu spojrzął spode łba.

- Przyjechaliście tu pokazać mu wasz teren? Góry Świętokrzyskie? Świetnie.

Marek usłyszał za sobą mocny głos Maćka Osy:

- Nie! Przyjechaliśmy do was, druha. Mamy Alert harcerek. Cel Alertu: przeszłość okupacyjna, rozmowy z ludźmi, którzy jak wy pamiętają i nigdy nie zapomną.

Znowu ten ruch obu rąk, odpychający ich na jakiś ogromny dystans.

- Nie zapomną. Tylko wara gadać o tym. Wara!

Zapadła przykra chwila ciszy. Potem odezwał się wyraźny szept Marka Osińskiego:

- Nie dla paplaniny. My chcielibyśmy posłuchać o tamtych czasach. Poznać prawdę.

Partyzant Leśne Oko poruszył wargami. Zdawało się, że powtórzy „wara”, zapytał jednak:

- Po co?

Maciek zaczął rzeczowo:

- Cenimy przeszłość. Celem Alertu ma być nawiązanie przyjaźni między tymi, którzy walczyli o nasz kraj, a harcerzami zupełnie młodymi...

Partyzant milcząc przełamał znowu kilka patyków i wrzucił je w ogień. Jego węzłasta i pomarszczona dłoń zatrzymała się w kręgu ruchliwych świateł. Zastępowy przerwał swoją myśl. Czekał w napięciu.

Inwalida uśmiechnął się gorzko.

- Ładnie i gładko to mówicie, druha Macieju. Ładnie. Gładko. Tak jakoś uczenie, jakbym gazetę czytał. Nie lubię słuchać oficjalnych przemówień. Pogadajmy zwyczajnie. Znam was wszystkich. Teraz, oczywiście, są wakacje. A gdybym zapytał, jak się kształtują zainteresowania ogółu druhow na przestrzeni całego roku?

Chwila namysłu. Potem Fobusz mówi, patrząc na Felka zachwyconego jego szybką decyzją:

- Drużyna piłki nożnej... I inni...

Głownóg wstał, a później z całym rozmachem usiadł znowu na mchu. Zenek złapał się oburącz za brzuch. Fobusz nie dostrzegł tych objawów, ciekawy tylko, jak zareaguje Felek na jego wystąpienie.

Partyzant Leśne Oko zerknął na druhów i znowu zadał pytanie:

- Tak? A druh zalicza się do których?

Fobusz wypalił jednym tchem:

- Do innych.

Felek pierwszy wybuchnął śmiechem, jego okrągła twarz z odstającymi uszami drgała w przypląwie spontanicznej wesołości. Naokoło wszyscy pokładali się ze śmiechu. Tylko partyzant zachował się poważnie, nadal prowadząc rozmowę:

- Czym wobec tego interesują się inni?

Fobusz ogłuchł. Ale już Marek Osiński, Zenek, Maciek Osa, nawet i Tadek Pióro wymieniali wszystko, czym pasjonują się inni:

- Turystyka. Film. Teatr amatorski, zwłaszcza kukielkowy. Książki.

Tata Zenka uzupełnił:

- No i historia. Najnowsza historia kraju. Bo dla nich, a nawet dla całej młodej kadry instruktorskiej, czasy walk przeciw okupantowi, to już bardzo dawne dzieje. Nie zawsze zrozumią.

Plomień przygasł trochę. Felek zerwał się, przyciągnął wysuszoną sosnową gałąź i rzucił w blednące zarzewie. Buchnęły iskry. Wiatr zamiótł ogonem dymu wokół rozległej polany, pozwolił wdychać wyjątkową, urzekającą woń ogniska.

Partyzant w zamyśleniu powtórzył słowa Zenkowego ojca:

- Bardzo dawne dzieje. Nie zawsze zrozumią.

Złękli się. Może dotknęli bolesnych spraw? On jednak uniósł głowę, rozejrzał się.

- To jasne. Zdrowa, normalna istota ma prawo nie pojmować, dlaczego ludzie planują napaści. Jeżeli rzeczywiście moje słowa mają dla was jakąś wartość, to powiem krótko: bądźcie pokoleniem, które znienawidzi wojnę. Można walczyć z oceanem. Z dżunglą. Z pustynią. Z klimatem. Z brakiem wody. Można walczyć z bezprawiem i analfabetyzmem. Ale nie wolno planować wyniszczenia narodów.

Zastępowy stanął na baczność, zasalutował i trwał wyprężony. Mieli wrażenie, że chce coś powiedzieć, ale tylko światłem oczu wyraził swoje uczucia. Zerwali się. Przeczekali jakiś czas, a dawny wojak przyglądał się stopniowo każdemu z nich.

Wreszcie Maciek Osa przezyciężył onieśmienie:

- Druhu partyzancie! Żeby tak można było powiedzieć to naszej drużynie. I kolegom z kolonii leczniczej. Nyską tu przyjechaliśmy. Zupełnie wygodna.

Zenek uzupełnił:

- Ileśmy się napocili, żeby ten samochód wypożyczyć. I mój tata jest kierowcą. Dobrze prowadzi. Później odwieziemy.

Partyzant Leśne Oko zrobił coś, co mogło być zgrzytaniem zębów.

- Odwieziecie później, zapewnia druh. A kogo, jeżeli wolno spytać?

Zenkowi brakło tchu, żeby się odezwać.

- Pytam kogo? Czyżby mnie? Druh sądzi pewno, że ma przed sobą ręczny bagaż. Do stu tysięcy fur beczek psów oszczekujących kota na konarach dębu!!!

Dopiero teraz pojęli, że ten gniew okrutny był tylko udawaniem. Zerwała się wrzawa.

- Jedziemy! Wiwat! Niech żyje partyzant Leśne Oko!

Ani się spostrzegli, kiedy już okrążali w tańcu góralsko-indiańskoczarnostopowym ognisko na wzgórku i uśmiechającego się serdecznie partyzanta. Teraz wcale nie wydawał się ponury; był miły, młodzieńczy. Sam sobie wmówił, że ślady walk oszpeciły go, zdziaczał, skazał się na życie odludne. Zwyciężyli. Wciągną go teraz między siebie, zainteresują swoimi pracami, pokażą mu kolonie lecznicze.

Nagle partyzant podniósł rękę. Marek Osiński już był przy nim. Pokonując ustawiczny wrzask rozśpiewanej i roztańczonej gromady Leśne Oko pyta:

- Kto to jest, o tam. Tego jednego nie pamiętam z obozu, naturalnie oprócz Tadzka Pióro.

- To Głownóg. Nie było go z nami.

- Głownóg? Nazwisko dziwne. Cóż, ja się nazywam Ciżba, ten się nazywa Głownóg.

- Ale to jest przezwisko. On jest niby-wujkiem Zenka.

Partyzant Leśne Oko mrugnął ze zrozumieniem, o nic już nie pytając. Marek wrócił więc do tanecznego, rozwierzganego kręgu, podśpiewując na przekór melodii:

- Chłopy drogie, druhy srogie, każdy z nas jest głownogiem!!!

Ojciec Zenka stanął obok partyzanta Ciżby, spojrzął na zegarek, potem na niebo, wymienili kilka słów, ale nie przerywali chłopcom ich zwycięskiego tańca. Dopiero kiedy Maciek Osa zziązany i mokry od potu runął w cień, trafiając na jałowcowe kolce i zerwał się z wrzaskiem, i kiedy inni przybiegli, żeby się pośmiać z ulubionego zastępowego, kierowca przypomniał:

- Czas wsiadać. Nyska to nie odrzutowiec.

Lokowali się, gdzie kto mógł. Początkowo zaryzykowali próbę wpakowania partyzanta i Tadzka na lepsze miejsce, obok Zenkowego taty. Ciżba, zwany Leśnym Okiem, zrobił okrutną minę, zawarczał lwim głosem:

- Z wami chcę być. Usłyszę o każdym coś ciekawego.

Maciek Osa wyrzucił ramiona do góry.

- Brawo! Nam też druh Leśne Oko coś opowie. Zapamiętamy każde słowo. Nie tylko dlatego, że jest Alert. My już dawno prosiliśmy druha. Zapraszaliśmy do nas, na ognisko.

Ciżba sposepniał.

- Odmówiłem. Ale widzę, że to był błąd. A więc jedziemy. O?! Nysa pełna wyżełków? No, to jazda!

- Jedziemy! - potwierdził Marek Osiński wesoło. - Harcerzy obowiązuje

punktualność, ale już podczas Alertu mowy nie ma, żeby można się było spóźnić.

Obejrzeni się na pola kieleckie, na wzgórze jakby pokryte pasiastymi wełniami, utkane od horyzontu aż na dół żółtą smugą lubinu przy zieleni wyki, białą koniżyną przy rudych podorywkach, złotawym rzyskiem przy redlinach ziemniaków. Obejrzeni się na lasy ciemnoblękitne, aż granatowe między niebem i konturem wzgórz. Przy drodze modrzewie kłaniały się sobie poprzez pas asfaltu, gięte podmuchami ciepłego wiatru, pachniała żywica.

- Powinienem być postawić warunki - powiedział partyzant Leśne Oko. - No, ale pertraktujemy teraz. Odwiezcie mnie, a wtedy pokażę wam w lesie pod Bliżynem olbrzymie modrzewie-matki. Zbiera się z nich szyszki, a po wyluszczeniu odsprzedaje się nasiona bardzo drogo Norwegii, Anglii, Szwecji, gdzie modrzewie pięknie rosną, ale nie owocują.

Maciek Osa wrzasnął do Zenkowego taty:

- W takim razie trzeba będzie wyruszyć przed wschodem słońca. Żeby nam czasu wystarczyło.

Partyzant Leśne Oko potwierdził:

- Tak, najlepiej około trzeciej rano. Bo nie wypuszczę was, póki nie zobaczycie porośniętych murawą dołków okresu Stanisława Staszica. Tam wydobywano z ziemi rudę żelaza.

Marek Osiński gwizdnął przeciągle ze zdziwienia.

- Zdawało mi się, że już poznaliśmy dobrze ziemię kielecką, tymczasem jeszcze tyle zostało.

Dawny partyzant uśmiechnął się.

- Ziemię i człowieka poznaje się długo. Czeka was muzeum Staszica, ukazujące wspaniałe zaczątki uprzemysłowienia kraju. To zupełnie blisko sztucznego jeziora w Sielpi. Też nie znacie? Ale to wszystko mucha w porównaniu z planem zagospodarowania najbliższych okolic Diabelskiego Kamienia. Tam, gdzie Lubrzanka płynie doliną, pomiędzy mokrymi łąkami, powstanie piękny zalew.

Felek zawołał z triumfem:

- Ale my zostaniemy na zawsze pierwszymi odkrywcami Lubrzanki!

Partyzant powiedział w zamyśleniu:

- Ktoś już był tu przed wami. Przede mną. Nawet przed Stefanem Żeromskim.

A wy możecie przyjechać i pomóc w realizacji. Weźmiemy się do tego razem i robota poleci z górki. Znamy teren, co?

W nysce podniosła się wrzawa, każdy miał mnóstwo pomysłów i przekazywał je najbliższemu sąsiadom, a sąsiedzi jemu. Psom spędzało to spokojny sen z powiek.

24. Leśne Oko jest wśród nas

Siadali przy kręgu ogniska zastępami, wyjątkowo skupieni, małowówni, jedna grupa zerkała na drugą, pragnąc wywnioskować, co też inni znaleźli podczas kilku-

dniowych poszukiwań. Czekano z podpaleniem ułożonych misternie gałęzi. Czarne Stopy spóźniały się. Zapadł już pierwszy zmierzch, a ich ciągle jeszcze nie było widać i dopiero przeciągły gwizdek oboźnego podziałł jak rozkaz wypowiedziany surowym tonem.

Zastęp Czarne Stopy szedł niezwykle wolno, skandując jedno słowo:

- Bie-giem! Bie-giem! Bie-giem! Bie-giem! Bie-giem!

Andrzej Wróbel przyglądał się podejrzliwie grupie najmłodszych druhów. Odniósł wrażenie, że zastęp jest wyjątkowo liczny. Wiadomo, przybył Tadek Pióro. Dołączył także w ostatniej chwili Tymoteusz Jagodziak; jego tyczkowaną postać zakończoną pękiem zmierzwiionych włosów od razu drużynowy poznał, mimo ciemności. Kto tam jeszcze z nim jest? A, Głowonóg, oczywiście. No i kucharz przybiegł. Zwalista sylwetka posuwała się w środku gromady jak taran. Przycupnęli na belkach, z dala od kręgu ogniska, czym jeszcze bardziej pobudzili ciekawość drużynowego.

- Cóż oni knują? - myślał Andrzej Wróbel i ciekawość rozpalala się w nim do białości.

Zgodnie z tutejszym zwyczajem ognisko rozpoczął konferansjer. Tym razem rolę konferansjera pełniła Zosia, dziewczynka z kolonii. Śmiało wystąpiła naprzód i podając lekarce pudełko zapalek poprosiła o podpalenie stosu.

- Tak po harcersku, żeby szybko buchnął płomień.

- Ano, zobaczymy! - pomrukiwał kucharz, a jego sąsiedzi szeptem wyrażali wątpliwości. - Zastrzyk zrobić komuś albo zajrzeć do gardła, to jeszcze, ale ognisko zapalać...

Andrzej Wróbel uśmiechnął się do siebie - cichy trzask zapalki, charakterystyczny szelest pozwoliły mu przejrzeć fortel: użyto zapalek sztormowych! Od razu strzelił płomień, ogarnął suche gałęzie, przedostawał się pod spód, gdzie leżały smolne szczapy.

Kucharz entuzjazmował się:

- Pani doktorowa to ma harcerskie doświadczenie. Nawet ja nieraz nadmuchałem się w ogień, aż mi popiół oczy zasypywał. Druh oboźny zaświadczy. Tymczasem ognisko na cacy, robota z tymi pacjentami też na medal!

Płomienie oświetliły teraz wyraźnie drobną dziewczynkę, pełniącą rolę konferansjera. Jej charakterystyczne warkoczyki zaplecione twardo i wygięte z lekka, sterczały jak różki. Dłonie zacisnęła na plecach, nieświadomie wypięła mały brzuszek i patrzyła do góry, bo rzeczywiście było na co patrzeć: iskry pędziły wyżej i wyżej, a na sierpniowym niebie migotało mrowie gwiazd. Można się było pomylić, gdzie iskra, gdzie gwiazda. Można było pomyśleć, że światełka z harcerskich ognisk ustawiają się wysoko nad ziemią w nowe konstelacje i tak będą trwać, wirując podczas letnich nocy.

Franek Fobusz westchnął ciężko. Nie mógł się doczekać słów, które wypowiedziała dziewczynka z warkoczami. Jej postać na tle ognia, na tle iskier i gwiazd wydawała mu się zupełnie granatowa jak niebo w nocy. Wzruszenie ogarnęło Franka. Dostrzegł nikły ruch jej dłoni, po którym odezwała się pieśń:

Płonie ognisko i szumią knieje,

drużynowy jest wśród nas...

Fobusz przymknął oczy. Wyobraził sobie, że mała konferansjerka, stojąca tak zgrabnie i wytrwale na tle płomieni, ma obie nogi zdrowe, jednakowo umięśnione, że jutro będzie mogła biegać razem z rówieśnikami, skakać i koziółkować, że metal aparatu ortopedycznego nie będzie wpijał się w jej skórę, przypominając o kalectwie. Była kaleką we własnym przekonaniu i w oczach kolegów. A ponadto kaleką z punktu widzenia medycyny. Serce Frania Fobusza ścisnął ból. Wolałby sam nosić aparat, żeby tylko Zosia, taka miła rówieśnica, mogła pędzić na przelaj przez łąki. Nawet gdyby miała się wyśmiewać z jego rudych włosów. Trudno. Poświęcenie Franka było w tej chwili bezgraniczne.

Ciemna sylwetka drgnęła. Głos Zosi, czysty i dźwięczny, zapowiedział poważnie, że teraz kolejno zastępy złożą meldunki. Alert właśnie się kończy. Za chwilę usłyszymy, jaki zgromadzono plon.

Dookoła robi się jeszcze spokojniej. I tylko trzask ognia przegryzającego niekiedy z hałasem jakiś wysuszony konar albo cykanie świerszczy, które u schyłku lata, w sierpniu, dają najpiękniejsze koncerty, podkreśla urodę wieczoru.

Pierwszy meldował zastępowy Białych Fok, druh Patelnia. Stał na baczność i głosem drżącym powiedział:

- Okazuje się, że wystarczy porozmawiać z ludźmi starszymi od nas o jakieś trzydzieści lat, a więc wcale jeszcze nie sędziwymi dziadkami. Wystarczy zadać kilka pytań, a potem uważnie słuchać. My za mało wiemy o przeszłości kraju. Za mało. Co wiemy o historii miast i lasów, nawet ulic, przy których stoją nasze domy?

Przerwał na dłuższą chwilę, jakby żądał odpowiedzi. Patrzył naokoło. Zasłuchali się. Trzask ognia robił wrażenie głosu istoty żywej, która chce uzupełnić opowieść zastępowego. Harcerz postąpił krok naprzód i mówił dalej:

- Znaleźliśmy adres gajowego. Nadal mieszka tam, gdzie mieszkał podczas okupacji. Przyjął nas początkowo nieufnie. Potem zrozumiał cel Alertu. Skarżył się na chuliganów, że zaśmiecają las butelkami, opowiadał, ile papierów zostawiają wycieczki. Rzeczywiście, spostrzegłem taczki pod ścianą gajówki. Okazało się, że ten człówek musi sam zwozić po każdej niedzieli piramidy gazet, szkło, wyrzucone puszki.

Oboźny przerwał zastępowemu:

- I co? Wy tak spokojnie słuchaliście, zamiast od razu coś postanowić?!

Patelnia uśmiechnął się na całą szerokość swojej pyzatej twarzy.

- To nas druh oboźny jeszcze mało zna, jak widzę! Jak to? Przecież właśnie druh uczył nas wytrwale „terenoznawstwa”, nawet w tym roku na zboczu Kamienia zebrał druh artystów i rozkazał im druh wyruszyć w okolice obozu na takie niby terenoznawstwo.

Rozległy się ciche parsknięcia. Felek stuknął Fobusza łokciem i zapytał:

- Pamiętasz, jaką Marek miał minę, kiedy chował saperkę za plecami, a te trzy druhenki stały przed nim i jedna wypytywała go, zdziwiona: „Czy druh kretów szuka?”

Marek usłyszał. Nie pożałował kuksańca Felkowi. Tu i ówdzie wybuchały

rozmowy i śmiechy.

Prowadząca dziś ognisko Zosia znów zjawiła się na tle ognia. Franek Fobusz nie był pewny, czy powiedziała „cyt”, ale jego serce na pewno wyraziło coś takiego swoim przyspieszonym rytmem. Ona podnosi dłoń do góry, wzywa, żeby tu było cicho. Niech no ktoś tylko spróbuje rozrabiać, a pozna, czy Franek ma dobrze rozwinięte mięśnie!

Skupienie wróciło jednak natychmiast i Patelnia podjął dalszy ciąg opowieści:

- Więc chociaż druh oboźny tak nas próbuje zagiąć, udowodnię, że postąpiliśmy naprawdę po harcersku.

Tu odchrząknął i poczekał chwilę. Wszyscy słuchali z zaciekawieniem, czy Patelnia wybrnie z sytuacji.

- Ruszyliśmy do lasu - powiedział. - Całym zastępem, ale w rozsypce. Kiedy po jakimś czasie zaczęliśmy wracać i wytrząsać z plecaków te wszystkie pudełka od zapalek, od papierosów, gazeciska, szkło, pojemniki blaszane i plastikowe, gajowy zmiękł. A jeszcze jak zrobiliśmy ognisko ze wszystkiego, co się nadawało do spalania, jak zaczęliśmy śpiewać, usiadł przy nas, pykał fajkę, patrzył w ogień. Przy ostatnich główniach, całkiem już przezroczystych, odezwał się wreszcie. Mówił nam o przeszłości. Że podczas okupacji nocą, czasami też i w dzień, hitlerowcy przywozili do tego lasu ludzi skazanych na stracenie.

Zastępowy przerwał na krótko. Wiatr uderzył w konary drzew i liście przemówiły długim westchnieniem. Trwała zupełna cisza. Bywają takie chwile, kiedy zasłuchani ludzie wstrzymują oddech i właśnie nastąpiło podobne zjawisko. Zdawało się obecnym, że nieznajomy gajowy siedzi tuż przy nich na kawałku pnia, zapatrzone w ogień, że widzą jego pochyłą, zgiętą postać.

Zastępowy mówił dalej:

- Opowiadał nam gajowy, co sam wtedy przeżył, a potem wstał nagle od ogniska i poprowadził nas leśną drogą do tego miejsca, gdzie przywozili najczęściej.

Umilkł znowu. Nikt nie dokładał do ognia, płomień sam znalazł sobie krzak jałowca, buchnęły iskry. Patelnia poczekał chwilę, póki nie ustał suchy trzask rozżarzonych gałęzi. Dopiero później zaczął:

- Aż przyszedliśmy na polanę. Tam gajowy stanął i oświetlał kolejno latarką pnie starych drzew. Początkowo nic nie rozumieliśmy. Dopiero po chwili dało się zauważyć wyraźne ślady nacięć. On w czasie wojny rejestrował po kolei każdą zbrodnię hitlerowską, jaką widział. Znaczył własnym sposobem. I tamtej nocy o tym nam właśnie opowiedział. Tu mamy na piśmie podane szczegóły: nazwisko gajowego, plan terenu, nazwę tego lasu, nawet fotografie kilku drzew. To nasz udział w Alercie.

Szedł wielkimi krokami w stronę drużynowego, za nim podążał cały zastęp. Ustawili się według wzrostu, przyjęli postawę na baczność i dopiero wtedy Patelnia wręczył szary zeszyt. W dalszym ciągu składano meldunki. Odbywało się to w skupieniu. Czasem czyjaś dłoń ujęła dwa, trzy kawałki drzewa, rzuciła w ognisko, żeby podsycać płomień. Wszyscy słuchali milcząco i poważnie.

Dąbrowski, zastępowy PIHM-u, wysunął się do przodu, patrzył przed siebie

chwilę, wreszcie zaczął:

- Tak, to prawda. Za mało wiemy o przeszłości. Trudno sobie wyobrazić zdarzenia, które pamiętają starsi. Nasz zastęp odnalazł kilkoro dawnych nauczycieli ze szkoły na przedmieściu. Ludzie ci są już dziś emerytami. Organizowali oni tajne nauczanie w czasie hitlerowskiej okupacji. Początkowo pod firmą instytucji SPOŁEM, a później, kiedy gestapo aresztowało dużą grupę profesorów i młodzieży, lekcje odbywały się w prywatnych domach. Naturalnie zbierano się za każdym razem u kogo innego, po kilkoro. W ten sam sposób odbywały się też egzaminy dojrzałości.

Przerwał na chwilę, sięgnął za siebie.

- Mamy tu spis imion i nazwisk, mamy też adresy tych, którzy brali w tajnym nauczaniu czynny udział. Uratowali się nieliczni. Z więzień, z gestapo wracali tylko niektórzy. Większość zginęła zakatowana. Nasz zastęp ustalił, że ludzie, którzy przekazali nam informacje i pamiętki, to inwalidzi, którym czasami brakuje nawet kogoś, żeby rano pobiegł i przyniósł gazetę.

Marek Osiński zapytał półgłosem:

- A wy? Nikt się nie mógł z nimi umówić?

W ciemności zabrzmiały gniewne pomruki zastępu PIHM, a Dąbrowski odparował z miejsca:

- Już ty się nie bój, Marek. Spokojna makówka. Jeżeli druhowie z waszego zastępu chcą się dołączyć, bardzo nas to ucieszy.

Zazgrzytał żwir pod nogami. Było tak ciemno, że w pierwszej chwili tylko ten odgłos wskazywał trasę Dąbrowskiego i całego PIHM-u. Zenek dorzucił ogromną górę suchych gałęzi, strzeliły płomienie. Powtórzono ceremoniał wręczenia plonu prac alertowych. Andrzej Wróbel oglądał przez chwilę fotografie, notatki, adresy i wreszcie podpisy całego zastępu.

Tymczasem z wolna ku światłu płonącego wysokim słupem ogniska szedł już Puchatek na czele załogi Kontiki. Zaczął mówić o ich własnej, znanej na wylot szkole. O podniszczonych drzwiach, o schodach przed wejściem głównym, gdzie niejednokrotnie głos dzwonka ponaglał kroki uczniów. Trochę się dziwili. Do czego zmierza? Wszyscy pamiętają każdy szczegół „budy”: klamkę, próg, trawkę wypielęgowaną starannie, zasiewaną wcześniej rękami Jana Miękkiego, wyłysiałą w miejscu, gdzie rano biegi spóźnialszych, a po lekcjach galopy spieszących na obiad niszczyły brzegi skweru. Felk powiedział szeptem do ucha Fobuszowi:

- No i co tu ciekawego? Z czym do gościa?

Marek ścisnął mocno ramię Felka.

- Ciii! Posłuchaj do końca.

Zastępowy Puchatek powtarzał głosem sflumionym relację naocznych świadków, dawnych pracowników szkoły, sąsiadów z okolicznych mieszkań. I powiało grozą. Ta ziemia porośnięta w lecie trawą, te wydeptane łyse narożniki milczały, bo ziemia milczy zawsze, cokolwiek działałoby się na jej powierzchni. Usłyszeli, że właśnie tam odbywały się rzeczy straszne. Hitlerowcy wywozili młodych i właśnie tu kazali stawać im z rękami do góry. Zdawało się słuchaczom, że widzą minione, tra-

giczne chwile, słyszą trzask serii z karabinów i myślą o tym, o czym mogli myśleć wówczas ich rówieśnicy.

Zastępowy umilkł na długo. Słowa z trudem wydobywały się z jego ust:

- Postanowiliśmy upamiętnić te miejsca - dodał szeptem. - Chwilowo zasadziliśmy kilka róż, może się przyjmą, chociaż pora nie najlepsza. Zamierzamy pomyśleć o tablicy, żeby na początku roku szkolnego, w rocznicę września, można było zorganizować uroczystość. I od tej pory zastęp Kontiki opiekuje się już tym miejscem.

Złożyli drużynowemu raport na piśmie jak inni. Była tam również fotografia szkoły, przy której ustawił się zastęp Kontiki razem z kilkoma ludźmi w podeszłym wieku. Można było dostrzec świeżo zasadzone różę.

Kiedy równym krokiem odmaszerowali na swoje miejsce przy kręgu ogniska, wstał Longinus. Jego długi cień rozciągnął się na trawie połyskującej od rosy.

- Żurawie postanowiły urządzić w naszej szkole Izbę Pamięci. Ludzie z całym zaufaniem i nawet wdzięcznością powierzają nam rodzinne pamiętki, fotografie, listy, jedna pani dała nam album rysunków z obozu jenieckiego, dostaliśmy także notatnik z lat wojny, oprawny w drewno. Chciałbym go druhom pokazać. Można dostrzec wyciętą czubkiem noża taką scenę: między drzewami wysokiej alei kolumna kobiet. Idą piątkami. Widać zarysy ich pleców. Z boku w długich pelerynach esesmanki. Takich pamiętek przechowywanych latami dostaliśmy sporo. Jeszcze nam obiecano więcej. Dostaniemy także grypsy młodej dziewczyny.

Podawał album z rąk do rąk i głowy kolejno pochylały się nad ledwo zaznaczonym rysunkiem.

Oboźny potarł nos, jakby chciał sprawdzić dotykiem palców, czy resztki opalenizny wałkują się w postaci obłażącego naskórka. Rozmyślał dłuższy czas, ale już drużynowy trzymając album w obu dłoniach oświadczył:

- Izba Pamięci. Nie wątpię, że znaleźlibyście kąt w harcówce. Wydaje mi się jednak, że w auli albo w pomieszczeniach biblioteki lepiej rozlokujecie pamiętki narodowe. Dziękuję wam.

- Żurawie będą pełnić dyżury raz albo dwa razy w tygodniu - dodał Longinus i cofnął się, idąc na końcu za swoim zastępem.

Zniknęli. Tylko długi cień Longinusa przecinał jeszcze oświetloną trawę przy ognisku, aż odsunął się w ślad za wysokim harcerzem.

Nawet nie spostrzegli, kiedy wypalone głównie zamieniły się niemal całkiem w popiół. Ciągle jeszcze tworzyły stożek i lekko prześwitywały od środka pomarańczową łuną, wystarczyło jednak rzucić bierwiono, żeby cała konstrukcja runęła, przycisnąc.

Upływały minuty. Andrzej Wróbel obejrzał się raz i drugi w ciemność, oboźny zacisnął dłoń na gwizdku. Czekali. Hindus nachylił głowę do druha Łapiducha:

- Czarne Stopy tymczasem usnęły jak jeden mąż.

Ale właśnie wtedy Maciek Osa wystąpił naprzód. Udawał zakłopotanie. Zaw sze swobodny, wygadany, teraz pomrukiwał, jakby go rzeczywiście zbudzono z twardego snu. Oboźny opuścił wprawdzie gwizdek, ale dłoń trzymał nadal uniesioną, go-

ową w każdej chwili do interwencji.

Cisza absolutna towarzyszyła wystąpieniu kolejnego, najmłodszego zastępu. Szyje druhów wyciągały się, wydawały się coraz dłuższe, ten i ów nie mogąc pojąć sytuacji wstawał. Czekano, co z tego wyniknie. Najbardziej zadumani, zapatrzeni w ognisko, teraz odwrócili głowy, zaskoczeni rozlazłością Maćka Osy i całego zastępu Czarnych Stóp.

Aż nagle Marek ukazał się między Maćkiem Osą i ogniskiem, ale ku zdumieniu druhów ukazały się głównie Markowe plecy z przyległościami. Szedł tyłem i ciągnął coś po ziemi. Zanim odgadli, że to kabel elektryczny, w rękach Marka rozbłysło światło reflektora, skierowanego na brzuch Maćka Osy. Jeszcze krok tyłem i jeszcze krok, aż nagle druh obozny chwycił Osińskiego za harcowski pas wołając:

- Ognisko chcesz nam rozdeptać?! I sam się upieczesz.

Istotnie, brakowało już niewiele, żeby trampek Marka trafił w gorący popiół. Ale czyżby ten moment był wyreżyserowany wcześniej? Uwaga wszystkich obecnych tylko na parę sekund odwróciła się od Maćka Osy, a tymczasem Maciek Osa zniknął. Cały zastęp rozsunał się, a pomiędzy Felkiem i Fobuszem tuż obok rozpromienionego Zenka, dostrzegli kogoś ubranego w spłowiąły mundur, z orderami na piersi.

Druh Andrzej Wróbel zawołał zdumiony:

- Partyzant Leśne Oko!

Reflektor zgasł natychmiast, i to nieprzypadkowo. Marek starannie zwinął kabel, wrócił do szeregu, zajął miejsce pomiędzy Felkiem i partyzantem. Ognisko dawało już bardzo niewiele światła i gdyby nie księżycowy zielonkawy refleks, trudno byłoby rozróżnić tamtą grupę.

Nagle ku zdumieniu i nawet pełnemu zaskoczeniu harcerze usłyszeli „szept” kucharza, podobny do szeptu lwa:

- Cizba! Naprzóóóóó!!

Ale natychmiast Maciek Osa i cały zastęp Czarnych Stóp zaczął gestami przywoływać biednego kucharza do porządku i karcić go za taki spontaniczny wyskok.

Upłynęło jeszcze parę chwil dziwnie długich, pełnych napięcia. Partyzant Leśne Oko postąpił wolno do kręgu ogniska, zatrzymał się przy wygodnym pieńku, jednak nie siadał. Głosy ucichły, tylko usta, zwłaszcza dziewczynek, otwierały się ze zdumienia, z ciekawości: co to będzie, co to znaczy?

Dawny partyzant uniósł głowę i patrzył długo tam, gdzie w księżycowej poświacie rysowała się wyraźnie postać drużynowego, podobna trochę do smukłego jałowca. Głos bojownika zadudnił siłą i przyjaźnią:

- Czuwaj, druhu drużynowy! Spełniłem prośbę najmłodszego zastępu, który mnie wczoraj chytrze wytropił przy waszym ognisku, na zboczu Kamienia zwanego Diabelskim. Osaczyli mnie. Zmusili, żebym tu przyjechał. A gdybym stawiał opór, gotowi byli wziąć mnie siłą. Związać i do furgonetki. Nawet psy mieli!

Rozległy się oklaski, krzyki:

- Brawo!

- Niech żyje partyzant Leśne Oko!

- Czarne Stopy, morowe chłopy!

- Niech żyje Zenek i tata Zenka ze służbową nyską! Brawo!

Drużynowy podniósł dłoń. Ucichło. Leśny człowiek zbliżył się jeszcze o krok. W ognisku płonęła podsunięta przez kogoś niepostrzeżenie gałąź i teraz wszyscy widzieli partyzanta Leśne Oko dość wyraźnie w migotliwym świetle. Westchnął. Uśmiechnął się, co dziwnie odmłodziło jego zniszczoną twarz.

- Tak, druhu Andrzeju. Pozwoliłem się wziąć niemalże siłą, bo chcę się wam do czegoś przyznać. Kiedy już wyjechaliście z Gór Świętokrzyskich, rozmyślałem długo. Zrozumiałem, że popełniłem błąd. Powinienem być wtedy przyjąć wasze zaproszenie i przyjść na ognisko. Mogłbym z wami rozmawiać nie przez jeden wieczór, gdyby was interesowały minione zdarzenia.

Znowu podniosła się wrzawa, huk braw, entuzjazm. Ci, którzy nie znali historii pobytu harcerzy na obozie w Górach Świętokrzyskich, daremnie próbowali wywnioskować, do jakiej to winy przyznaje się drużynowemu ten człowiek, wymizerywany, ale zachowujący przecież dumną postawę, lubiany wyraźnie przez wszystkich.

Maciek Osa razem z Felkiem taszczyli z cienia ku ognisku rosochaty wykrot, na pewno wcześniej przygotowany, i ustawili go za plecami partyzanta w ten sposób, że wygięcia konarów tworzyły jakby wygodny fotel z oparciami dla obu rąk. Dawny żołnierz obejrzał się, z uznaniem kiwnął głową, siadł, skoro go poprosili.

Znowu brawa. Maciek Osa nagle zrobił się czerwony.

- Dostyc tych braw! Co wy tu kosi, kosi, łapci wyczyniacie? Jak będziecie tyle klaskać, to słowa jednego nie zrozumiecie. Tymczasem jest czego posłuchać. Druh Leśne Oko, chciałem powiedzieć, druha partyzanta...

Błyskawica złapał się za głowę.

- Maciek! Co ty pleciesz?

Felek dodał szeptem:

- No i wszystko wygadałeś! A drużynowy miał się na końcu dowiedzieć.

Andrzej Wróbel podniósł dłoń. Ten gest od razu przywrócił spokój.

- Dotychczas - oświadczył swoim głębokim głosem - stoimy przed samymi zagadkami. Jeżeli zastępowy Maciek Osa nie ma nic przeciwko temu, poprośmy, żeby pozwolił mówić naszemu gościowi.

Drgnęły brwi partyzanta, po ustach przeleciał szybki uśmiech. Ożywiły się rysy, twarz odmłodziła.

- Wygadał, nie wygadał. Zastępowy Czarnych Stóp, druha Maciek Osa, nie ma powodu robić dłużej tajemnicy z prostego faktu, że byłem harcerzem. I drużynowym. Lat mogłem wtedy mieć... -uśmiechnął się znowu, był to jednak tym razem uśmiech smutny - skończyłem wtedy właśnie siedemnaście lat, pamiętam doskonale dzień urodzin, bo mnie łasperdaki jedne, harcerze z naszej drużyny, siedemnaście razy podrzucili do góry. Co ciekawsze, dziwny zbieg okoliczności... Spodnie mi pękły na szwie podczas tego podrzucania, musiałem dać nura do harcówki, brać igłę z nitką i szyć.

Powstał harmider. Słysząc było komentarze, śmiechy, opowieści o podobnych wypadkach albo wręcz powtarzanie sobie nawzajem słów partyzanta, chociaż

wszyscy jednakowo dobrze słyszeli. Ledwo jednak on znów otworzył usta, już ucichło.

- Kiedy pierwszy raz obserwowałem was na Diabelskim Kamieniu, podczas porannego apelu, też przez wasze figle spodnie drużynowego Wróbla pękły na szwie. Zupełnie jak wtedy, na moje urodziny.

Harmider wybuchł znacznie potężniejszy niż przed chwilą.

- Kukły rady drużyny - tłumaczyli druhowie tym sąsiadom, którzy nie mieli pojęcia o zdarzeniach na Diabelskim Kamieniu. - Kukła Wróbla spadła z dachu. Pech. Groźny oboźny chciał nas ukarać za to, że jak ta kukła wykoziółkowała, to rozpruły się spodnie kukły. No, chciałem powiedzieć, najlepsze spodnie druha drużynowego.

Partyzant Leśne Oko zawołał:

- Właśnie. Spozrzegłem wtedy wasz obóz po raz pierwszy. Zainteresowało mnie bardzo, jak postąpi drużynowy. Co będzie dla niego droższe: poczucie humoru czy spodnie mundurowe. Bałem się. Teraz opowiadają, że młodzież jest już inna. Ci-cho przemknąłem nad brzeg wąwozu i czekałem osłonięty leszczyną.

Marek Osiński omal ze skóry nie wyskoczył. Skorzystał z króciutkiej chwili, żeby zapytać:

- Przepraszam, druhu Leśne Oko, chciałbym wiedzieć, po której stronie obozu druh wtedy był?

Nad ogniskiem zadudnił śmiech partyzanta. Ten sam potężny wybuch wesołości, który pamiętali z nocnych podchodów. Aż ich wtedy ciarki przejmowały.

- Ananasie, urwipolciu, wiercipięto, żywe srebro, niespokojny duchu, wszę-dobylski! Bibliotekarz obozu! Co cię znów interesuje? No więc zszedłem nad wąwóz od strony źródelka, tam gdzie później robiliście sławetne terenoznawstwo i gdzie następnie zużywaliście tyle czasu na czerpanie wody, ponieważ odbywało się to w obecności miłych druhenek.

Noc otulająca polanę wokół ogniska głęboką ciemnością nie pozwoliła dostrzec rumieńców na kilku twarzach. Ale ciche, niby kocie „phy! phy! phy!” świadczyły o trafności obserwacji partyzanta Leśne Oko. Znał ich. Podglądał w tyłu sytuacjach. Polubił ich. Oni go też polubili. Teraz jeszcze bardziej stał im się bliski, od kiedy usłyszeli, że był również harcerzem. I że przyjechał na wezwanie Czarnych Stóp, żeby spędzić z nimi wieczór przy ognisku. Ba! Żeby im opowiedzieć, co przeżył od chwili, kiedy siedemnaście razy podrzucono go w górę z okazji urodzin.

Partyzant Leśne Oko schylił się, wziął trzy gałęzie leżące w zasięgu ręki. Felek zerwał się, poniósł je w ramionach ostrożnie, potem ułożył z całą starannością, żeby tworzyły rodzaj płaskiego szałas, dostępnego dla pełgających dołem płomieni.

Strzeliły znowu iskry. Siedzieli zasłuchani, a trzask ognia zdawał się być opowieścią przejmującą i pełną dramatyzmu, choć wyrażaną w niezrozumiałym języku natury.

- Tak, opowiem wam trochę. Nie podejmuję się zmieścić wszystkiego w tych paru minutach, jakie mamy dla siebie. Chciałbym, żeby dziś pojawili się tu w moim wspomnieniu ci drhowie, którzy sami nigdy już nie będą mogli usiąść przy ognisku; ich głos umilkł, ale tak to bywa z wierną pamięcią, że jest ona krainą wiecznego życia.

Pamiętam ich głosy. Pamiętam wspólny śpiew, indywidualne cechy każdego z nich. I nie wiem, czy oni dojrzewają razem ze mną, czy ja pozostaję młody razem z nimi.

Szept Marka Osińskiego był ledwo dosłyszalny:

- Chyba to drugie.

Partyzant Leśne Oko zgniótł w palcach płat sosnowej kory i stopniowo rzucał w ogień po kawałku, jakby w zamyśleniu karmił gołębice tymi kęsami. Wstrzymali oddech, obserwując ruchy jego ręki.

W ciemności rozwarła się przed nimi, odtworzona siłą prostych słów, otchłań nazywana wojną, okupacją. Nie była to zabawa dzieci, które wołają na podwórku: „poddaj się, pa-pa-papa, ręce do góry ta-ta-ta” i celują w tył głowy z patyka lub z lakierowanego pistoletu. Partyzant Leśne Oko mówił o strasznej hańbie ludzkości, wojnie dorosłych - zaprzeczeniu postępu, łamaniu prawa międzynarodowego, cofaniu wszelkich osiągnięć na ziemi. Pojawiły się cienie ludzi z podniesionymi rękami, szły plutony egzekucyjne, serie kul grzechotały po murach miast i wsi Europy, która tak długo musiała się bronić przed hitlerowskim napastnikiem. Jeszcze nikt nie mówił im w ten sposób o wojnie. Jeszcze nigdy wyobraźnia ich nie zagłębiła się w zdarzenia, które partyzant przeżył, a o których oni czytali tylko, przemykając myślą po wierzchu pojęć i opisów.

Był harcerzem, który poznał okupację. Kiedyś wesoły i młody jak oni. Potem walczył przeciwko najeźdźcy, stracił zdrowie, poczuł, że jest kimś innym. Wprawdzie nie poległ, ale już nie umiał być sobą po dawnemu. Nasuwało im się mnóstwo pytań. Jak zagrozić drogę wojennemu szaleństwu? Co robić, żeby nigdzie na kuli ziemskiej nikt nie wołał do ludzi zajętych pracą we własnym kraju: ręce do góry! Jak osłonić rolnika uprawiającego pszenicę czy ryż przed samolotem niosącym na pokładzie śmierć? Jak odsunąć zbrodniarzy pochylonych nad mapami świata? Jak iść do celu w solidarnej gromadzie?

Partyzant Leśne Oko zamilkł, rzucił jeszcze jeden płat kory w ogień, a potem, jakby zgadywał myśli młodych słuchaczy, powiedział:

- Dużo przebywałem sam. Ale teraz będę otwierał drzwi mojej samotności, żeby spędzić trochę czasu z wami. Jesteśmy sobie potrzebni.

Tu już cisza pękła i gwałtowne okrzyki „hurrra! wiwat!” obudzić musiały jakąś wiewiórkę, bo spomiędzy rozkołysanych lekkim wiatrem gałęzi spadła szyszka prosto na głowę Białej Foki.

Niestety hałasy przypomniały dyżurnemu lekarzowi, że powinien spojrzeć na zegarek. Pora wieczornego snu jego podopiecznych zbliżała się bardzo szybko. Bystre oczy Andrzeja Wróbla rozpoznały w głębi alei zbliżającą się wolno białą postać.

Dawny harcerz mówił w zadumie:

- Pamiętacie słowa piosenki? Śpiewaliście ją tam, w Górach Świętokrzyskich: „Odrodzimy, odnowimy starą świata twarz”. I my śpiewaliśmy to samo za młodu, ale chyba wyrzaskiwaliśmy bezmyślnie. Zwracaliśmy uwagę na rytm, jeżeli to było w marszu, nie zastanawialiśmy się nad istotą treści. Tymczasem okazuje się, że świat należy pokierować zgodnie z rozumem człowieka, tak jak trzeba kierować statek albo

samolot, konia w zaprzęgu albo zabląkanego turystę.

Potem zmienił temat i ton głosu:

- Długo was obserwowałem. I muszę przyznać zupełnie szczerze: podobacie mi się. Nabrałem zaufania do was, druhowie. Czuję się pomiędzy wami lepiej może niż w gronie rówieśników. Jesteście młodzi. Z rąk takich jak ja harcerzy, znacznie starszych od was, przejmiecie pałeczkę sztafetową. Nieście ją, pamiętając o zmarnowanej młodości pokolenia wojny, o jego przekreślonym życiu.

Drgnęła jakaś struna w gardle mówiącego, umilkł, zapanował jednak od razu nad wzruszeniem, tylko przez chwilę siedział cicho. Uniósł głowę, patrzył na konary drzew, których liście podświetlone płomieniem ogniska wydawały się nierealne.

- Spójrzcie, jaka to piękna planeta. Gleba rodzi rośliny, których tajemnica trwania i wzrostu zachwyca ludzi tak samo rok za rokiem. I trujące zioła rodzi ta sama gleba. Na świecie zdarzy wam się spotkać ludzi różnych narodowości, ba, nawet o różnych kolorach skóry. Są podobni w swoim wytrwałym zginaniu grzbietu nad zagonami, nad wschodzącym żytem albo kiełkującymi sadzonkami drzew.

Teraz już wszyscy dostrzegli biały fartuch dyżurnego lekarza, wspartego plecami o pień akacji. Partyzant Leśne Oko westchnął, uśmiechnął się.

Marek Osiński nie wytrzymał.

- Druhu! Ja bym słuchał całą noc. Jeszcze tak wcześniej.

- Zostanę z wami do końca wakacji - powiedział spokojnie dawny żołnierz. - I może jeszcze wrócimy do tych rozmów, jeżeli nadarzy się podobna chwila.

- Mam tyle pytań! - upomniał się Maciek Osa.

Uśmiech wygładził rysy partyzanta.

- Pytań wam nie brakowało przez całą drogę, jakeście mnie tu pojmanego i na niewolę srogą skazanego wieźli nyską. Pod strażą warczących brytanów.

Ojciec Zenka potwierdził:

- Wszystko nas interesowało, fakt. Ale też było czego posłuchać. Ani się człowiek spostrzegł, jak przeleciały te kilometry.

Patelnia zwiesił głowę.

- Czarne Stopy mają najlepiej. A my?

Nagle wstał Marek Osiński. Napięcie w jego rysach świadczyło wyraźnie, że właśnie w tej chwili przysła mu do głowy świetna myśl.

- Słuchajcie, słuchajcie - zawołał. - Druh Leśne Oko mówił nam po drodze, że tam, niedaleko Nowej Słupi, bibliotekarka zorganizowała wystawę i nazwała ją „Barykada książek przeciwko wojnie”. Podejmiemy ten temat na terenie kolonii leczniczej. Każdy z nas przeczyta jedną pozycję, może to być gruby tom albo cieniuchna broszurka. Nawet folder z fotografiami. Terminy ustalimy.

Groźny oboźny podniósł wysoko głowę, aż płomienie dogasającego ogniska zaróżowiły mocniej opalony, pokaźny nos.

- Widzisz, Andrzej, co za świetne pomysły ma nasz obozowy bibliotekarz? Od pierwszej chwili można było zgadnąć, jaka to zdolna bestia. Zawsze doceniam indywidualistów.

- Oczywiście! - Andrzej Wróbel mrugnął do Maćka Osy. - Ty się na nim poznałeś jeszcze przed wyjazdem w Góry Świętokrzyskie.

Oboźny „połknął haczyk”.

- Wiadomo. Wystarczy, że raz na kogo spojrzę i wiem, ile jest wart.

Partyzant Leśne Oko zaciekawiony patrzył na Marka, który w podnieceniu mówił dalej:

- Proponuję dzień pierwszego września. Zbierzemy się w izbie harcerskiej albo w auli. Będzie to barykada książek przeciwko wojnie, książek nie tylko ustawionych na półce, ale przeczytanych. I wtedy na pewno druh Leśne Oko zgodzi się posiedzieć z nami, wyjaśnić to, czego może nie rozumiemy. To jakby Alert nie tylko dla wszystkich zastępów i kolonii leczniczej, ale i dla całej szkoły.

- Barykada książek przeciwko wojnie - w zamyśleniu powiedział partyzant. - Ileż ich powstało w Polsce! Na całym świecie! Zdaje mi się, że Marek wysunął znakomitą myśl.

Ucichło. Tylko liście rozkołysanych drzew szeptały nad głowami gromady młodzieży, siedzącej wokół dogasających głowni.

Andrzej Wróbel dał znak oboźnemu. Kamerton zawsze ostro alarmujący, dziś odezwał się zaledwie kilkoma sygnałami: ti-tiu-ti...

Wstali wszyscy: Tymoteusz obok Patelni, Leśne Oko tuż przy nich, a Marek przy Leśnym Oku, nikogo nie zamierzając wpuścić pomiędzy siebie i „zdobycznego” partyzanta. Irena wyciągnęła prawą dłoń do Marcina Serwacza, lewą do Marka, dalej rodzinnym szeregiem ustawili się Zenek z ojcem i niby-wujkiem Głowonogiem, a już ujmowali dłonie sąsiadów Tadek Pióro, Łapiduch, groźny oboźny, Longinus, Puma, Hindus, Felek oglądający się daremnie ha Fobusza, który po przeciwnej stronie ogniska ustawiał się właśnie ręka w rękę z konferansjerką Zosią. Nie zabrakło pani doktor z Ośrodka i pani psycholog ani kolonijnego lekarza w długim białym kitlu. Maciek Osa gestami zachęcał i zagarniał do koła każdy cień, pojawiający się między drzewami: dozorcę, pielęgniarki, nieśmiałych pacjentów, kucharza. Dawnym harcerskim zwyczajem utworzyli krąg, splatając dłonie.

Nad błyszczącą od rosy polaną rozległy się dźwięki trąbki, schrypniętej trochę, milknącej chwilami jakby od nadmiernego wzruszenia trębacza, potem znowu wydobywającej melodię wieczornej pieśni znad jezior i z dębowych borów, z cichych, otoczonych świerkami polanek i z wyścielonej paprocią niedostępnej głuszy.

Wokół ogniska formowano krąg. Jedni drugim podawali ręce gorące od żaru, skore do uścisku. Były to bowiem dłonie dopiero wyciągnięte do życia, niecierpliwe, czekające, stęsknione. Zwierały się z dłońmi sąsiada mocno i po bratersku, na zawsze. Tej chwili, tego dławienia w gardle, tej melodii rozbrzmiałej po rosie mieli nigdy nie zapomnieć. Pieśń na dobranoc rozwinęła się jak piękny hymn i opadała miękko razem z bezszelestnymi kroplami rosy. Jednoznaczne, zwykłe słowa miały w tej sytuacji treść głębszą, stawały się postanowieniem i obietnicą:

To nas, to nas wołają w las,

a trąbki toon jak dzwon,

jak dzwon, jak dzwon...

I potem jeszcze „Wieczorny dzwon”, a na zakończenie harcerski czardasz, przy którego rytmach i słowach mocniej, szybciej biły serca.

Odmłodzimy, odrodzimy starą świata twarz!

Iskry wymykały się jeszcze co chwila spod konarów i razem z melodią mknęły wyżej i wyżej, a wtedy niejedna twarz unosiła się do góry, żeby ścigać wzrokiem na tle ciemnego nieba te światła wczesnej młodości, niepowtarzalne, jedyne gwiazdy, na które człowiek może patrzeć tak z bliska. Czuli uścisk braterskich rąk i wiedzieli, że zasypiać będą z uczuciem szczęścia, w oczekiwaniu następnego dnia, który zacznie się także śpiewem, wśród nowych, coraz bardziej interesujących przyjaźni.

Warszawa, 6 sierpnia 1971 roku